Stan wojenny – refleksje po 40 latach

XI Konferencja świętokrzyska

(27–29 maja 2022 roku)

Ośrodek Myśli Niepodległościowej
Instytutu Historycznego nn
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
Warszawa, 2023 roku

Opracował i zredagował Mirosław Lewandowski

© Copyright by Instytut Historyczny nn im. Andrzeja Ostoja Owsianego

Wydawca – Wydawnictwo Polskie IHOO

Wydanie I
Warszawa, 2023

ISBN 978-83-963432-7-7

Skład, druk i oprawa:
Agencja Wydawnicza i Reklamowa AKCES Sukces Sport

Jak stwierdził Adam Skwarczyński, „Żaden wysiłek nie idzie z nicości w nicość, lecz wrasta w glebę życia w jego organizm…”. Tą dewizą stara się kierować Instytut Historyczny im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Nasze działania nie byłyby możliwe bez wsparcia naszych darczyńców i ofiarodawców. Dziękujemy!

Ta pozycja została dofinansowana przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych i Komitet Pamięci rtm. Witolda Pileckiego

W imieniu Instytutu gorąco dziękujemy!

W roku 2022 odbyła się kolejna, jedenasta już, Konferencja Świętokrzyska. Jej organizatorem był, jak co roku, Ośrodek Myśli Niepodległościowej Instytutu Historycznego nurtu niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. W spotkaniach wzięło udział kilkadziesiąt osób – członków Instytutu i zaproszonych gości.

Konferencje Świętokrzyskie tradycyjnie odbywają się w Centrum Edukacyjnym w Wólce Milanowskiej koło Kielc. Tym razem, nietypowo, z uwagi na pobyt w wyżej wymienionym ośrodku, uchodźców wojennych z Ukrainy, konferencja została przeniesiona do pobliskiego Jodłowego Dworu. Umożliwiło to uczestnikom konferencji tradycyjny udział w niedzielnej mszy świętej w klasztorze na Świętym Krzyżu.

Temat spotkania był związany z 40. rocznicą obowiązywania w Polsce stanu wojennego. Został on wprowadzony – jak wiadomo – 13 grudnia 1981 roku i trwał formalnie do końca 1982 roku, kiedy został zawieszony.

Autorami referatów byli: zaproszony gość – Krzysztof Durek a także członkowie naszego Instytutu: ks. dr Stanisław Tylus SAC, dr Bohdan Urbankowski, dr Andrzej Anusz oraz Zbigniew Jackiewicz. Dwójka referentów była jednocześnie świadkami i aktorami Historii sprzed 40 lat, a więc ich opracowania miały dodatkowy walor.

Materiały pokonferencyjne zawierają teksty wszystkich referatów wygłoszonych w czasie konferencji oraz zredagowany i skrócony zapis dyskusji.

Spis treści

I DZIEŃ (27 MAJA 2022 ROKU)

Dr Andrzej Anusz
Kościół wobec stanu wojennego 7
Dyskusja 82

Ks. dr Stanisław Tylus SAC
Pallotyni wobec stanu wojennego 123

II DZIEŃ (28 MAJA 2022 ROKU)

Krzysztof Durek
Próby zorganizowania Niezależnego Samorządnego Związku Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej 141
Dyskusja 169

Zbigniew Jackiewicz
Aspekty prawne stanu wojennego 179
Dyskusja 195

III DZIEŃ (29 MAJA 2022 ROKU)

Dr Bohdan Urbankowski
Stan wojenny w Górach Świętokrzyskich 205
Dyskusja 231

Indeks nazwisk 245

I DZIEŃ (27 MAJA 2022 ROKU)

Dr Andrzej Anusz

KOŚCIÓŁ WOBEC STANU WOJENNEGO

Wydarzenia nabierały przyspieszenia. Władze cały czas w wielkiej tajemnicy przygotowywały wprowadzenie stanu wojennego, którego zadaniem było zniszczenie odbudowywanego społeczeństwa obywatelskiego, zniszczenie kiełkującego poczucia sensu spraw i działań społecznych[1].

[1] J. Karpiński, *Trzecia Niepodległość. Najnowsza historia Polski*, Warszawa 2001, s. 308.

18 października 1981 r., po rezygnacji Stanisława Kani ze stanowiska I sekretarza KC PZPR, na jego miejsce wybrano prezesa Rady Ministrów gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W uchwale KC powtórzono stwierdzenie o wysokim stopniu zagrożenia bezpieczeństwa państwa i możliwości wprowadzenia stanu wojennego. Pod koniec 1981 roku wzrosła w kraju liczba strajków, które wybuchały często bez uzgodnienia z Komisją Krajową NSZZ „Solidarność" i wbrew jej apelom o utrzymanie spokoju.

21 października 1981 r. Prymas Glemp spotkał się z Wojciechem Jaruzelskim. Podczas spotkania poruszono sprawę tworzenia wspólnej „płaszczyzny porozumienia narodowego", a Kościół poprzez osobę Prymasa delikatnie sprzeciwił się radykalnym dążeniom części działaczy Solidarności.

26 października 1981 r. rozpoczął się strajk okupacyjny w Wyższej Szkole Inżynierskiej w Radomiu, który następnie wpłynął na wzrost „aktywności strajkowej" w tamtym regionie i na innych wyższych uczelniach w kraju.

28 października 1981 r. Prymas Glemp, po rozmowie z Lechem Wałęsą, zwrócił się z propozycją spotkania „wielkiej trójki" – tzn. Prymasa Glempa, Lecha Wałęsy i gen. Wojciecha Jaruzelskiego[2].

Tego samego dnia Solidarność przeprowadziła jednogodzinny strajk ostrzegawczy w całej Polsce przeciw złemu zaopatrzeniu i szykanowaniu związkowców z Solidarności.

W związku z zaistniałą sytuacją od ostatniej niedzieli października 1981 roku ks. Jerzy Popiełuszko wspólnie z ks. proboszczem parafii św. Stanisława Kostki, Teofilem Boguckim, rozpoczęli organizowanie Mszy św. za Ojczyznę i tych, którzy za nią cierpią[3].

Ksiądz Jerzy Popiełuszko tak mówił o związkach Kościoła z polityką: „(…) Ksiądz Prymas czy Biskupi mają na uwadze troskę o wszystkich ludzi, to dlatego konieczna jest czasami na wysokim szczeblu pewna dyplomacja, by uchronić ludzi od cierpień i poniewierki tam, gdzie

---

[2] A. Paczkowski, *Droga do „mniejszego zła"…*, op. cit., s. 239–240.

[3] *Ksiądz Jerzy*, 1985, s. 4.

można to zrobić. Może czasami budzić niezrozumienie i sprzeciw ze strony ludzi, którzy chcieliby, aby Kościół bardzo zdecydowanie stanął przeciwko władzy. Jednak nie jest to zadanie Kościoła. (…) Dla mnie jako księdza ważne jest, by nie dać się wciągnąć w politykę. Bo nie takie jest moje posłannictwo (…)”[4].

30 października 1981 r. I sekretarz KC PZPR gen. Wojciech Jaruzelski na posiedzeniu Sejmu groził Solidarności wprowadzeniem stanu wyjątkowego w razie kontynuowania strajków, jednocześnie wysunął propozycję utworzenia Rady Porozumienia Narodowego[5].

4 listopada 1981 r. doszło do spotkania „wielkiej trójki” – Prymasa Glempa, Lecha Wałęsy i gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Ze strony Kościoła spotkanie to było dramatyczną próbą podtrzymywania idei porozumienia narodowego, skłonienia strony związkowej do powstrzymywania się od strajków, a strony rządowej – do przestrzegania „porozumień sierpniowych” i obietnic danych po sierpniu 1980 roku. Spotkanie „wielkiej trójki” było impulsem do powstania koncepcji rządu ocalenia narodowego.

Ryszard Reiff, ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX, gorący orędownik „wielkiej koalicji”, tak przedstawiał nowy układ polityczny, który powinien powstać: „Przede wszystkim musi on wyjść z założenia, że w bieżącym życiu politycznym kraju nie może wydarzyć się nic, co nie byłoby aprobowane przez partię, «Solidarność» i Kościół. A więc bez zgody narodu, na wolę którego składają się te trzy siły. To stanowi istotę myśli politycznej, którą ta koncepcja prezentuje”[6].

W listopadzie 1981 roku wysoki funkcjonariusz PZPR Stefan Olszowski na spotkaniu z dziennikarzami „Sztandaru Młodych” tak odniósł się do tej koncepcji: „(…) Koncepcje rządu ocalenia narodowego w gruncie rzeczy sprowadzają się do utworzenia systemu władzy w Polsce, który by się składał z trzech sił: Kościoła katolickiego, «Solidarności» i naszej partii. Przyjęcie tej koncepcji prowadzi do zmian systemu.

---

[4] *Ibidem*, s. 46–54.

[5] J. Holzer, *„Solidarność”…,* op. cit., s. 317.

[6] R. Reiff, *Czas…,* op. cit., s. 259–260.

Prowadziłoby to do kwestionowania pozycji naszej partii, a następnie do jej eliminowania z systemu władzy (…). Z tego nic nie wyjdzie…”[7].

Jesienią 1981 roku nieformalne kontakty przedstawicieli władz z reprezentantami Kościoła uległy intensyfikacji. Bardzo ważnym łącznikiem między gen. Jaruzelskim a Prymasem Glempem był ówczesny znany działacz katolicki prof. Jerzy Ozdowski, będący wicepremierem w rządzie Jaruzelskiego[8].

25 listopada 1981 r. w warszawskiej Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa (WOSP) ogłoszono strajk okupacyjny; sprzeciwiano się zmianom dotyczącym tej szkoły w projekcie ustawy o szkołach wyższych[9]. Strajk studentów WOSP nabrał charakteru politycznego. W szkole zjawili się wiceprzewodniczący Solidarności Regionu Mazowsze Seweryn Jaworski i członkowie Związku, którzy zadeklarowali poparcie warszawskiej Solidarności dla WOSP i zagrozili strajkiem solidarnościowym. Po zerwanych rozmowach, 2 grudnia 1981 r. milicja zaatakowała budynek WOSP i przerwała strajk. W czasie strajku służył tam posługą kapłańską ks. Jerzy Popiełuszko[10], który jednocześnie był łącznikiem miedzy strajkującymi a Prymasem[11].

Obradujące w dniach 27–28 listopada 1981 r. VI Plenum KC PZPR zobowiązało swój Klub Poselski do przedstawienia na posiedzeniu Sejmu projektu uchwały *O nadzwyczajnych środkach działania* w *interesie ochrony obywateli i państwa,* która dawałaby kierownictwu państwowemu możliwość wprowadzenia stanu wojennego.

23 listopada 1981 r. Prymas Polski przyjął rektorów uczelni warszawskich, przedstawicieli stołecznych komitetów strajkowych, reprezentantów

---

[7] D. Fikus, *Foksal ’81*, (brak daty wydania), s. 123.

[8] *Wejdą nie wejdą,* op. cit., s. 248.

[9] Dotąd WOSP podlegała MSW; planowano, by uczelnia ta znalazła się „w gestii” Ministerstwa Obrony Narodowej, co automatycznie eliminowałoby m.in. prawo do demokratycznego samorządu, J. Holzer, *„Solidarność”*, op. cit., s. 330.

[10] *Niezależna Encyklopedia Powszechna A-Z*, t. 1, Warszawa 1986, s. 114–115.

[11] Ks. J. Popiełuszko, *Cena miłości Ojczyzny,* brak miejsca i daty wydania, s. 71.

WSI Radom oraz KKK NZS. W czasie spotkania ks. Prymas stwierdził: „Mur złości i głupoty już częściowo ustąpił, ktoś chce szkody dla naszej Ojczyzny, jest tu prowadzona pewna gra, musimy być ostrożni”[12].

28 listopada 1981 r. Prymas Glemp we Wrocławiu przedstawił swoje stanowisko wobec strajków młodzieży studenckiej: „(…) Wybuchają strajki. Niektóre są pochopnie organizowane, niewielkie mają podstawy, ale są takie, których motywacja jest bardzo prawdziwa. Wydaje się, że ci ludzie, którzy posługują się taką formą protestu, doprowadzeni są do ostateczności, i chcieliby pracować, chcieliby widzieć rezultaty swojej pracy, a jakiś grzech, jakiś błąd, jakiś brak szacunku dla drugiego powoduje te wielkie katastrofy i niedomagania. (…) przyszli do mnie kilka dni temu studenci z uczelni warszawskich wraz ze swoimi rektorami. Przedstawili własne rozterki. Ci młodzi ludzie mówili tak rozsądnie i dojrzale, z taką głęboką myślą o swojej przyszłości, wiedząc, że ich strajk powoduje rozbijanie szkolnictwa (…) Mówiłem wówczas, widząc ich jedność, jedność ich wychowawców: Przestańcie strajkować. Jeśli nie macie motywów, to proszę Was, jako Prymas, zaniechajcie strajków. Oni powiedzieli: Księże Prymasie, bardzo byśmy chcieli, ale nie możemy i mieli prawie łzy w oczach. Bo mówili: przecież to niesprawiedliwe, żebyśmy podjęli i znów zostawili sprawę niezałatwioną (…)”[13].

Stanisław Kociołek na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR 5 grudnia 1981 r. tak powiedział o stanowisku Kościoła wobec strajków studenckich: „(…) W związku ze strajkami na uczelniach należy wywierać silny nacisk na te kierownictwa, które opowiedziały się za strajkiem – pewnego poparcia udzielił Kościół, «Solidarność» w pełni. Semestr jest stracony”[14].

Obradująca 3 grudnia 1981 r. w Radomiu Komisja Krajowa NSZZ „Solidarności” skrytykowała możliwość przyjęcia przez Sejm uchwały *O nadzwyczajnych środkach*… oraz stwierdziła, że idea frontu porozumienia narodowego była kamuflażem dla przygotowania się przez

[12] A. Anusz, *Niezależne…*, op. cit., s. 24.

[13] J. Glemp, *Nauczanie pasterskie 1981–1982*, t. 1, Poznań 1988, s. 127.

[14] *Tajne dokumenty*…, op. cit., s. 561.

władze do konfrontacji ze społeczeństwem, czego przykładem jest złamanie siłą strajku warszawskiej WOSP.

5 grudnia 1981 r. na Śląsk przybyli Prymas Polski i liczni członkowie Episkopatu. Uroczystości z okazji Barbórki zgromadziły setki tysięcy ludzi. Prymas celebrował mszę św. w kościele św. Barbary, patronki górników, w Bytomiu. Dokonał poświęcenia sztandaru NSZZ „Solidarność" w kopalni „Rozbark"[15].

Bardzo ważnym głosem Kościoła wobec sytuacji w kraju, w „przeddzień" wprowadzenia stanu wojennego, był specjalny list Prymasa Glempa skierowany 6 grudnia 1981 r. do Marszałka Sejmu PRL, Konwentu Seniorów i posłów: „W związku z przedstawionym Sejmowi projektem ustawy o specjalnych pełnomocnictwach dla rządu, pozwalających na daleko idące ograniczenia praw obywatelskich, w tym również prawa do strajku, Kościół widząc swe posłannictwo także w trosce o prawa jednostki ludzkiej zbiorowości i o zabezpieczenie pokoju społecznego w naszej Ojczyźnie, uważa za swój obowiązek zwrócić uwagę najwyższego organu władzy państwowej na następujące okoliczności:

Aktualna sytuacja społeczna i gospodarcza kraju jest bardzo trudna. W obliczu zbliżającej się zimy i stojącej przed nami perspektywy ograniczeń przy zaspokajaniu normalnych potrzeb społecznych, palącą koniecznością jest spokój wewnętrzny, wzajemne zrozumienie i staranne unikanie konfliktów. Kościół wyraża głęboką troskę i obawę, że uchwalenie przez Sejm wspomnianej ustawy, zakłóci spokój wewnętrzny, zerwie z trudem zawiązujące się nici porozumienia i wywoła groźny konflikt społeczny.

Stwierdzić trzeba, że od dłuższego czasu organizacje zawodowe świata pracy, a przede wszystkim najpotężniejsza z nich NSZZ «Solidarność» – walczą z wybuchającymi spontanicznie akcjami strajkowymi. Wydanie w tej chwili obecnej aktu prawnego zakazującego na drodze przemocy administracyjnej stosownie do środka protestu grozi wzburzeniem nastrojów społecznych, ogromnym naciskiem z dołu na władze związkowe i żądaniem strajku generalnego.

---

[15] R. Reiff, *Czas…*, op. cit., s. 306.

W tej chwili nie grożą krajowi szerokie działania strajkowe. Wydanie właśnie teraz antystrajkowej ustawy doprowadziłoby do strajków o zasięgu i konsekwencjach trudnych do przewidzenia.

Kościół mając na uwadze zarówno dobro ludzi pracy, jak i Państwa, dzieląc od 1000 lat dobre i złe losy naszej wspólnej Ojczyzny, przestrzega Sejm PRL przed podjęciem decyzji, która w sposób tragiczny zaważyłaby na losach kraju"[16].

Przytoczony list Prymasa Józefa Glempa do Sejmu PRL jest dowodem na znakomitą orientację i zrozumienie przez władze kościelne realiów sytuacji w kraju, na ciągłe poparcie dla Solidarności oraz na zdecydowany i kategoryczny sprzeciw Kościoła wobec rozwiązań siłowych.

Wydaje się, ze przedstawiciele władz kościelnych na początku grudnia 1981 roku mieli już pełną świadomość nieuchronności wprowadzenia stanu wojennego, do czego nie byli przekonani jeszcze w listopadzie 1981 roku.

Prezes Rady Ministrów gen. Wojciech Jaruzelski powiedział o inicjatywie Prymasa z 6 grudnia 1981 r.: „(…) przynajmniej w jednym momencie miałem do prymasa żal. W pierwszych dniach grudnia zaangażował się bowiem bardzo mocno przeciwko przyznaniu Rządowi przez Sejm specjalnych pełnomocnictw na okres zimowy. Na jednym z kolejnych naszych spotkań, kiedy minęły już emocje, powiedziałem żartobliwie: To ksiądz prymas faktycznie wprowadził stan wojenny Gdyby ustawa o pełnomocnictwach została uchwalona, to może by do niego nie doszło.

On też był pod wielkim ciśnieniem. Był przekonany, że jeśli Sejm wprowadzi specjalne pełnomocnictwa, to wybuchnie strajk generalny, będą jakieś zaburzenia. Chciał tego Polsce oszczędzić. Tak mi to uzasadnił (…)"[17].

Dzień wcześniej, 5 grudnia 1981 r. Prymas Glemp spotkał się z delegacją Solidarności z Lechem Wałęsą na czele i przestrzegał ich przed

---

[16] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat Polski o stanie wojennym. Kazania, listy, przemówienia i komunikaty*, oprac. P. Raina, Londyn 1982, s. 37–38.

[17] W. Jaruzelski, *Stan Wojenny. Dlaczego…*, Warszawa 1992, s. 196.

eskalacją żądań, mówiąc też, że „przekroczyli uprawnienia dane im przez świat pracy".

Do spotkania tego doszło w związku z informacją otrzymaną przez Prymasa od Andrzeja Micewskiego: „Jeden z wysoko postawionych przyjaciół partyjnych powiedział (…), że konflikt w Polsce będzie musiał zostać rozwiązany do 15 grudnia, bo poborowym przedłużono już służbę wojskową i upływa ona w dniu 15 grudnia, a ponowne przedłużenie nie jest możliwe"[18].

Według Karola Modzelewskiego „wiadomość ta nie wywarła wielkiego wrażenia, bo nie wniosła zasadniczo nowych elementów. Przedmiotem rozmów Wałęsy i doradców z Prymasem był list, jaki Prymas wystosował do Prezydium Sejmu i do klubów poselskich w celu zablokowania ustawy o uprawnieniach nadzwyczajnych. Bodaj na dwa dni przed ostatnim posiedzeniem KK, tj. 9 lub 10 grudnia 1981 r. władze poinformowały Prymasa, że wycofują ten projekt spod obrad Sejmu. Część doradców KK, pozostająca w ścisłym kontakcie z Episkopatem uznała wówczas, że rząd zrezygnował na razie z konfrontacyjnych planów. Episkopat nie mógł przedstawić Związkowi wiadomości o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego, ponieważ sam taką wiadomością nie dysponował"[19].

7 grudnia 1981 r. odbyło się spotkanie, w którym obok Prymasa udział wzięli sekretarz Episkopatu biskup Bronisław Dąbrowski i dyrektor Biura Prasowego ks. Alojzy Orszulik, ze strony Solidarności – Lech Wałęsa, Stanisław Wądołowski, Seweryn Jaworski i Karol Modzelewski oraz doradcy KK, Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Wielowieyski. Uczestnik spotkania Karol Modzelewski tak je relacjonował: „(…) Prymas stwierdził, że wspólnym obowiązkiem Kościoła i «Solidarności» jest niedopuszczenie do rozlewu krwi. Dodał, że ma wrażenie, jakbyśmy w swoim rozumowaniu nie uwzględniali uwarunkowań geopolitycznych, a to jest przecież podstawowa sprawa. (…) Następnie

[18] A. Micewski, *Katolicy w…,* op. cit., s. 83.

[19] K. Modzelewski, *„Solidarność"* w *przededniu wojny*, „Obecność", Niezależne Pismo Literackie nr 12, Wrocław 1985, s. 42–43.

Prymas przekazał głos arcybiskupowi Dąbrowskiemu dla przedstawienia propozycji, która była głównym przedmiotem spotkania.

Arcybiskup (jeszcze biskup – A.A.) Dąbrowski podkreślił, że w napiętej sytuacji warto podtrzymywać nić kontaktu z władzami, nawet jeśli nie ma szans na szybkie osiągnięcie zgody. Zaoferował pośrednictwo Episkopatu i wyraził przypuszczenie, że uda się doprowadzić do spotkania Wałęsy z sekretarzem KC Barcikowskim. Wałęsa zwrócił się do Prymasa z sugestią, by doprowadzić raczej do ponownego spotkania «wielkiej trójki», ale Prymas tylko pokręcił głową. Wałęsa oświadczył wówczas, że spotka się tylko z Jaruzelskim, a na uwagę Jaworskiego, że rozmowa z Barcikowskim może być też interesująca, odpowiedział, że nie weźmie w niej udziału. Na taką rozmowę może się udać wiceprzewodniczący KK Wądołowski z Jaworskim, «a jeśli będzie generał, to pójdę ja z Karolem» (obecność moja, jak i Jaworskiego miała być niewątpliwie asekuracją na wypadek zarzutów ze strony KK). Ustalono, że delegacja Związku zaczeka w hotelu «Solec» na wiadomość w tej sprawie. Późnym wieczorem nadeszła spodziewana odpowiedź: Barcikowski uchyla się od rozmowy, a delegację «Solidarności» może przyjąć minister Ciosek. Równało się to odmowie. Do kontaktu z rządem nie doszło”[20].

Kolejnym krokiem Prymasa Glempa dla zapobieżenia rozwojowi sytuacji w kraju w kierunku najtragiczniejszym był apel, wystosowany do przewodniczącego Solidarności Wałęsy 8 grudnia 1981 r., o kontynuowanie dialogu w atmosferze spokoju, bez dążeń do konfrontacji. Prymas pisał: „(…) Kościół katolicki w Polsce z bólem serca obserwuje narastające złowrogie nastroje w naszym społeczeństwie, których rozładowania dopatruje się w konfrontacji. Ból ten powoduje przede wszystkim stwierdzenie przejawów nienawiści społecznej, co jest w sprzeczności z posłannictwem Kościoła, które głosi i głosić będzie miłość i przebaczenie. Uważam, że dla złagodzenia wrogich, a więc nienawistnych nastrojów może przyczynić się dialog.

[20] *Ibidem*, s. 41–42.

Doszliśmy przecież do takiego stopnia cywilizacji, że możemy przeciwnikowi wytłumaczyć i od niego tłumaczenie przyjąć. To, co jest racją dobra społecznego i harmonijnie pojętych interesów różnych grup społecznych. Istota rozwoju cywilizacji polega na tym, że przyjmuje się siłę racji rozumowych. Porozumienie – to zebranie racji wypracowanych przez rozum, który może dotrzeć do prawdy, natomiast prawdę zaciemnia często emocja, stany napięć, presji i jątrzenia. Kościół katolicki od początku patrzy z sympatią na odnowę, jaką podjął związek zawodowy reprezentowany przez Pana. Dotychczasowe wielkie osiągnięcia nie mogą być zniweczone przez nierozwagę, która nazywa się konfrontacją. Trzeba podjąć dialog, który dotychczas tak trudny, nie jest bezowocny. Ufam, że styl dialogu podjęty podczas rozmowy w dniu 4 XI 1981 r. będzie modelem do dalszych rozmów i będzie obejmował kręgi społeczne. W tej trójce sił Kościół pragnie służyć partnerom: władzom i związkowemu ruchowi odnowy – swoim doświadczeniem, refleksją ewangeliczną i ludzką życzliwością (…)”[21].

Apel Prymasa Glempa z 8 grudnia 1981 r. Wałęsa miał przedstawić na posiedzeniu Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku, odbywającej się w dniach 11–12 grudnia 1981 roku. Warto zwrócić uwagę, jak racjonalnych i odwołujących się do osobistych ambicji przewodniczącego Solidarności argumentów użył Prymas, by przekonać go do pokojowego rozwiązania konfliktu. Jak na osobę duchowną i ze stosunkowo niedługim „stażem politycznym”, była to wypowiedź świadcząca o dobrej orientacji Prymasa w sprawach społeczno-politycznych.

Następnego dnia, 9 grudnia 1981 r., Prymas Glemp przyjął Lecha Wałęsę i doradców Związku; nawoływał ich do rozwagi i nie wypuszczenia spod kontroli zbliżającego się posiedzenia Komisji Krajowej w dniach 11–12 XII 1981 roku.

Tego samego dnia, tzn. 9 XII 1981 r. ks. Prymas zwrócił się z apelem o ostateczne zakończenie strajku na uczelniach. Trzeba stwierdzić, że apel wystosował po zasięgnięciu opinii Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS; pytał, czy taka inicjatywa będzie pomocna. Po tym

[21] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat…*, op. cit., s. 38–39.

wezwaniu postanowiono zakończyć strajki na uczelniach[22]. Prymas w odezwie do studentów stwierdził: „Winszuję wam tej decyzji, której kraj wyczekiwał z utęsknieniem, a która świadczy o dojrzałej ocenie osiągniętych rezultatów”[23].

Jeśli wziąć pod uwagę czas, to w ciągu dwóch tygodni Prymas i Episkopat poczynili dużo kroków dla ratowania spokoju w kraju.

10 grudnia 1981 r. odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KPZR, które w trybie nadzwyczajnym zajęło się sytuacją w Polsce. Dyskusja najwyższego gremium Związku Radzieckiego ukazuje rzeczywiste okoliczności wprowadzenia stanu wojennego w Polsce.

Specjalny wysłannik KPZR, Bajbakow, opisał swoje spotkanie z gen. Jaruzelskim: „Był bardzo zdenerwowany. Czuło się, że wywarł na nim silne wrażenie list głowy polskiego Kościoła katolickiego arcybiskupa Glempa (z 6 grudnia 1981 r. – A.A.), który, jak wiadomo, obiecywał, że wypowie świętą wojnę władzom polskim”[24].

Z kolei Rusakow przedstawił przygotowania do wprowadzenia przez polskie władze stanu wojennego: „Przedwczoraj odbyła się u nich narada sekretarzy komitetów wojewódzkich. (…) Mowa była o operacji «X». Początkowo mówiono, że nastąpi ona w nocy z 11 na 12, potem, że z 12 na 13. A teraz mówi się, że nastąpi to ok. 20. Przewiduje się, że w radiu i telewizji wystąpi przewodniczący Rady Państwa Jabłoński i ogłosi wprowadzenie stanu wojennego. (…) Na posiedzeniu Biura Politycznego (PZPR – A.A.) decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego, o podjęciu bardziej zdecydowanych działań przeciwko ekstremistycznym działaczom «Solidarności» została podjęta jednogłośnie, nikt nie wyrażał żadnych sprzeciwów. Jednocześnie Jaruzelski przewiduje skontaktowanie się w tej sprawie z sojusznikami. Mówi, że jeśli siły polskie nie poradzą sobie z oporem «Solidarności», to towarzysze polscy

---

[22] A. Anusz, *Niezależne…*, op. cit., s. 28.

[23] A. Micewski, *Kościół wobec…*, op. cit., s. 69.

[24] *Dokumenty. Teczka Susłowa. Posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR*, 10 grudnia 1981 r., Warszawa 1993, s. 77.

mają nadzieję na pomoc innych krajów, aż do wprowadzenia sił zbrojnych na terytorium Polski. (…)”[25].

Szef KGB Andropow ocenił stanowisko Prymasa: „Kościół w ostatnich dniach również przedstawił swoje jasne stanowisko. W istocie przeszedł na stronę «Solidarności»[26]. – Dalej stwierdził: – Jaruzelski dość stanowczo stawia przed nami żądania gospodarcze i uzależnia przeprowadzenie operacji «X» od naszej pomocy gospodarczej i, powiedziałbym nawet więcej, że stawia sprawę, chociaż nie wprost, pomocy wojskowej. (…) Nie zamierzamy wprowadzać wojska do Polski. To jest słuszne stanowisko i musimy przestrzegać go do końca. Nie wiem, jak będzie z Polską, ale nawet jeśli Polska będzie pod władzą «Solidarności», to tylko jedna sprawa. A jeśli na Związek Radziecki rzucą się kraje kapitalistyczne, a oni już mają odpowiednie uzgodnienia o różnego rodzaju sankcjach ekonomicznych i politycznych, to dla nas będzie to bardzo ciężkie. Powinniśmy przejawiać troskę o nasz kraj, o umacnianie Związku Radzieckiego. To jest nasza główna linia”[27].

Z kolei Gromyko, minister spraw zagranicznych, podejmując wątek ewentualnej interwencji wojsk radzieckich, zaznaczył, że: „Będziemy musieli postarać się jakoś stłumić oczekiwania Jaruzelskiego i innych przywódców Polski odnośnie wprowadzenia wojsk. Nie może być żadnego wprowadzenia wojsk do Polski. Myślę, że w tej sprawie możemy dać polecenie naszemu ambasadorowi, by udał się do Jaruzelskiego i go o tym poinformował”[28]. Odniósł się do tego Ustinow – minister obrony: „Jeżeli chodzi o to, że rzekomo tow. Kulikow mówił coś o wprowadzeniu wojsk do Polski, to mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że tego Kulikow nie mówił”[29].

Przewodniczący komisji KPZR do spraw polskich Michaił Susłow, w nawiązaniu do podstawowego wątku dyskusji o ewentualnej

---

[25] *Ibidem*, s. 79–81.
[26] *Ibidem*, s. 81.
[27] *Ibidem*, s. 83.
[28] *Ibidem*, s. 85.
[29] *Ibidem*, s. 89.

interwencji zbrojnej powiedział, że jej nie będzie: „Jeżeli wojska zostaną wprowadzone, to oznaczać to będzie katastrofę. Myślę, że mamy tu wszyscy wspólny pogląd, że nie może być mowy o żadnym wprowadzeniu wojsk”[30].

Podobnie wypowiedzieli się jeszcze Griszin i Czernienko, natomiast tak wyrażone stanowisko o niemożliwości interwencji zbrojnej w Polsce przyjęło całe Biuro Polityczne KPZR z Sekretarzem Generalnym Leonidem Breżniewem na czele[31].

Dyskusja ta i decyzja Biura Politycznego KPZR obala podstawowy argument gen. Wojciecha Jaruzelskiego, że władze wprowadziły stan wojenny jako „mniejsze zło”, aby zapobiec interwencji radzieckiej.

Władimir Bukowski, który miał dostęp do najtajniejszych dokumentów Kremla jednoznacznie stwierdza, że Moskwa nie przygotowywała żadnej inwazji, gen. Jaruzelski zaś świetnie o tym wiedział. Co więcej, nie dowierzając zbytnio armii polskiej, pod koniec 1981 roku sam wielokrotnie prosił o wprowadzenie wojsk radzieckich, lecz otrzymał z Kremla stanowczą odmowę[32].

Również ówczesny głównodowodzący wojsk Układu Warszawskiego marszałek Wiktor Kulikow jednoznacznie stwierdził kilka lat temu, że: „(…) teraz z całą odpowiedzialnością chcę stwierdzić, że planu wkroczenia naszych wojsk, wojsk Układu Warszawskiego na terytorium Polski nie było”[33].

Rosyjski historyk Rudolf Pichoja, mający dostęp do najtajniejszych archiwów Kremla stwierdził: „Nigdzie w protokołach politbiura nie ma najmniejszej wzmianki o przygotowaniach do wkroczenia wojsk radzieckich do Polski. O presji na polskie kierownictwo, o nieustannych żądaniach wprowadzenia stanu wojennego – jest wiele materiału, ale o przygotowaniach do inwazji – nie ma ani jednego dokumentu”[34].

---

[30] *Ibidem*, s. 91.

[31] *Ibidem*, s. 91–93.

[32] W. Bukowski, *Moskiewski proces*…, op. cit., s. 561.

[33] *Wejdą nie wejdą…,* op. cit., s. 202.

[34] R. Pichoja, *Bratni blef*, „Gazeta Wyborcza” 13 XII 2000.

Z kolei prof. Zbigniew Brzeziński zauważył: „Strona radziecka była gotowa do interwencji wojskowej w Polsce po raz pierwszy w grudniu 1980, a następnie w marcu 1981 roku. W obydwu przypadkach dwie kolejne amerykańskie administracje dały do zrozumienia, że taka interwencja miałaby poważne konsekwencje, a przesłanie to tymczasem stało się bardziej wiarygodne na skutek amerykańskiego poparcia dla afgańskich sił oporu. W tych okolicznościach przywódcy Kremla wybrali drogę posłużenia się częściowo skutecznym wprowadzeniem stanu wojennego przez samych polskich komunistów”[35].

Sądzę, że gen. Wojciech Jaruzelski, podejmując decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego, działał w myśl ówczesnych schematów postępowania władz komunistycznych w sytuacjach kryzysów społecznych. Fakt, że posługiwał się „straszakiem radzieckim” wynikał jedynie z ostrości ówczesnego kryzysu politycznego w Polsce. Już dziś widać, że teza „o mniejszym złu” jest trudna do obronienia. Z kolei po latach generał Jaruzelski stwierdza że „«Solidarność» miała dalekosiężną, historyczną rację, która w ostatecznym rachunku – chociaż w zgoła innej niż w 1981 r. społeczno-ekonomicznej filozofii – zwyciężyła”[36].

Na pytanie, czy gdyby komunistyczne władze nie wprowadziły stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku, Polska odzyskałaby niepodległość wcześniej niż w roku 1989, wciąż nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Na posiedzeniu KK w Gdańsku (11–12 grudnia 1981 r.) zaakceptowano stanowisko KK z Radomia (3 grudnia 1981 r.), nie wierząc do końca w groźbę wprowadzenia stanu wojennego. Za takim stanowiskiem przemawiał też fakt powiadomienia Prymasa Glempa przez władze państwowe o wycofaniu z Sejmu projektu o stanie wyjątkowym[37].

Pozostający w opozycji do Lecha Wałęsy inny działacz Solidarności Andrzej Gwiazda, stwierdził, że: „Frakcja związana z Wałęsą prowadziła zakulisowe rozmowy z rządem o warunkach wprowadzenia stanu

---

[35] Z. Brzeziński, *Spadek po zimnej wojnie*, Warszawa 1993, s. 184.

[36] W. Jaruzelski, *Różnić się mądrze. Jak doszło do stanu wojennego*, Warszawa 1999/2000, s. 32.

[37] J. Kuroń, *Gwiezdny…*, op. cit., s. 249.

wojennego". Ostatnia na ten temat odbyła się między posiedzeniami Krajówki na plebani kościoła św. Brygidy, w nocy z 11 na 12 grudnia. Postawiono na niej warunki, przy których stan wojenny będzie wstrzymany i warunki te zostały przyjęte. Zobowiązano się oczyścić Związek z ekstremy, zawiesić prawo do strajku i wycofać z jakiejkolwiek działalności politycznej. Wałęsowcy przyjęli te warunki, więc byli przekonani, że stan wojenny nie zostanie wprowadzony[38]. Trudno zweryfikować tę informację. Jednak ta wypowiedź potwierdza fakt coraz większych w tym czasie podziałów w Związku.

11 grudnia 1981 r. Prymas, jak się okazało po raz ostatni przed wprowadzeniem stanu wojennego, w dramatycznych słowach zaapelował o powstrzymanie się od czynienia zła, o wzajemne przebaczenie i solidarność ludzi pracy. Była to już raczej modlitwa o zjednoczenie narodu i pokój w kraju, a nie konkretne działania. Prymas Glemp powiedział wtedy: „(…) W niebezpiecznych dniach Adwentu, gdy grozi nam bratobójcza walka, powinniśmy ufnie kierować nasze kroki ku Bogu (…) Sposoby osiągnięcia dobra muszą być dobre i etyczne. Nie możemy popełniać zła dla osiągnięcia dobra, ponieważ cel nie uświęca środków (…) Przebaczyć komuś – to znaczy także uznać, że winowajca może się zmienić, że nie musi do końca być winowajcą i krzywdzicielem (…) Módlmy się za tych braci, którzy oddali się służbie wojskowej i milicyjnej. Ich praca bardziej niż czyjakolwiek wymaga dyscypliny i posłuszeństwa. Wychowani i zaprawieni do posłuszeństwa, często tracą kontakt z odczuciami ludu, z którego wyszli. Pozostają jednak dziećmi tego samego Narodu (…)"[39].

Po latach Prymas Glemp wspominał jak oceniał ówczesną Solidarność: „Wiedziałem (…), że «Solidarność», która wówczas poczynała sobie śmiało, była nieprzygotowana do rządzenia krajem. Miałem spore wątpliwości, czy przynajmniej te osoby, które znałem, są na tyle sprawne, na tyle przygotowane, aby ponieść odpowiedzialność za kierowanie państwem. (…). «Solidarność» była fasadą patriotyzmu i religijności,

[38] L. Mażewski, *W objęciach utopii…*, op. cit., s. 74.

[39] „L'Osservatore Romano" nr 12, 1981, s. 20.

ale wewnętrzna kompozycja tego organizmu na to nie wskazywała. Moje wewnętrzne rozeznanie «Solidarności» mówiło, że jest tam dużo ludzi «nasłanych» z lewicy. Autentycznie bałem się, że to nie jest formacja przygotowana do przejęcia władzy. Zresztą, na ile mogłem, przed tym ich ostrzegałem. Wątpliwości nie negowały jednak pełnego uznania dla idei «Solidarności»"[40].

11 grudnia 1981 r. rozpoczął się Kongres Kultury Polskiej, którego uczestnicy wystosowali depeszę do Papieża: „Uczestnicy Kongresu Kultury Polskiej przesyłają Waszej Świątobliwości wyrazy głębokiej czci. Wierzymy, że w tym zgromadzeniu jest Ojciec Święty obecny sercem i duchem, a swoje uczestnictwo w Kongresie wykazał wkładem, jaki wniósł do polskiej kultury".

Na telegram ten nadeszła odpowiedź Ojca Świętego: „Na ręce Prymasa Polski pragnę złożyć serdeczne podziękowania wszystkim uczestnikom odbywającego się w Warszawie Kongresu Kultury Polskiej za życzliwe słowa, jakie zechcieli do mnie skierować. Równocześnie wyrażam gorące życzenia i głębokie przekonanie, że ta pogłębiona refleksja – szczególnie obecnie tak bardzo potrzebna – nad naszym narodowym dziedzictwem kulturalnym, które jest dla nas darem i równocześnie odpowiedzialnym zadaniem, posłuży twórcom kultury w wypełnianiu ich wzniosłego powołania zgodnie ze znakami czasu i potrzebami Narodu, a wszystkim w ciągłym odnajdywaniu w kulturze własnej tożsamości i godności oraz natchnienia w podejmowaniu zadań, jakie każdemu pokoleniu stawiają jego czasy. W tym duchu łączę się sercem, myślą i modlitwą z uczestnikami Kongresu i ich pracą"[41].

W obradach Kongresu uczestniczyła także delegacja Episkopatu Polski. W jej imieniu przemawiał ks. Janusz Pasierb[42].

Owo niezależne forum, wyraz jedności oraz solidarności twórców i intelektualistów, było z jednej strony znakiem sprzeciwu wobec dotychczasowej polityki władz PRL, z drugiej – poszukiwaniem

---

[40] *Polityk powinien mieć wychowanie klasztorne*…, op. cit.

[41] J.J. Szczepański, *Kadencja…,* op. cit., s. 134.

[42] R. Reiff, *Czas*…, op. cit., s. 315.

i ukazywaniem społeczeństwu kierunku przemian Polski po sierpniu 1980 roku. Podjęto na nim kwestię prawa do swobodnego obiegu kultury i wolności jej tworzenia. Uczestnicy deklarowali „jedność i niepodległość kultury polskiej, gdziekolwiek by ona powstała, w oficjalnym i nieoficjalnym obiegu druków i widowisk, w kraju i poza krajem, we wszystkich formach nieskrępowanej wymiany myśli”[43].

11 grudnia 1981 r. ambasador ZSRR w Warszawie, Aristow, marszałek Kulikow i rezydent KGB Pawłow we wspólnym sprawozdaniu dla Biura Politycznego KC KPZR podkreślili, że przygotowania do operacji „X” (wprowadzenie stanu wojennego) zostały zakończone, ale: „W obliczu skłonności W. Jaruzelskiego do wahań i powątpiewania nie możemy wykluczyć możliwości, że ugnie się pod naciskiem Episkopatu i innych sił, nie podejmie ostatecznej decyzji i będzie nadal kroczył drogą ustępstw i porozumień. W obecnej sytuacji postępowanie takie może okazać się fatalne w skutkach dla PZPR i dla przyszłości socjalizmu w Polsce”[44].

12 grudnia 1981 r. gen. Jaruzelski zatelefonował do Breżniewa i Susłowa, prosząc ich o zgodę na rozpoczęcie wieczorem operacji „X”. Obaj zgodzili się[45].

12 grudnia 1981 r. o godz. 19.00 szef MSW gen. Czesław Kiszczak wydał rozkaz przystąpienia do operacji „Brzoza 81”. Był to bezpośredni sygnał do wprowadzenia stanu wojennego[46].

12 grudnia 1981 r., po północy, zebrała się w trybie nagłym Rada Państwa. Jej członkowie, z wyjątkiem Ryszarda Reiffa, udzielili poparcia przedstawionemu im zestawowi dekretów o wprowadzeniu stanu wojennego, postępowaniu w kwestii przestępstw i wykroczeń oraz zmiany ustroju sądów wojskowych i prokuratury wojskowej, które otrzymały uprawnienia wobec cywilów naruszających prawa stanu wojennego.

---

[43] Ks. W. Niewęgłowski, *Nowe przymierza Kościoła i środowisk twórczych w Polsce w latach 1964–1996*, (Doświadczenie Warszawskie), Warszawa 1997, s. 110.

[44] Ch. Andrew, W. Mitrochin, *Archiwum Mitrochina*…, op. cit., s. 922.

[45] *Ibidem*, s. 922.

[46] „Życie Warszawy” 12 V 1994.

Była to już tylko formalność, bowiem kilka dni wcześniej generał Wojciech Jaruzelski uzyskał nieformalne poparcie dla wprowadzenia stanu wojennego od przewodniczącego Rady Państwa, a za jego pośrednictwem większości jej członków[47].

Tej nocy, do Sekretarza Episkopatu Polski, biskupa Bronisława Dąbrowskiego zgłosili się przedstawiciele Solidarności Regionu Mazowsze, którzy widząc ruchy sił bezpieczeństwa obawiali się aresztowań. Biskup postanowił zadzwonić do członka Biura Politycznego KC PZPR, współprzewodniczącego Komisji Mieszanej Kazimierza Barcikowskiego. Jednak nie udało się, w tym czasie telefony były już wyłączone[48].

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. milicja aresztowała kilka tysięcy działaczy Solidarności. Wśród zatrzymanych byli również księża, między innymi Stanisław Małkowski i Leon Kantorski; później ich zwolniono.

Aresztowano również przewodniczącego rolniczej Solidarności Jana Kułaja. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. wracał z Gdańska, z posiedzenia Komisji Krajowej Solidarności. W okolicach Ostródy samochód ugrzązł w zaspie, ustępując miejsca nadjeżdżającym czołgom. Kierowca powiedział naiwnie milicjantom, aby go przepuścili, bo wiezie przewodniczącego Kułaja, który następnego dnia ma się spotkać z kardynałem Józefem Glempem i prof. Andrzejem Stelmachowskim. Przewodniczący noc spędził w komisariacie, m.in. z prof. Bronisławem Geremkiem. Po trzech dniach internowania w Iławie przeniesiono go do willi, którą kiedyś zajmował Edward Gierek w Konstancinie-Jeziornie, a miejsce zdążył już zagrzać Lech Wałęsa.

Po czterech miesiącach internowania reżimowa telewizja pokazała Kułaja w objęciach Romana Malinowskiego. Po latach przyznał, że był wtedy po kilku miesiącach internowania i dał się złapać na prowokację władzy. Tłumaczył, że był załamany, gdy usłyszał komunikat, że Episkopat upomniał się o internowanych intelektualistów i Lecha Wałęsę.

---

[47] W. Jaruzelski, *Różnić się mądrze…,* op. cit., Warszawa 1999/2000, s. 8.

[48] A. Micewski, *Kościół wobec…*, op. cit., s. 67.

„Uznałem, że o przywódcy związku znów zapomniano". Któregoś dnia odwiedził go oficer i powiedział, że następnego dnia pojedzie na Grzybowską (siedziba Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego). Tam czekał już na niego Roman Malinowski i telewizja. Cały kraj zobaczył jak dziękuje Malinowskiemu. Generał Wojciech Jaruzelski, na wniosek prezesa ZSL, uchylił decyzję o jego internowaniu. Był jednym z pierwszych działaczy Solidarności, który wszedł w układ z komunistami. Działacze podziemia uznali go za zdrajcę. Z kościołów zniknęły jego podobizny, pod którymi wierni składali kwiaty[49]. Nie wszyscy zdali wtedy ten trudny egzamin.

13 grudnia 1981 r. od rana radio i telewizja nadawały przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego. Jaruzelski jednocześnie oświadczył: „Doceniamy patriotyczne stanowisko Kościoła". Było to, jak można przypuszczać, taktyczną pochwałą i stwierdzeniem sugerującym, że władze nie spodziewają się aktywnego sprzeciwu ze strony Kościoła[50].

W dekrecie o stanie wojennym zapisano, że przepisy o zawieszeniu organizacji nie dotyczą Kościołów i związków wyznaniowych, a przepis o pozwolenie na zwołanie i odbycie zgromadzenia nie dotyczy nabożeństw i obrzędów religijnych Kościołów i związków wyznaniowych.

13 grudnia 1981 r. o godzinie 5.30 rano do rezydencji Prymasa w Warszawie przy ul. Miodowej zgłosili się przedstawiciele władz: Kazimierz Barcikowski w towarzystwie gen. Ryby i ministra Jerzego Kuberskiego, którzy powiadomili Prymasa o wprowadzeniu stanu wojennego. Prymas Glemp należał do tych osób, które – podobnie jak pierwsi sekretarze KW, komisarze wojskowi czy wojewodowie – zostały zawiadomione oficjalnie o wprowadzeniu stanu wojennego, zanim zaczęto emitować przemówienie gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Niewiele wcześniej, ale jednak. Nic dziwnego. „Doskonale zdawałem sobie sprawę – wspomina Barcikowski – że to właśnie w Kościele znajduje się przycisk, przy którego użyciu można było tego dnia zdetonować

[49] J. Matusz, *Przywódca z przypadku*, „Rzeczpospolita" 17–18 II 2001.
[50] J. Karpiński, *Dziwna wojna*, Paryż 1990, s. 54.

Polskę"[51]. Godzinę później biskup Bronisław Dąbrowski i ks. Alojzy Orszulik w Urzędzie do Spraw Wyznań na ręce ministra Jerzego Kuberskiego złożyli oficjalny protest i zażądali umożliwienia spotkania przedstawicieli Kościoła z przewodniczącym Solidarności Lechem Wałęsą[52].

Prymas Glemp wspominał: „O przygotowaniu stanu wojennego nikt z biskupów nie wiedział i nikt nie przypuszczał, że on w tym czasie nastąpi. Nie zgadzam się też z wypowiadanymi dzisiaj przez generała (Jaruzelskiego – A.A.) tezami, że chciał konstruktywnych rozmów z «Solidarnością». Sądzę, że gdyby dialog był prowadzony uczciwie, to Rosja by się do naszych spraw nie wtrącała. (…) Myślałem wówczas, że stan wojenny jest czymś przejściowym i musi się skończyć, a sytuacja zmienić"[53].

Mimo zewnętrznych trudności Kościół jako jedyna instytucja społeczna zachował możliwość niezależnego działania, chociaż został poddany zmasowanej inwigilacji. Informacji operacyjnych dostarczali, poza etatowymi funkcjonariuszami MSW lub słuchaczami milicyjnych szkół, tajni współpracownicy odwiedzający kościoły i domy parafialne w całym kraju. Szczegółowe raporty z każdej Mszy św. i spotkania wiernych, stałe śledzenie ruchów księży, obowiązek ciągłego odczytywania wszystkiego, co wieszano na kościelnych tablicach informacyjnych, na drzwiach czy ścianach, lub nagrywanie wszystkiego, co mówili księża, stanowiło źródło informacji władz. Jednocześnie funkcjonariusze MSW przystąpili do akcji rozmów profilaktycznych i ostrzegawczych z księżmi w całym kraju. W meldunku nr 29 z 20 grudnia 1981 r.

---

[51] A. Paczkowski, *Droga do mniejszego zła*…, op. cit., s. 276.

Ze względu na znaczenie głowy Kościoła w Polsce, Barcikowski już o 2.30 rano wysłał do Prymasa ministra Kuberskiego, aby zapowiedział ich wizytę. Ministrowi Kuberskiemu nie udało się dostać do pałacu Prymasowskiego. Wrócił do gmachu Komitetu Centralnego. Barcikowski wysłał Kuberskiego ponownie. Bez rezultatu. Dopiero za trzecim razem całej delegacji władz udało się dostać do siedziby Prymasa. G. Meretik, *Noc Generała*, Warszawa 1989, s. 85.

[52] A. Micewski, *Kościół wobec…,* op. cit., s. 67.

[53] *Polityk powinien mieć wychowanie klasztorne*…, op. cit.

Departament IV MSW stwierdził, że w trakcie tych rozmów pozyskano do współpracy 585 osób[54]. Informacja ta jest bardzo trudna do zweryfikowania. Nie wiadomo też, jaki charakter miały te „pozyskania" i czy dotyczyły tylko duchownych, czy też obejmowały osoby świeckie.

Sytuacja w kraju uległa radykalnej zmianie – kierownictwo partyjno-rządowe użyło siły przeciwko całemu społeczeństwu dla wyegzekwowania swojego stanowiska.

Pierwszą reakcją Prymasa Glempa na stan wojenny było kazanie wygłoszone 13 grudnia 1981 r. o godz. 9.00 rano na Jasnej Górze w Częstochowie, do licznie przybyłej z kraju młodzieży akademickiej, która po zakończonych strajkach była tam z pielgrzymką NZS. W związku z zaistniałą sytuacją musiano zmienić intencję Mszy św.[55].

Prymas Polski powiedział, że stan wojenny: „wymaga szczególnej mądrości (…) mądrość to nie jest rozbijanie muru głową, bo głowa nadaje się do innych rzeczy. Stąd też potrzeba spokojnego rozważenia sytuacji, która na celu ma mieć pokój, ocalenie życia, żeby nie doszło do rozlewu krwi. To jest ten cel, który staje przed każdym z nas. I dlatego wszystkie ambicje zacietrzewienia, myśl o przeforsowaniu własnego zdania musi ustąpić wobec rozsądku. Tu musi pracować głowa, według jej przeznaczenia, a nie może popełniać czynów szaleńczych, bo czyn szaleńczy może oznaczać zawsze przegraną (…)"[56].

Po powrocie do Warszawy, przed odprawieniem wieczornej Mszy św. Prymas spotkał się z prof. Wiesławem Chrzanowskim, mec. Janem Olszewskim, prof. Andrzejem Stelmachowskim i rektorem Uniwersytetu Warszawskiego prof. Henrykiem Samsonowiczem, którzy mieli w późniejszym czasie stanowić roboczy zespół, oceniający bieżącą sytuację polityczną i przekazujący swoje wnioski przedstawicielom Kościoła. Ze strony Kościoła organizatorem tego zespołu, na życzenie

---

[54] K. Nazarewicz, *Departament IV donosi*, „Życie Warszawy" 8 VI 1994.

[55] A. Anusz, *Niezależne*…, op. cit., s. 28.

[56] P. Nitecki, *Człowiek drogą Kościoła. Kościół, „Solidarność" i odnowa społeczna w Polsce*, Warszawa 1991, s. 117–118.

Sekretarza Episkopatu Polski biskupa Bronisława Dąbrowskiego, był ks. Józef Maj[57].

Charakterystyczne, że władze nie zdecydowały się na internowanie związanych z Prymasem i Sekretariatem Episkopatu, doradców Solidarności. Oprócz wymienionych już: Wiesława Chrzanowskiego, Andrzeja Stelmachowskiego i Jana Olszewskiego byli to: Andrzej Wielowieyski i Władysław Siła-Nowicki[58]. Być może władze pozostawiły tych doradców na wolności, aby w przyszłości mogli pośredniczyć w kontaktach z przedstawicielami opozycji.

Prymas od początku stanu wojennego uznał za najważniejsze: ratowanie życia i obronę przed rozlewem krwi. W sanktuarium Matki Boskiej Łaskawej w Warszawie wygłosił kazanie, transmitowane przez radio w całym kraju, w którym podkreślił, że władza w warunkach stanu wojennego jest inna, że grozi rozlewem krwi, a oburzenie w tej sytuacji nic nie pomoże.

„Stan wojenny zastał nas osłupiałych dzisiejszego poranka, ale pod wieczór oswajamy się jakby z tym terminem i przekonujemy się, że to coś groźnego, i pytamy się, co będzie dalej (…). Stan wojenny jest stanem nowych i ostrych praw zawieszających dotychczasowe swobody obywatelskie, a staje się władzą wyposażoną w środki doraźnego przymusu i wymaga posłuszeństwa (…). Kościół boleśnie przyjął przerwanie z trudem rodzącego się dialogu i wejście na drogę przemocy, jaką jest «stan wojenny». (…) Przedstawiciele Kościoła będą nieustannie dopominali się, o ile to będzie im dane – o uwolnienie obywateli niesłusznie zatrzymanych (…).

W tej obronie (ratowania życia przed rozlewem krwi – A.A.) Kościół będzie bezwzględny. To nic, że ktoś może Kościół oskarżać o tchórzostwo (…) o rozładowywanie radykalnych nastrojów. Kościół broni każdego życia ludzkiego, a więc w stanie wojennym będzie wołał (…) o spokój, o zaniechanie gwałtów, o zażegnanie bratobójczych walk (…) sam będę wzywał o rozsądek, nawet za cenę narażenia się na zniewagi

[57] W. Rodowicz, *Komitet na Piwnej*, Warszawa 1994, s. 145.

[58] W. Chrzanowski, *Pół wieku polityki* (rozmowa), Warszawa 1997, s. 378.

i będę prosił, nawet gdybym miał boso iść i na kolanach błagać: nie podejmujcie walki Polak przeciwko Polakowi. Nie oddajcie waszych głów, Bracia Robotnicy i Pracownicy, wielkich zakładów, bo cena uciętej głowy będzie bardzo niska, natomiast każda głowa i każda para rąk bezcenne będą dla odbudowywania tej Polski, jaka będzie i jaka być musi po zakończeniu stanu wojennego"[59].

W tak wyrazistych i mocnych słowach Prymas zwrócił się do społeczeństwa o rozwagę, przypominając, że władza jest wyposażona w środki przymusu i przemocy. Wypowiedź ta była w większym stopniu krokiem mającym zahamować tragiczny bieg wydarzeń niż oceną faktu wprowadzenia stanu wojennego. Spotkała się w większości ze zrozumieniem. Ale byli i krytycy. Znany francuski sowietolog Alain Besançon ocenił, że: „Chcący uniknąć masakry Prymas miał prawo błagać swój naród, by nie stawał do broni. Ale jako biskup nie miał prawa poprzeć tego błagania twierdzeniem, że zgodnie z zasadami chrześcijaństwa życie ludzkie jest najwyższą wartością. Jak było możliwe przejście od problematycznej decyzji politycznej do kategorycznego stwierdzenia fałszywej zasady? Sądzę, że przypisać je należy uporczywemu milczeniu na temat komunizmu i usprawiedliwiającej sympatii z kapitalizmem, w jakiej się go plasuje. Obdarzony tym samym stopniem rzeczywistego istnienia co nasz świat «socjalizm», jak wszelka rzecz pod słońcem, nie może być absolutnie zły. A skoro samo jego istnienie nie stanowi, jak się zakłada, zagrożenia dla natury i zbawienia człowieka, nie ma powodu zwalczać go z narażeniem życia. W ten sposób życie, którego bydlęcego poniżenia w socjalizmie nie chce się przyznać, staje się największą wartością"[60].

W związku z faktem, że ton wystąpienia Prymasa był uspokajający, władze zdecydowały się nadawać jego treść w radiu. Jak wspomina Prymas: „Musiałem jednak zdecydowanie zażądać, aby przestali nadawać

---

[59] „L'Osservatore Romano" nr 12, 1981, s. 20.

[60] A. Besançon, *Drugie milczenie Kościoła* [w:] A. Domosławski, *Chrystus bez karabinu. O pontyfikacie Jana Pawła II*, Warszawa 1999, s. 31.

moje przemówienie z Kościoła Matki Bożej Łaskawej, które wciąż emitowali, na przemian z przemówieniem generała Jaruzelskiego"[61].

13 grudnia 1981 na porannej mszy dla uczestników Kongresu Kultury Polskiej w Warszawie – dla której wybrano kościół Wszystkich Świętych, najbliższy Teatru Dramatycznego, gdzie trwały obrady – liczono pierwszych internowanych. Wielu wśród nich stanowili uczestnicy Kongresu. Symbolem bycia ze sobą ludzi kultury w tym tragicznym zagrożeniu było przejście Traktem Królewskim i ich uczestnictwo w coniedzielnej mszy św. dla twórców w kościele Św. Anny. Tam, w Duszpasterstwie Środowisk Twórczych, kilkuset intelektualistów i twórców podpisało pierwszy protest przeciwko stanowi wojennemu i przedłożyło go władzom PRL[62].

13 grudnia 1981 r. – w dniu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce – odbyła się telefoniczna rozmowa pomiędzy Breżniewem i Jaruzelskim. „Podjęliście trudną, ale niewątpliwie słuszną decyzję – oświadczył Breżniew. – My wysoko cenimy. Wojciechu, wasz apel do narodu. Pragnę jeszcze raz podkreślić, na nas zawsze możecie liczyć, na naszą polityczną i moralną pomoc. Udzielimy wam też odpowiedniej pomocy gospodarczej". Dzień później doszło do kolejnej rozmowy telefonicznej pomiędzy Jaruzelskim i Breżniewem. Breżniew poinformował o ekonomicznej pomocy dla Polski. Jaruzelski oświadczył, że polskie kierownictwo w pełni panuje nad sytuacją, działa energicznie, ośrodki strajkowe maleją, wprowadzono godzinę policyjną, milicja i wojsko wprowadzają porządek[63].

13 grudnia 1981 r. odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR, podczas którego Kazimierz Barcikowski zrelacjonował swoją poranną rozmowę z Prymasem Glempem[64].

Tego dnia Kazimierz Barcikowski trzy razy spotkał się z Sekretarzem Episkopatu Biskupem Dąbrowskim, który przekazał mu listę

---

[61] *Służba, do której jestem powołany*…, op. cit.

[62] Ks. W. Niewęgłowski, *Nowe przymierze Kościoła*…, op. cit., s. 112.

[63] R. Pichoja, *Bratni blef*…, op. cit.

[64] A. Paczkowski, *Droga do „mniejszego zła"*…, op. cit., s. 278.

internowanych osób, których zwolnienia domagał się Kościół w jak najszybszym terminie[65]. Podczas ostatniego tego dnia spotkania, w którym wzięli udział ks. Alojzy Orszulik i prof. Andrzej Stelmachowski ze strony kościelnej oraz minister Jerzy Kuberski, omawiano problemy związane z uchwalonym przez Radę Państwa dekretem o stanie wojennym. Wspomina Orszulik: „Nanieśliśmy poprawki, czyli wykreśliliśmy z projektu niektóre przepisy restrykcyjne wobec Kościoła (…). Był tam przepis z okresu stalinowskiego, z dekretu z 1953 r., że władze państwowe mają wpływ na obsadę stanowisk kościelnych i zwalnianie duchownych"[66]. Potwierdza to gen. Czesław Kiszczak: „Dotychczas strona rządowa nie nagłaśniała faktu, że ostateczna wersja dekretu Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego była współredagowana przez przedstawicieli Kościoła"[67]. Kiszczak zapomniał tylko dodać, że dekret zmieniono już po jego formalnym uchwaleniu przez Radę Państwa. Ustępstwo Barcikowskiego pociągnęło za sobą konieczność wycofania rozesłanego już po Polsce, a wydrukowanego jeszcze przed 13 grudnia dekretu. Z ostatecznej wersji – drukowanej pośpiesznie już 14 grudnia – zniknęły dwa artykuły[68].

13 grudnia 1981 r. wieczorem, zgodnie z żądaniem przedstawicieli Kościoła, w willi Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Skolimowie, gdzie przewodniczący Solidarności był w tym czasie przetrzymywany przez władze[69], doszło do spotkania biskupa Bronisława Dąbrowskiego i ks. Alojzego Orszulika z Lechem Wałęsą.

Planowana na 15–16 grudnia 1981 r. sesja Sejmu odbyła się 25–26 stycznia 1982 roku[70].

---

[65] G. Meretik, *Noc generała*…, op. cit., s. 120.

[66] *Ci zbóje, z którymi się spotykałem*, z bp. A. Orszulikiem rozmawia E. Milewicz i M. Lizut, „Gazeta Wyborcza" 2 III 1999.

[67] C. Kiszczak, *Dziś nie wypada pamiętać*, „Gazeta Wyborcza" 16 III 1999.

[68] A. Anusz, *Generałowie i biskupi. Jak pospiesznie zmieniano dekret o stanie wojennym*, „Wprost" nr 50, 15 XII 2002, s. 76.

[69] A. Micewski, *Kościół wobec…,* op. cit., s. 67.

[70] *Stan wojenny w dokumentach władz PRL (1980–1983)*, wybór, wstęp i opracowanie B. Kopka, G. Majchrzak, IPN, Warszawa 2001, s. 75.

Na prośbę Prymasa w Pałacu Prymasowskim w Warszawie odbyło się spotkanie grupy duchownych i osób świeckich, które utworzyły komitet do spraw opieki nad internowanymi. Przewodniczącym komitetu został biskup Władysław Miziołek. Powołał on jako członków: ks. Bronisława Dembowskiego, rektora Kościoła św. Marcina, czyniąc go zastępcą przewodniczącego, ks. Józefa Maja z Kościoła św. Anny, powierzając mu funkcję sekretarza, oraz ks. Tadeusza Sitkę, proboszcza parafii św. Klemensa[71].

W pracach komitetu brali udział i inni duchowni, jak ks. Jerzy Popiełuszko. Uczestniczyli w nich także liczni członkowie i sympatycy Solidarności, zwłaszcza prawnicy, lekarze, naukowcy i artyści. Podobne komitety pomocy powstały niemal we wszystkich diecezjach i przy wielu parafiach. W Poznaniu już 13 grudnia zawiązała się przy kościele oo. Dominikanów grupa pomocy dla internowanych i ich rodzin[72].

Wyczerpujący opis działalności Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom, który dekretem Prymasa z 24 września 1983 r., w związku ze zmienioną sytuacją polityczną w kraju, został przemianowany w Prymasowski Komitet Charytatywno-Społeczny, przedstawił Władysław Rodowicz[73].

Kardynał Franciszek Macharski prowadził rozmowy z gen. Czesławem Kiszczakiem na temat uzyskania przez komitet zgody na działalność. Miała to być pomoc materialna i duchowa dla internowanych i ich rodzin. Władze udzieliły pozwolenia na działalność komitetowi.

W tym czasie z zagranicy zaczęła napływać pomoc dla prześladowanych. Pośrednictwo Kościoła wzmagało szanse, że pomoc ta dojdzie do potrzebujących i nie będzie jeszcze jednym środkiem nacisku politycznego w dyspozycji władz[74].

---

[71] Bp B. Dembowski, W. Rodowicz, *W dziele pomocy więźniom politycznym* [w:] *Świadectwo drogi – Księga pamiątkowa dwudziestopięciolecia kapłaństwa ks. prałata Józefa Romana Maja*, Warszawa 1998, s. 128.

[72] J. Holzer, K. Leski, *„Solidarność" w podziemiu*, Łódź 1990, s. 27.

[73] W. Rodowicz, *Komitet na Piwnej*, Warszawa 1994.

[74] J. Karpiński, *Dziwna…*, op. cit., s. 55.

Warto przytoczyć kilka faktów i liczb, które opracował Sekretarz Prymasowskiego Komitetu ks. Józef Maj: „Więzień odwiedzanych przez członków Komitetu lub jego współpracowników było początkowo 16, a ośrodków internowania 49. Komitetu nie interesował ani światopogląd, ani kierunek zaangażowania politycznego więzionych lub internowanych.

Przez więzienia i ośrodki internowania w latach 1981–1986 przeszło około 16 tys. osób, a z nich każdy był objęty indywidualnie zainteresowaniem Komitetu. Zwolnionych z pracy a objętych trwałą opieką Komitetu było około 15 tys. osób.

Z Komitetem Prymasowskim, który stanowili duchowni, w Warszawie współpracowało na zasadzie wolontariatu około 500 osób, w kraju poza stolicą około 300, w tym najliczniej, bo około 60 osób we Wrocławiu. Z Komitetem Warszawskim współpracowało 16 Komitetów Diecezjalnych powołanych dekretami własnych biskupów ordynariuszy oraz 7 Komitetów samodzielnych powołanych za zgodą właściwych terenowo biskupów przez księży, zakonników lub katolików świeckich. Komitety powyższe działały we wszystkich ówczesnych diecezjach Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce, poza Drohiczynem, Lubaczowem i Łomżą, gdzie nie było potrzeby ich powołania.

W skali Polski tak zorganizowane środowisko:

– wysłało ponad 100 transportów samochodowych z pomocą rzeczową,
– wysłało ponad 200 tys. paczek do ośrodków internowania lub do rodzin osób internowanych,
– wydało 8751 zarejestrowanych w archiwum Komitetu zapomóg finansowych jednorazowych,
– wydało kilkadziesiąt stałych, comiesięcznych stypendiów, najczęściej dla rodzin lub dla osób zwolnionych a mających przez dłuższy czas trudności ze znalezieniem pracy. W samej Warszawie takich stypendiów wydaliśmy ponad 50,
– wydało ponad 100 pożyczek jednorazowych, różnej wartości, umorzonych w zdecydowanej większości, wydawanych najczęściej na tworzenie samodzielnego warsztatu pracy,

– pokryło kary pieniężne dla ponad 3 tys. osób, nałożone najczęściej za udział w demonstracjach w wysokości od 15 tys. zł wzwyż.

Niezwykle ważnym dla odosobnionych w więzieniach i ośrodkach internowania osób było objęcie ich wszystkich opieką duszpasterską przez ponad 40. księży w skali kraju.

W ówczesnym odbiorze społecznym ogromne znaczenie miała także pomoc Komitetu ludziom wyrzucanym z pracy. W samej Warszawie Komitet pomógł znaleźć nowe miejsca pracy ponad 800 osobom a ponad 15 pomógł założyć własne warsztaty pracy.

Razem z rodzinami z poręki Komitetu wyjechało na emigrację ponad 2770 osób"[75].

Od czasu pierwszej wizyty przedstawicieli Episkopatu u Lecha Wałęsy, w której uczestniczył również wysoki funkcjonariusz MSW (na procesie morderców ks. Jerzego Popiełuszki okazało się, że był nim płk Adam Pietruszka, wówczas używający nazwiska Matuszko), przyjął się zwyczaj, że ze strony Episkopatu przybywał do Wałęsy ks. Orszulik, czasami zastępował go jakiś inny ksiądz, a w wyjątkowych sytuacjach zjawiał się jeden z biskupów warszawskich. Bywał też ks. Henryk Jankowski z Gdańska[76].

Gdy Lech Wałęsa był internowany w Arłamowie, wtedy, jak wspomina ks. abp Ignacy Tokarczuk: „Jeden z naszych kapłanów, dowożony przez SB, w każdą niedzielę, odprawiał w miejscu jego internowania Mszę św. Z gościny w domu biskupim w Przemyślu korzystała żona p. Lecha, pani Danuta Wałęsowa, ilekroć z dziećmi przyjeżdżała, żeby odwiedzić męża"[77].

Z notatki Biura Ochrony Rządu i Biura Śledczego MSW z 26 lipca 1982 r. wynika, że do tego czasu Lech Wałęsa był 42-krotnie odwiedzany przez przedstawicieli Kościoła. „Stwierdzono fakty dostarczania

---

[75] Ks. J.R. Maj, *Komitet Prymasowski – charakterystyczny znak polskiej drogi. Wychodzenie z etatyzmu komunistycznego*, maszynopis, Warszawa 10 XI 2001.

[76] A. Drzycimski, *Droga do świata. Lech Wałęsa*, Gdańsk 1990, s. 246.

[77] Ks. abp. I. Tokarczuk, *Z przemyskiej „twierdzy"*, cz. 1, wstęp, opracowanie, wywiady L. Żbikowska, 1999, s. 139.

L[echowi] Wałęsie przez osoby odwiedzające pism, książek i materiałów o charakterze religijnym. Jednocześnie zanotowano fakty przekazywania L[echowi] Wałęsie przez duchownych wydawnictw bezdebitowych, jak np. paryska «Kultura»”[78].

Wydarzenia 13 grudnia, według ówczesnego sekretarza stanu Stanów Zjednoczonych Haiga, były niespodzianką dla Watykanu. Okazało się, że Stolica Apostolska nie miała własnych informatorów w newralgicznych punktach warszawskiego aparatu władzy[79]. Według biografa Jana Pawła II George'a Weigela, Papież otrzymał informację o wprowadzeniu stanu wojennego o 1.00 w nocy 13 grudnia 1981 r., od ambasadora polskiego we Włoszech. Z powodu nieczynnych połączeń telefonicznych w Polsce Jan Paweł II nie był w stanie porozumieć się z nikim w kraju[80]. Z kolei autor książki *Noc Generała* Gabriel Meretik twierdzi, że „Ojca Świętego powiadomił o wydarzeniach w Polsce parę minut po szóstej jego sekretarz osobisty, ksiądz Dziwisz. Zaalarmowali go także polscy księża, którzy usłyszeli tę wiadomość przez radio. (…) Papież jest kompletnie zaskoczony tym, co się stało”[81]. Łączność z krajem załatwił arcybiskup Dąbrowski poprzez tajnych przedstawicieli Radia Wolna Europa w Warszawie. Wiadomości przekazywano przez warszawskie skrzynki kontaktowe do Radia Wolna Europa w Monachium, a potem do Watykanu[82]. Dużą rolę w kontaktach z Radiem Wolna Europa odgrywał przebywający w Rzymie redaktor naczelny polskiej edycji „L'Osservatore Romano” ks. Adam Boniecki. Polska ambasada w Rzymie przekazywała władzom w kraju, że rozbudował on współpracę z Wolną Europą, przekazuje jej informacje, które zbiera w kręgach kościelnych („liczba informacji ogromna”), inspiruje koła

---

[78] *Stan wojenny w dokumentach władz PRL (1980–1983)*…, op. cit., s. 277–280.

[79] M. Łatyński, *Wariacje na temat Jaruzelskiego*, Warszawa 1987, s. 27; W tym czasie kardynał sekretarz stanu Casaroli przebywał w Stanach Zjednoczonych, gdzie 15 XII 1981 r. rozmawiał z prezydentem Reaganem, któremu odradzał przedwczesne reakcje. H. Stehle, op. cit., s. 312.

[80] G. Weigel, *Świadek nadziei*…, op. cit., s. 548.

[81] G. Meretik, *Noc Generała*…, op. cit., s. 183.

[82] J. Kwitny, op. cit., s. 404.

bliskie Papieżowi do działań zgodnych z linią rozgłośni, jest łącznikiem między polskim podziemiem a rozgłośnią. W późniejszym czasie ks. Boniecki podczas pobytu w Polsce w mieszkaniu Hanny Krall spotkał się z ukrywającym się jednym z przywódców podziemnej Solidarności Zbigniewem Bujakiem. „Proszę powiedzieć Ojcu Świętemu – mówił Bujak – że trwamy, i będziemy trwali”[83]. Amerykanie nie poinformowali Papieża, tak jak rok wcześniej, o narastającym zagrożeniu dla sytuacji w Polsce. Przynajmniej nie ma na to żadnych dowodów. Zbigniew Brzeziński nie był w tym czasie doradcą do spraw bezpieczeństwa prezydenta Stanów Zjednoczonych, którym był już Ronald Reagan. Doradca Reagana do spraw Europy Wschodniej prof. Richard Pipes twierdzi, że również sekretarz stanu Haig nie miał dostępu do poufnych informacji na temat sytuacji w Polsce. Nie wiedział nawet, że istnieje płk Ryszard Kukliński. Materiały CIA były tak bardzo chronione, że nie odniosły należytego skutku[84].

Prof. Richard Pipes stwierdził, że: „Niestety, z wielu powodów, jak nieobsadzenie stanowiska doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w krytycznym momencie w skutek rezygnacji Richarda Allena, Waszyngton nie mógł wykorzystać informacji dostarczanych z takim ryzykiem przez Kuklińskiego. Rząd Stanów Zjednoczonych i «Solidarność» zostały zaskoczone wprowadzeniem stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Pełne tło tego będzie znane dopiero wtedy, gdy odpowiednie archiwa waszyngtońskie zostaną udostępnione historykom”[85]. W innym miejscu wspominał: „Reagan był sytuacją w Polsce oburzony z moralnego punktu widzenia i nie dawał się nabrać na argumenty «polityczne». Ponadto wiedział, że stan wojenny nie był wprowadzony niezależnie od Moskwy, a pod jej dyktando. To dodatkowo wzmacniało jego determinację. Przełomowe dla wykrystalizowania się stanowiska USA były dni 21, 22 i 23 grudnia. Wtedy Reagan praktycznie odsunął Alexandra Haiga od kierowania polityką zagraniczną i wziął ją w swoje ręce.

---

[83] M. Grochowska, *A rzeka zmienia swój bieg (2)*, op. cit.

[84] *Ameryka przestała się bać*, „Życie Warszawy” 27 V 1994.

[85] *Wejdą nie wejdą…*, op. cit., s. 210.

Wtedy decydowała się sprawa pomocy dla «Solidarności», sankcji wobec Polski i ZSRR"[86].

Wprowadzenie stanu wojennego, mimo informacji płk Kuklińskiego, spowodowało duże zamieszanie w amerykańskich służbach specjalnych. Ówczesny przedstawiciel KGB w Polsce, generał Pawłow twierdzi, że „przez grudzień 1981 i część stycznia 1982 r. warszawski ośrodek CIA został odcięty od większości swoich źródeł i tylko informacje otrzymane kanałami kościelnymi pozwalały Amerykanom jako tako orientować się w sytuacji". Napisał on, że „rezydentura CIA w Warszawie otrzymywała (…) informacje bezpośrednio od 12 polskich biskupów i księży, którzy byli stałymi informatorami służb wywiadowczych USA"[87].

Ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce John Davis wspominał: „Po ogłoszeniu wprowadzenia w Polsce stanu wojennego stanowisko Waszyngtonu, przyjęte po kilkudniowej desperackiej szarpaninie, było takie, że Stany Zjednoczone, i w ogóle Zachód, domagają się trzech rzeczy: zawieszenia stanu wojennego, uwolnienia wszystkich więźniów politycznych i wznowienia dialogu z «Solidarnością» i Kościołem. Dalej stwierdził, że Papież miał ogromny wpływ na utrzymanie przez Stany Zjednoczone rozsądnej polityki, w Waszyngtonie bowiem było wielu chętnych do zerwania wszystkich więzi Z Polską"[88]. 13 grudnia 1981 r. Jan Paweł II w Rzymie podczas modlitwy Anioł Pański, powiedział o sytuacji w Polsce: „Wydarzenia ostatnich godzin przemawiają za tym, abym raz jeszcze zwrócił się do wszystkich w sprawach naszej wspólnej Ojczyzny z prośbą o modlitwę (…) nie może być przelana polska krew, bo zbyt wiele jej wylano, zwłaszcza czasu ostatniej wojny (…)"[89].

14 grudnia 1981 r. z Janem Pawła II spotkał się przebywający w Rzymie doradca Solidarności Bohdan Cywiński. „Gdy wszedłem do

---

[86] *Stan wojenny w Białym Domu*, rozmowa Waldemara Piaseckiego z Richardem Pipesem, „Rzeczpospolita" 14–15 XII 2002.

[87] Generał Pawłow, *Byłem rezydentem KGB w Polsce*, Warszawa 1994, s. 204.

[88] *Polska 1986–1989. Koniec Systemu*…, op. cit., t. 2, s. 44–45.

[89] „L'Osservatore Romano" nr 12, 1981, s. 1.

pokoju, byłem zaszokowany. Papież wyglądał, jakby postarzał się o kilka lat. Nie rozmawialiśmy o Rosjanach ani zimnej wojnie, ani relacjach politycznych świata. Dla Papieża wszystkie reakcje polityczne wyrastały z moralnych. Razem zastanawialiśmy się, w jaki sposób pomóc uwięzionym oraz wszystkim tym, którzy potrzebują wsparcia"[90].

Tego dnia przebywał również w Rzymie ks. Franciszek Blachnicki, który był tam od 10 grudnia 1981 r. w związku z tworzeniem Komitetu Koordynacyjnego Ruchów Odnowy w Kościele. Tam dowiedział się o wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego (w prasie lubelskiej można było przeczytać jego nazwisko na liście internowanych). W korespondencji do wspólnot oazowych w kraju pisał m.in.: „Teraz, kiedy sytuacja uległa pogorszeniu, walka powinna się toczyć w ten sam sposób; należy stawiać opór, protestować, okazywać zdecydowaną postawę, wykazywać odwagę moralną, która przeciwstawia kłamstwu – prawdę"[91].

Na audiencji generalnej 16 grudnia 1981 r. Papież wspomniał przemówienie Prymasa Glempa z 13 grudnia w Warszawie: „(…) Niepokój jest uzasadniony. Wystarczy odczytać kazanie, jakie w niedzielę wieczorem wygłosił Prymas Polski (…) ażeby odczuć miarę tego niepokoju wewnątrz Kraju, który przez wprowadzenie «stanu wojennego» został odcięty od normalnych kontaktów ze światem (…) Mają oni, jako Naród, prawo do życia swoim własnym życiem, swoich problemów wewnętrznych w duchu własnych przekonań. Spraw tych (…) nie można rozwiązywać przy użyciu przemocy. (…) trzeba wrócić na drogę odnowy, kształtowanej metodą dialogu, przy poszanowaniu praw każdego człowieka i obywatela (…) Siła i powaga władzy wyraża się w takim dialogu, a nie w użyciu przemocy (…)"[92].

Po wprowadzeniu stanu wojennego w rozmowie z przebywającym w Watykanie Krzysztofem Kozłowskim, zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego" Papież powiedział: „Już nie będę dostawał

[90] J. Kwitny, *Człowiek stulecia*…, op. cit., s. 404.
[91] *Opozycja w PRL*…, op. cit., s. 38–39.
[92] „L'Osservatore Romano" nr 12, 1981, s. 11.

prawdziwych informacji z Polski i z mojego miasta, bo już nie ma «Gazety Krakowskiej». A codziennie ją czytałem …”[93].

15 grudnia 1981 r. w Warszawie zebrała się Rada Główna Episkopatu. W komunikacie z posiedzenia hierarchia kościelna oficjalnie ustosunkowała się do stanu wojennego w Polsce. Biskupi stwierdzili: „(…) Nasz ból jest bólem Narodu sterroryzowanego przez siłę wojskową, wielu działaczy ruchu zostało internowanych. (…) W wielu fabrykach ogłoszono strajki. Niepewność i bezsilność robotników sprawiają, że rośnie fala emocji, rozgoryczenia, oburzenie, skrajna nienawiść i zdeterminowanie.

To dramatyczne zdeterminowanie władz decydujących się na ogłoszenie stanu wojennego jest uderzeniem w oczekiwania i nadzieje społeczne w chwili, gdy myślało się o unormowaniu niezałatwionych spraw na drodze porozumienia narodowego. (…) Przyjdzie czas, gdy poznamy całą prawdę dotyczącą wprowadzenia stanu wojennego. Rada Główna Episkopatu, nie rezygnując z podstawowych praw i zdobyczy całego społeczeństwa, zwraca się z gorącym apelem o zachowanie pokoju i panowanie nad namiętnościami i gniewem. Jesteśmy przekonani, że Naród nie cofnie się i nie może zrezygnować z demokratycznej odnowy, która została ogłoszona Ojczyźnie (…) pragniemy, aby Kościół i społeczeństwo skupiły się na następujących sprawach: 1. uzyskanie wolności dla internowanych, a do czasu ich uwolnienia stworzenie ludzkich warunków w miejscach, gdzie są przetrzymywani (…); 2. uzyskanie przywrócenia związkom zawodowym, a zwłaszcza «Solidarności» statutowego działania. Łączy się to z pozwoleniem na swobodną działalność przewodniczącego i prezydium Związku Zawodowego. «Solidarność» broniąca praw ludzi pracy jest nieodzowna, aby życiu społecznemu przywrócić równowagę (…)”[94].

Komunikat Rady Głównej z 15 grudnia 1981 r. był najbardziej polityczną wypowiedzią hierarchii kościelnej od sierpnia 1980 roku. Przemawiają za tym propozycje unormowania sytuacji w kraju po 13 grudnia,

---

[93] *13 miesięcy*…, op. cit., s. 77.

[94] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat*…, op. cit., s. 54–56.

mające charakter postulatów politycznych („uwolnienie internowanych, przywrócenie związkom zawodowym możliwości działania, uwolnienie przewodniczącego «Solidarności» i członków Prezydium Związku").

Propozycje te zakładały cofnięcie zasadniczych decyzji władz w stosunku do Solidarności, szły tak daleko, że wydawały się nierealne, gdyby… nie zostały odczytane publicznie i rozpowszechnione. Ale tak się nie stało. Na „kategoryczną prośbę" gen. Jaruzelskiego władze kościelne odstąpiły od zamiaru odczytania tekstu komunikatu Rady Głównej w kościołach, w najbliższą niedzielę grudnia. W wypadku rozpowszechnienia tekstu komunikatu społeczeństwo, być może, uznałoby propozycje Kościoła za całkiem realne, a sam Kościół za przewodnika w dążeniach do ich realizacji.

Głos Rady Głównej Episkopatu był pierwszą wypowiedzią dla sterroryzowanego stanem wojennym społeczeństwa, która stawia konkretne cele. Bezpośrednią krytykę władz państwowych („Nasz ból jest bólem Narodu sterroryzowanego przez siłę wojskową; zdeterminowanie władz decydujących się na ogłoszenie stanu wojennego jest uderzeniem w oczekiwania i nadzieje społeczne") wzburzone społeczeństwo mogłoby przyjąć (w wypadku rozpowszechnienia tekstu komunikatu) jako uznanie przez Episkopat winy strony rządowej za stan wojenny i wynikające z tego konsekwencje.

Tego samego dnia Prymas przyjął prezesa zawieszonego Związku Literatów Polskich, Jana Józefa Szczepańskiego oraz prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. Aleksandra Gieysztora. Według relacji Szczepańskiego: „Prymas przyjął nas w swoim gabinecie łagodny i energiczny zarazem, zrobił na nas ujmujące wrażenie (…) Powiedział, że Rada Episkopatu uchwaliła ostry komunikat, bardzo źle przyjęty przez władze. Potem mówił z goryczą o błędach popełnionych przez «Solidarność». Twierdził, że zdradziła ona robotników, podejmując działalność polityczną. Winą za to obciążał doradców, którzy jego zdaniem reprezentowali «orientację trockistowską»"[95].

[95] J.J. Szczepański, *Kadencja,* op. cit., s. 155. Podobny wątek Prymas poruszył kilka tygodni później, 28 I 1982 r. w przemówieniu do księży rekolekcjo-

15 grudnia 1981 r. Sekretarz Episkopatu biskup Bronisław Dąbrowski wystosował do rządu list w sprawie *Dekretu Rady Państwa o stanie wojennym.* Wskazał w nim na sprzeczność dekretu z Konstytucją PRL: „Przedstawiam (…) wyrywkowy zestaw spraw będących przedmiotem naszych wczorajszych interwencji. W tej nocie nie wspominam sprawy zasadniczej, jaką jest sprzeczność «Dekretu Rady Państwa…» z dnia 13 XII 1981 r. i innych pochodnych aktów normatywnych z Konstytucją PRL (Rada Państwa w okresie sesji Sejmu nie może wydawać dekretów) (…) Koncentruję się jedynie na sprawach konkretnych, które dotyczą osoby ludzkiej oraz (…) Kościoła.

1. Przepisy o przymusie pracy (art. 29 w/w dekretu) w istocie są wysoce zbliżone do przepisów z czasu ostatniej wojny, zwłaszcza rani: a) absolutny brak ochrony młodocianych (…); b) pogwałcenie odpoczynku niedzielnego (…); c) nieomal nieograniczone dysponowanie czasem pracowników (por. zał. nr 1).
2. Przepisy o internowaniu (art. 42 i następne dekretu) bez sądu osób powyżej lat 17 tylko na podstawie «uzasadnionego podejrzenia», że będą prowadzić «działalność zagrażającą interesom bezpieczeństwa i obronności państwa» nie dają się pogodzić z poszanowaniem wolności i godności człowieka. (…)
3. Przepisy, które są, z nieznacznym tylko odchyleniem, przywróceniem przepisów tzw. «małego kodeksu karnego» z okresu stalinowskiego, z tym że dodano przepisy wprowadzające sankcje za organizowanie strajku i udział w strajku (…)
4. Szczególnie niebezpieczne jest upoważnienie art. 26 dekretu o stanie wojennym do bezpośredniego użycia broni palnej przez dowódców oddziałów. W warunkach braku aktów jakiegokolwiek

---

nistów powiedział: *Do »Solidarności zgłaszali się ludzie, którzy mieli już program gotowy (…) jednak ani narodowy, ani kościelny, ani inspirowany chrześcijaństwem. Przypatrzmy się, jaki procent wierzących był w »Solidarności«, jako masie 10-milionowej, a jaki procent katolików był w Prezydium czy w Komisji Krajowej. Cóż za zastanawiająca odwrotność proporcji.* R. Graczyk, *Prymas w trudnych czasach*, „Gazeta Wyborcza" 12–13 III 1994.

terroru ze strony obywateli lub grup – taki przepis jest szczególnie rażący i prowokujący rozlew krwi (…)”[96].

List biskupa Dąbrowskiego do rządu przypomina wystąpienie adwokata wykazującego sprzeczności i zbyt radykalne postanowienia odpowiednich przepisów. Porównanie obowiązującego w stanie wojennym prawa do prawa z czasów stalinowskich było bardzo odważnym i zdecydowanym stwierdzeniem. Powyższą wypowiedź przedstawiciela władz kościelnych uznać należy za najbardziej stanowczą i najbardziej świecką w sensie stylu i sposobu argumentacji.

W tym czasie w środkach masowego przekazu trwał zmasowany atak propagandowy na niezależny ruch społeczny. W telewizji pokazano reportaż z niezależnej drukarni, gdzie zaprezentowano książki gotowe do kolportażu, wśród nich *Polski kształt dialogu* ks. Tischnera, którego określono „biskupem polowym Solidarności”. Było to niedwuznaczne ostrzeżenie dla Kościoła ze strony władz[97].

Z drugiej strony w stosunku do Prymasa stosowano inną metodę. Systematycznie deformowano punkt widzenia Prymasa poprzez preparowanie Jego wypowiedzi, sztuczne eksponowanie niektórych wątków, w danym momencie dla władz korzystnych. Zrobiono wiele, by skłócić Kościół z Solidarnością, a potem by poróżnić biskupów między sobą. Prymas często był demonstracyjnie chwalony przez te same gazety, które nie ustawały w zwalczaniu Solidarności[98].

W późniejszym czasie władze w stosunku do Kościoła stosowały dwie metody w propagandzie. Pierwsze strony „Trybuny Ludu” informowały, od czasu do czasu, o oficjalnym komunikacie ze spotkania gen. Jaruzelskiego z Prymasem Glempem, napisanym według schematu: „odbyło się…, wymieniono poglądy.., osiągnięto porozumienie…”. Wtorkowe konferencje rzecznika rządu Jerzego Urbana były poświęcone zagadkowym przypadkom płonących kardynalskich samochodów,

[96] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat*…, op. cit., s. 54–55.
[97] G. Herling-Grudziński, *Dziennik*…, op. cit., s. 153.
[98] A. Michnik, *Takie czasy…,* op. cit., s. 86.

włamaniom „nieznanych sprawców" na plebanie, pobiciom, czy wręcz morderstwom[99].

17 grudnia 1981 r. do przebywającego na Jasnej Górze w Częstochowie Prymasa Glempa udali się specjalnym samolotem minister Jerzy Kuberski i gen. Marian Ryba, z prośbą gen. Jaruzelskiego o nie publikowanie dokumentu Rady Głównej Episkopatu z 15 grudnia 1981 roku. Prymas Glemp ustąpił. Być może wycofanie komunikatu Rady Głównej z rozpowszechniania można tłumaczyć faktem, że na Śląsku w kopalni „Wujek" doszło do tragicznych wydarzeń, w wyniku których zginęli górnicy. Władze kościelne mogły się obawiać wzrostu nerwowości i determinacji społeczeństwa po odczytaniu z ambon stanowczych i krytycznych słów Episkopatu. Zamiast tekstu komunikatu Rady Głównej z 15 grudnia 1981 r., do odczytania w kościołach zostało przeznaczone przesłanie Prymasa Glempa *Słowo Prymasa Polski do wiernych* datowane w Gnieźnie 17 grudnia 1981 roku. List ten różni się zasadniczo od komunikatu Rady Głównej i wystąpienia biskupa Dąbrowskiego do rządu w sprawie *Dekretu Rady Państwa…* Brak w nim bezpośredniej krytyki władz, brak postulatów uwolnienia internowanych i cofnięcia delegalizacji Solidarności. Prymas Glemp stwierdził: „(…) Jesteśmy po ludzku biorąc bezsilni wobec namiętności i zła (…) Naród zasadniczo nigdy nie prowadził wojen domowych i bratobójczych walk.

Błagam Was, Bracia, w imię Boga zaklinam: nie podnoście nienawistnej ręki jeden przeciwko drugiemu. Zachowajcie spokój, nie sprowadzajcie na kraj i na Naród największego nieszczęścia (…)"[100].

O kulisach wprowadzenia stanu wojennego i ocenie działalności Kościoła przez władze mówi, sygnowany klauzulą „tajne, specjalnego znaczenia", dokument z pobytu delegacji Ministerstwa Obrony Narodowej NRD 4 marca 1982 r. w Warszawie. Warto go w części zacytować.

---

[99] M. Usidus, *Polskie wojny religijne*, „Rzeczpospolita" 8 VII 1994.

[100] L. Dudek, *Kościół w pierwszych dniach stanu wojennego*, „Mówią wieki" nr 4, 1992, s. 16.

„W czasie tych rozmów polscy towarzysze wyjawili następujące myśli. 13 XII 1981 przyniósł zwrot w historii Polski. Decyzję w tej sprawie podjęło kierownictwo polskiej partii bez nacisku z jakiejkolwiek strony. Chodziło przy tym o trzy podstawowe zadania:

1. ratunek socjalizmu w Polsce,
2. wypełnienie zobowiązań Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wobec państw socjalistycznych,
3. zachowanie pokoju w Europie. (…)

Czas wprowadzenia stanu wyjątkowego został dobrze wybrany, był to optymalny termin, jeżeli nawet towarzysze radzieccy uprzednio ciągle naglili w sprawie stanu wyjątkowego. (…)

Od momentu wprowadzenia stanu wojennego spośród 2,6 miliona członków PZPR, 800 000 wystąpiło z partii, wśród nich niestety wielu robotników. (…)

Z Kościołem mamy poważne trudności. Trzeba otwarcie powiedzieć, że Kościół jest przeciwnikiem socjalizmu w Polsce Ludowej. Ponieważ 90 procent Polaków to katolicy, Kościół ma duży autorytet. Episkopat zajmuje się wielką polityką i w niewielkim stopniu wtrąca się w sprawy wewnętrzne. Niższe organy Kościoła, księża, są wobec nas wrogo nastawieni i w wielu wypadkach prowadzą walkę przeciwko socjalizmowi.

Obecnie nie możemy sobie jednak pozwolić na stworzenie drugiego frontu, dlatego zachowujemy powściągliwość. Cel polega na tym, aby Kościół zneutralizować, a nie zwalczać.

Godzinę przed ogłoszeniem stanu wojennego poinformowano arcybiskupa Glempa. Nie był tym zachwycony, przyjął jednak tę informację ze zrozumieniem. W kazaniu nawoływał do zachowania spokoju i porządku. Część biskupów skrytykowała go, na co sformułował on ostry list. Gdyby list ten odczytano z ambon, miałoby to negatywne skutki. Ponieważ list ten dotarł na czas do rady wojskowej, skontaktowano się ponownie z arcybiskupem Glempem i zwrócono uwagę, że jeżeli list zostanie odczytany, to popłynie krew i on będzie za to odpowiedzialny.

Po czym napisał on bardziej umiarkowany list. Niektórzy księża odczytali jednak pierwszą wersję (…)”[101].

Jednak 17 grudnia 1981 r. w kościołach całej Polski zostały odprawione nabożeństwa w intencji wydarzeń Grudnia 1970 i ofiar stanu wojennego. Donosili o tym funkcjonariusze MSW, np. w meldunku z Krakowa 17 grudnia, Błyskawica nr 10 z godz. 20.00, w tekście sygnowanym „tajne, tylko dla adresata, po wykorzystaniu zniszczyć” pisano: „O godzinie 18.00 w kościele Mariackim odbyło się nabożeństwo w intencji ofiar «Grudnia 70». Uczestniczyło w nim ok. 4 tys. osób. Podczas kazania ksiądz podał komunikat, iż w czasie interwencji sił porządkowych w kopalni «Wujek» zabitych zostało 8 osób, a 60 rannych, nadto górnicy wzięli do niewoli 3 wysokiej rangi oficerów MO jako zakładników”[102].

18 grudnia 1981 r. Papież Jan Paweł II wystosował apel do gen. Wojciecha Jaruzelskiego o „powrót do pokojowego dialogu władz ze społeczeństwem i zaprzestanie rozlewu krwi”[103] odwoływał się już tylko, a może aż, do sumienia generała i ludzi, od których zależy w tej chwili decyzja. Tekst tego samego apelu Papież przekazał również Lechowi Wałęsie, Prymasowi Glempowi i całemu Episkopatowi oraz powiadomił o „niniejszej interwencji przedstawicieli Rządów”.

Tego samego dnia Papież skierował list do przewodniczącego Solidarności Lecha Wałęsy, w którym zapewnił: „W tym szczególnie trudnym momencie całym sercem jestem z Panem i Jego rodziną, ze wszystkimi, którzy cierpią. Nadzieje ludzi pracy, moich Rodaków, gorąco polecam Temu, który dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z Nieba i narodził się z Maryi Dziewicy”[104].

---

[101] *Towarzysze radzieccy naglili*, oprac. T. Mianowicz, „Rzeczpospolita” nr 287, 9–10 XII 2000.

[102] „Życie Warszawy” 12 V 1994.

[103] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat*…, op. cit., s. 69–70.

[104] *Od trzynastego do trzynastego*, oprac. P. Spiski, Londyn 1983, s. 28.

List ten Lech Wałęsa otrzymał 26 grudnia 1981 r. za pośrednictwem biskupa Zbigniewa Kraszewskiego i księdza Alojzego Orszulika[105].

Warto zauważyć, że Ojciec Święty wobec wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, 13 grudnia 1981 r. modlił się o pokojowy dialog; wspomniał o Polsce podczas wszystkich grudniowych audiencji generalnych[106]; 18 grudnia 1981 r. wypowiedział się formalnie – skierował swoje słowa do najważniejszej osoby w państwie, jaką był gen.. Jaruzelski, oraz przewodniczącego Solidarności Lecha Wałęsy; jednocześnie „nagłośnił" tę wypowiedź w kraju i na świecie. Sam nazwał swój apel „interwencją".

Papież chciał uwrażliwić opinię światową na sytuację w Polsce, by ewentualna presja czynników międzynarodowych złagodziła poczynania władz państwowych w PRL.

22 grudnia 1981 r., prawdopodobnie na prośbę Papieża, Prymas Glemp wysłał Sekretarza Episkopatu biskupa Bronisława Dąbrowskiego do Rzymu w celu przedstawienia Ojcu Świętemu informacji dotyczących sytuacji w Polsce oraz stanowiska Kościoła. W tym samym czasie specjalny wysłannik Jana Pawła II, arcybiskup Luigi Poggi przybył do Warszawy[107] z listem Jana Pawła II do gen. Jaruzelskiego. Świadczyło to o ożywionych kontaktach między Janem Pawłem II i Prymasem Józefem Glempem. Prymas wspominał: „Nasze kontakty były wówczas dość częste. Niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego pojechał do Rzymu arcybiskup Dąbrowski, później także ja złożyłem wizytę. Ojciec Święty przede wszystkim słuchał i powtarzał, że najważniejsza jest modlitwa. Nie dawał nam rad ani sugestii, co ma Episkopat zrobić. Podkreślał, że biskupi sami powinni rozeznać sytuację i podejmować decyzje. Rozważał z nami sytuację, ale nie było żadnych «dyrektyw».

Chcę podkreślić, że Episkopat był w tym czasie bardzo zjednoczony. Wnikliwych rad udzielali: arcybiskup Jerzy Stroba, kardynał Franciszek Macharski, kardynał Henryk Gulbinowicz, biskup Józef Rozwadowski.

---

[105] R. Boyes, *Nagi prezydent. Życie polityczne Lecha Wałęsy*, Londyn 1995, s. 131.

[106] „L'Osservatore Romano" nr 12, 1981, s. 11; audiencje generalne w dniach: 12, 23 i 30 XII 1981.

[107] J.B. de Weydenthal i in., *Polskie*…, op. cit., s. 401.

Wiele im zawdzięczam. Może to być zaskoczeniem, ale bardzo dużo dobrych «łagodzących» nastroje rad udzielał także arcybiskup Ignacy Tokarczuk, który znany był przecież ze swego bardzo ostrego krytycyzmu wobec władz komunistycznych. (…)”[108].

Papież dysponował już pewną wiedzą na temat dalszych zamierzeń władz. Informacje te pochodziły m.in. od Bogdana Lewandowskiego, który w tym czasie był ambasadorem Polski przy ONZ. Za wiedzą kierownictwa ONZ podjął się prowadzenia misji między Watykanem i Warszawą. 15 grudnia 1981 r. przybył do Rzymu, gdzie odbył rozmowę z Janem Pawłem II. 17 grudnia 1981 r. w Warszawie został przyjęty przez gen. Jaruzelskiego, któremu przedstawił punkt widzenia Papieża na zaistniałą sytuację. Za wiedzą gen. Jaruzelskiego rozmowę z nim zarejestrował na taśmie magnetofonowej, którą kilka dni później przekazał sekretarzowi Jana Pawła II, księdzu Stanisławowi Dziwiszowi. Osobiście przekazał Papieżowi uwagi gen Jaruzelskiego. W kraju Lewandowski długo rozmawiał również z Mieczysławem Rakowskim. Nagraną rozmowę przekazał do Watykanu[109].

W tym czasie ksiądz Adam Boniecki, redaktor polskiego wydania „L’Osservatore Romano” rozmawiał z Ojcem Świętym: „Miałem być w kraju na Święta Bożego Narodzenia. Papież poradził, abym jednak nie jechał. Zaprosił mnie w drugi dzień Świąt wieczorem. Kolacja była smutna. Powiedziałem, że jednak pojadę koło Nowego Roku. Na co Ojciec Święty – «Jak ja księdzu zazdroszczę»”[110].

24 grudnia 1981 r. Prymas Glemp, w słowie wigilijnym w swej siedzibie w Warszawie, powiedział między innymi o misji biskupa Dąbrowskiego w Rzymie: „(…) Wiemy, że ksiądz biskup zachował w udzielaniu informacji na zewnątrz ogromny umiar i chociaż dzienniki podawały sensacje, to wszystko to nie miało miejsca. Ksiądz biskup – jak mi wyznał – rozmawiał tylko z Ojcem Świętym

---

[108] *Służba do której jestem powołany,* op. cit.

[109] T. Szulc, *Papież Jan Paweł II*…, op. cit., s. 358–359; D. Wilczak, *Mucha za szybą*, Warszawa 1997, s. 60.

[110] J. Moskwa, *Zostań z nami!*, Warszawa 2000, s. 140.

na Watykanie i przedstawicielami Stolicy Apostolskiej, nie udzielając żadnych wywiadów dziennikarzom. (…) Musimy dalej być świadkami prawdy, tej obiektywnej, która nie może być przyciemniona przez żadne emocje (…) Nie możemy działać pochopnie i osądzać na podstawie emocji chwilowego wrażenia (…)”[111].

W mowie wigilijnej Prymas zawarł myśl, która z punktu widzenia osoby głęboko wierzącej stanowiła ważne przesłanie: „I w takich czasach, kiedy Bóg nas doświadcza i chce nas wypróbować, musimy ukazać postawę kapłanów, którzy są posłani przez Jezusa Chrystusa i przez Kościół. My nie możemy być tylko afiszem jakiegoś bohaterstwa dla łaknącego sensacji Zachodu, ale musimy być tymi rzeczywistymi, szeregowymi żołnierzami sprawy Bożej, którzy wiedzą, jakie jest ich zadanie i jak w tym okresie próby należy walczyć, pracować i dawać świadectwo (…)”[112].

24 grudnia 1981 r. w przemówieniu do duchowieństwa stolicy Prymas Glemp określił stosunek Kościoła do Solidarności po wprowadzeniu stanu wojennego: „Słowo «Solidarność» – chcemy, żeby w tym słowie mogło zmieścić się to wszystko, co jest szlachetne, co jest piękne, co wywołało tak wielki zryw ku prawdzie, ku sprawiedliwości, ku pokojowi. Bo przecież «Solidarność» to nie jest tylko wymysł tej grupy ludzi, którzy zaczęli działać w Stoczni w sierpniu 1980 roku. Na te wartości, które zostały umieszczone w ruchu «Solidarność», mamy prawo patrzeć jako na dalszy ciąg takiego elementu życia polskiego, który się ujawnia w różnych okresach naszych dziejów, a który przychodzi do głosu najczęściej pod wpływem trudnych warunków. I te wartości, które zostały zawarte we współczesnym nam wieku, kiedyś miały nazwę – «Kościuszko» w ruchu Kosynierów, potem kadetów ze szkoły podchorążych, innym razem te wielkie wartości koncertowały się na imieniu Traugutta, innym razem były w Legionach, innym razem nazywały się Powstanie Warszawskie. Tak musimy patrzeć na te wielkie sprawy, które się odradzają w naszym narodzie; niektóre tkwią w tym

[111] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat…*, op. cit., s. 89–96.
[112] *Ibidem*, s. 91.

nurcie jego życia i ich zlikwidować nie można. Pewnie, że instytucjonalizacja tych wielkich ideałów, które są w narodzie może doznać wypaczeń, mogą się przyłączyć błędy, to wszystko jest możliwe, ale my jako Kościół, który trwa ciągle z narodem, winniśmy widzieć te przejawy w szerszej perspektywie. Z tej perspektywy przeszłości ma się ukazać i przyszłość. I jeżeli tak patrzymy, to sobie zdajemy sprawę, że nie ma powodu do jakichś gwałtownych załamań się, do całkowitego przeżywania klęski, bo to byłoby nieprawdą. Z tych wartości narodu wyrażać się nie da ani jednym pociągnięciem pióra, ani jednym zarządzeniem, one pozostaną. Naszym zadaniem jest, żeby to uszlachetniać, kierować ku temu, co jest lepsze, co jest ciągle odnową"[113].

Dla większości rozgoryczonych działaczy i sympatyków Solidarności takie podejście było trudne do akceptacji. Jeden z liderów podziemia, Władysław Frasyniuk, tak się do tej linii odnosił: „Tymczasem, by wyjść z impasu (Prymas – A.A.), powinien mocno nacisnąć Jaruzelskiego"[114]. Najbardziej zdesperowani zastanawiali się, „ile kościołów warta jest głowa Wałęsy?"[115], mówili o Prymasie „towarzysz Glemp".

Ale byli i obrońcy linii Prymasa. W „Polityce Polskiej" Tomasz Wołek (Józef Wierny) pisał: „Dyplomatyczna zręczność oraz wielkie poczucie realizmu i odpowiedzialności za losy Narodu (…) uchroniły społeczeństwo od większych ofiar, niemal do minimum zmniejszyły rozlew krwi, w znacznym stopniu wytłumiły uczucia ślepej nienawiści, skierowując przynajmniej część energii społecznej w stronę działań konstruktywnych, wreszcie istotnie zablokowały represyjne poczynania władz"[116].

Ukrywający się Aleksander Hall pisał na ten temat: „Nie sposób jest odpowiedzieć na pytanie, jak poprowadziłby politykę Kościoła Prymas

---

[113] P. Nitecki, *Człowiek drogą Kościoła,* op. cit., s. 123–124.

[114] M. Łopiński, M. Moskit, M. Wilk, *Konspira, czyli rzecz o podziemnej „Solidarności"*, Warszawa 1985, s. 111.

[115] L. Goodwyn, *Jak to zrobiliście*…, op. cit., s. 514.

[116] A. Rybak, W. Kamiński, *Po prostu dobry człowiek*, „Ludzie", Tygodnik „Życia" nr 6, 11 II 2000.

Wyszyński, gdyby dożył pogrudniowych czasów. Na pewno jednak jego następca pozostaje wierny wytyczonym przez niego kierunkom (…) niejednokrotnie występowały różnice w linii działania Kościoła i podziemnej «Solidarności». Wszystkie niemal miały swe źródło w odmienności perspektywy. Kościół przywykły do obrony długofalowych interesów narodu, starał się chronić przed najgorszym – wielkim rozlewem polskiej krwi. Podziemna «Solidarność» musiała przede wszystkim walczyć o swój związek, o prawo do legalnego działania. I Kościół, i «Solidarność» nie ustrzegły się w tym okresie od błędów. Były one bardzo trudne do uniknięcia w tak trudnej sytuacji. Jednak wszystkie próby przeciwstawienia sobie autorytetów Kościoła i «Solidarności», deprecjonowania autorytetu Prymasa były wysoce szkodliwe i służyły w istocie interesom władzy"[117].

Prymas Glemp zachował zdecydowane, umiarkowane i mediacyjne stanowisko, mimo licznych ataków ze strony pewnych grup opozycji za ustępliwość i bojaźń.

Takiemu stanowisku podporządkował się Lech Wałęsa, który liczył, że za pośrednictwem Episkopatu uda mu się nawiązać sensowne rozmowy z władzami, że będzie można dokonać jakiegoś otwarcia zaklinowanej polskiej sytuacji[118].

W samym Gdańsku 24 grudnia 1981 r. pod kościołami rozrzucono ponad 30 tysięcy ulotek, sygnowanych przez pozostających na wolności działaczy Solidarności[119].

Jednak w meldunku MSW nr 40 z 25 grudnia 1981 r. stwierdzono, że „uroczystości pasterkowe przebiegały bez zakłóceń (…)"[120]. Natomiast już w następnym meldunku tego samego dnia cytowano wypowiedź ks. Wawrzonka z kościoła św. Stanisława we Wrocławiu, który powiedział:

---

[117] A. Hall, *Unia Kościoła*, „Solidarność" nr 27/90, 31 V 1983 [w:] A. Hall, *Polemiki i refleksje. Wybór publicystyki politycznej z lat 1978–1986*, Londyn 1989, s. 104.

[118] A. Drzycimski, *Droga do…,* op. cit., s. 250.

[119] M. Łopiński i in., *Konspira…,* op. cit., s. 35.

[120] K. Nazarewicz, *Departament*…, op. cit.

„(…) ci, co są na pasterce służbowo, niech przekażą swoim przełożonym, by się opamiętali i nie działali jak zaprogramowane maszyny (…)”[121].

W sprawie poprawy warunków w obozach dla internowanych i dopuszczenia do nich księży dla posług duszpasterskich, Sekretarz Episkopatu biskup Bronisław Dąbrowski wystosował 23 grudnia 1981 r. list do ministra sprawiedliwości prof. Sylwestra Zawadzkiego[122].

Z okazji Świąt Bożego Narodzenia Prymas wystosował list do internowanych, zaczynający się od słów: „Ze ściśniętym sercem piszę do was…”, który został odczytany w obozach internowania[123], gdzie zamknięci działacze sprzeczali się co do linii, którą powinien zająć Kościół. Oceny były bardzo różne, od sugerujących bezkompromisową linię, którą w tym czasie popierała większość aktywistów podziemia, po bardziej umiarkowaną, którą popierał Lech Wałęsa.

Tak o tym pisał przebywający w obozie w Jaworzu Piotr Wierzbicki: „Godzinami analizowałem i rozszczepiałem na czworo każde słowo Prymasa i były takie chwile, że wyraz «zdrada» cisnął mi się na usta. Gdy wyszedłem z obozu, zobaczyłem, że niemal wszyscy wieszają psy na Prymasie i mój gniew wzrósł jeszcze bardziej. Jednak kiedy usłyszałem opinię, że Episkopat sprzedał «Solidarność» godząc się na jej rozwiązanie i że za niepowodzenie strajku powszechnego odpowiada Prymas, bo go nie poparł, spojrzałem podejrzliwie na swe gniewy, potępienia oraz wymyślania i zadałem sobie samemu pewne pytania. Nie podobało mi się kilka wypowiedzi Prymasa, a odkąd to męża stanu, jego politykę wolno oceniać na podstawie jego wypowiedzi, oświadczeń, słów? I spytałem sam siebie, czy nie jest przypadkiem tak, że męża stanu, jego politykę należy oceniać raczej biorąc za podstawę to, czy potrafi on zachować lub pomnożyć swój stan posiadania, nie roztrwonić go w bezmyślnej szarpaninie? Kościół polski zachował, a nawet pomnożył swój stan posiadania w najtrudniejszym okresie stanu wojennego, pozostał potęgą materialną, polityczną, moralną, stał się jedynym wsparciem

[121] *Ibidem*.

[122] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat…*, op. cit., s. 88–89.

[123] T. Mazowiecki, *Internowanie*, Londyn 1982, s. 50.

dla internowanych i aresztowanych, ostał się w życiu publicznym jako jedyna niezależna polska instytucja. (…). Spróbowałem sobie wyobrazić taką sytuację, w której Episkopat Polski z Prymasem przychylają się do głosów swych krytyków i zaczynają spełniać ich życzenia. Ujrzałem więc oczyma wyobraźni Prymasa ciskającego od ołtarza gromy na sprawujących władzę, zobaczyłem niekończącą się litanię protestów, gróźb, ultimatów, snutą przez kolejne komunikaty Episkopatu. (…) Prymas wraz z biskupami ciskają na komunistów gromy – i co dalej? (…) Zobaczyłem scenariusz pierwszy, w którym Naród na ostre słowa biskupów reaguje. Przed oczami przesunęły mi się obrazy starcia Kościoła z władzą, rozpędzonych procesji, aresztowanych księży, zamkniętych ośrodków dla prześladowanych. Ujrzałem w więzieniach dziesiątki tysięcy ludzi pozbawionych jakiegokolwiek wsparcia. I zobaczyłem scenariusz drugi, w którym Naród na ostre słowa biskupów nie reaguje. Przed oczami przesunęły mi się korowody słów ciskanych na wiatr, potępień bez sankcji, gróźb bez pokrycia, ultimatów, które można wyrzucić do kosza. Ujrzałem Kościół polski z roztrwonionym autorytetem, obnażony w swej bezsile, wyśmiewany, lżony, wykpiwany, pozbawiony wszelkiego wpływu.

Gdy wynik mego eksperymentu myślowego ukazał mi naocznie, że gdyby Episkopat Polski posłuchał swych krytyków, uczyniłby krok samobójczy i dla Kościoła, i dla Polski, i gdy wypracowałem sobie przekonanie, że pomimo niektórych nie całkiem zręcznych wypowiedzi poszczególnych biskupów, Episkopat Polski prowadzi na ogół politykę słuszną, trafną, korzystną dla Polski, zacząłem dzielić się swymi przemyśleniami z drugimi ludźmi”[124].

Przed Bożym Narodzeniem z więzienia w Białołęce ksiądz Jan Sikorski, który pismem z 24 grudnia 1981 r. został oficjalnie wydelegowany przez Warszawską Kurię Metropolitalną do udzielania posług duszpasterskich internowanym[125], przemycił 30-stronicowe memorandum

[124] P. Wierzbicki, Myśli *staroświeckiego Polaka*, Londyn 1985, s. 13–14.

[125] P. Raina, *Kościół w PRL. Dokumenty 1975–1989*, t. 3, Poznań, Pelplin 1996, s. 256.

adresowane przez więzionych działaczy Solidarności do Jana Pawła II. Więźniowie, wśród których byli m.in. Bronisław Geremek, Adam Michnik i Jan Lityński, przekazali Papieżowi także żartobliwy „Dyplom honorowego więźnia”[126].

Część duchowieństwa, zwłaszcza młodzi księża, oczekiwała od Prymasa bardziej radykalnej postawy. Podczas spotkania Prymasa z księżmi Archidiecezji Warszawskiej niektórzy z nich mówili, że w odczuciu Polaków Kościół porzucił Naród i sam stał się wspólnikiem politycznym gen. Jaruzelskiego. Jeden z księży zaproponował, aby Prymas osobiście poprowadził procesję duchownych przeciw milicji, jak Papież Leon Wielki przeciwko Hunom „bo wtedy dopiero zrozumiemy, co to znaczy być bitym”; zebrani przyjęli tę propozycję z aplauzem. Prymas odpowiedział, że misją Kościoła nie jest zmiana systemu, ale pełnienie swych duchownych powinności w każdym systemie politycznym[127].

28 grudnia 1981 r. Prymas Glemp w liście do gen. Jaruzelskiego zaprotestował przeciwko weryfikacji kadry w administracji państwowej, dotyczącej głównie członków Solidarności, zwłaszcza przeciw metodzie zmuszania do wyrzeczenia się przynależności do Związku przez podpisywanie „lojalek”[128]. Prymas wykazał sprzeczność Okólnika dla administracji z art. 85 konstytucji PRL.

Po wprowadzeniu stanu wojennego prasa katolicka stała się azylem dla tych dziennikarzy, którzy zostali zwolnieni z pracy w redakcjach czasopism państwowych (np. „negatywnie zweryfikowani”). Wprowadzili oni do prasy katolickiej w większym zakresie problematykę społeczną, przyczynili się do podniesienia fachowości redagowanych czasopism. Prasa katolicka wciąż pozostawała pod kontrolą państwa, ale coraz częściej spełniała nie tylko funkcje religijne, ale społeczne i polityczne[129].

---

[126] J. Moskwa, *Zostań z nami*…, op. cit., s. 151–152.

[127] L. Goodwyn, *Jak to zrobiliście*…, op. cit., s. 494.

[128] *Jan Paweł II, Prymas i Episkopat*…, op. cit., s. 86–88.

[129] Ks. J. Mariański, *Kościół katolicki* w *Polsce a środki społecznego przekazu* [w:] *Kościół i religijność Polaków 1945–1999*…, op. cit., s. 47.

30 grudnia 1981 r. Wydział Administracyjny KC PZPR sporządził notatkę dotyczącą jego zadań wynikających z wniosków Biura Politycznego KC PZPR z 22 grudnia 1981 r. Stwierdzono tam m.in.: „1) Urzędowi do Spraw Wyznań zalecono podjęcie następujących działań:

– prowadzenie bieżącej oceny przestrzegania wymogów stanu wojennego przez Kościół, wszystkie jego ogniwa i kadrę;
– w przypadkach istotnych naruszeń wymogów stanu wojennego przez poszczególne ogniwa Kościoła i jego funkcjonariuszy – prowadzenia doraźnych rozmów przez uprawnionych przedstawicieli władz państwowych, ostrzegających przed groźniejszymi konsekwencjami;
– opracowanie prospektu i materiałów w zakresie prowadzenia systematycznych rozmów z kadrą kierowniczą Kościoła wszystkich szczebli przez upoważnionych przedstawicieli władz państwowych, zmierzających do dystansowania jej od nielegalnych działań «Solidarności» i innych wrogich poczynań oraz angażowania Kościoła do celów politycznych;
– dokonanie oceny sytuacji politycznej wśród kadry administracji wyznaniowej i ukierunkowania jej prac;
– zabezpieczenie warunków dla praktyk religijnych ludzi wierzących zgodnie z wymogami stanu wojennego.

2) Resort MSW podejmie działania na odcinku wyznaniowym w następujących kierunkach:

– prowadzi bieżącą kontrolę i ocenę politycznych i prawnych zachowań kierownictwa Kościoła, jego wszystkich ogniw oraz podległej kadry.

3) W przypadkach wykorzystywania urządzeń poligraficznych i drukarskich, pozostających w dyspozycji kościelnej, będą podejmowane decyzje ich rekwirowania.

4) W zależności od stopnia naruszania wymogów stanu wojennego i prowadzenia działalności antysocjalistycznej przez konkretne osoby duchowne będą podejmowane decyzje o pociąganiu do odpowiedzialności karnej”[130].

---

[130] *Stan wojenny w dokumentach władz PRL (1980–1983)*…, op. cit., s. 108–109.

6 stycznia 1982 r. gen. Jaruzelski wysłał list do Jana Pawła II, który był odpowiedzią na przywieziony w grudniu 1981 r. z Watykanu przez arcybiskupa Luigi Poggiego list papieski. Warto przedstawić jego fragmenty: (…) „Właśnie w imię zapobieżenia rozległej, ostrej konfrontacji, masowemu przelewowi krwi wprowadziliśmy stan wojenny, oddalając w ten sposób widmo wojny domowej od tak ciężko w przeszłości doświadczonego narodu. A przecież niekoniecznie zamknęłaby się ona w ramach wewnętrznych: mogłaby pociągnąć za sobą kataklizm w znacznie szerszej skali. (…)

Staraliśmy się, by o niebezpieczeństwach grożących krajowi informowana była Stolica Apostolska. Temu służyło m.in. przyjęcie przez Waszą Świątobliwość ministra spraw zagranicznych PRL Józefa Czyrka. Wielokrotnie informowaliśmy czołowych przedstawicieli Episkopatu Polski o stosunkach społeczno-gospodarczych, jakie stawia istniejąca sytuacja, czym grozi tak postępujący rozwój wypadków. Prosiliśmy o wykorzystanie wpływów, jakie miał Kościół na członków kierownictwa «Solidarności» oraz na doradców dla skłonienia ich do umiarkowania, porozumienia i współpracy. Niestety nie okazało się to dość skuteczne. (…)

Nie mamy nic przeciwko działaniu «Solidarności» jako niezależnego, samorządnego związku zawodowego, kierowanego przez ludzi odpowiedzialnych, pracującego w swoich statutowych ramach. (…)

Nasze zainteresowanie ułożeniem i rozwojem dobrych stosunków między Kościołem i Państwem jest niezmienne. Ostatni okres przyniósł liczne dowody wiarygodności władz w tym dążeniu. Były to nie tylko deklaracje, ale i czyny. Zamierzamy nadal iść tym szlakiem i liczymy nadal na współdziałanie ze strony Kościoła. Ufam głęboko, że Wasza Świątobliwość wesprze nas w tych dążeniach i wysiłkach”[131].

Władze kościelne pod przewodnictwem Prymasa Glempa zareagowały na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce krytycznie i jednoznacznie. Aczkolwiek reakcje w łonie Episkopatu były różne, czego najlepszym

[131] *Stan wojenny w Polsce. Dokumenty i materiały archiwalne 1981–1983*, praca zespołowa pod kierunkiem naukowym prof. dr hab. T. Walichnowskiego, Warszawa 2001, s. 143–146.

przykładem jest wystąpienie Prymasa Glempa 17 grudnia 1981 r., różniące się zasadniczo od komunikatu Rady Głównej z 15 grudnia 1981 roku. Nie należy jednak z różnicy stanowisk wyciągać wniosków o głębokich podziałach w hierarchii kościelnej. Kościół był zawsze przeciwnikiem stosowania przemocy w życiu społeczno-politycznym kraju. Różnice w wypowiedziach przedstawicieli Episkopatu wynikały z odmiennych reguł funkcjonowania gremium kościelnego, od kiedy Prymasem został Józef Glemp; polegały one na istnieniu różnych stanowisk.

Wypowiedziawszy się raz ostro i krytycznie wobec wprowadzenia stanu wojennego (komunikat Rady Głównej z 15 grudnia 1981 r.) władze kościelne nie eksponowały zbytnio swego krytycyzmu, by nie podsycać wrogości i napięcia w społeczeństwie. Najważniejszą sprawą stało się uniknięcie rozlewu krwi.

Brak jednolitej reakcji biskupów na polityczne wydarzenia pierwszych tygodni stanu wojennego starano się zniwelować poprzez wydanie wytycznych opracowanych przez Episkopat, a zawartych w dokumencie z 8 stycznia 1982 r. pt. *Ocena sytuacji*[132].

Władze kościelne przyjęły założenie, że strajki i manifestacje uliczne nie „rozwiążą" sytuacji, a przeciwnie tylko ją pogorszą. Nie oznaczało to jednak, że w czasie grudniowych strajków nie byli obecni w protestujących zakładach. Bardzo aktywną rolę odegrali księża w strajkujących kopalniach, gdzie między innymi dzięki nim nie doszło do jeszcze większego rozlewu krwi[133]. Podczas tych strajków robotnicy bardzo często odwoływali się do symboliki patriotyczno-religijnej, jak w sierpniu 1980 roku.

Władysław Frasyniuk, przewodniczący dolnośląskiej Solidarności tak wspomina grudniowy strajk w zajezdni MPK: „Robotnicy oczywiście natychmiast powiesili na bramie portrety papieża i wizerunek Matki Boskiej, pojawiły się kwiaty, biało-czerwony sztandar"[134].

Jednocześnie księża w kazaniach o ówczesnej sytuacji mówili o niemoralności i nadużyciach władz, przez które nie było to mile widziane,

---

[132] A. Dudek, R. Gryz, op. cit., s. 379.

[133] *Grudzień 1981. Relacje*, Warszawa 1982, s. 9–31.

[134] M. Łopiński i in, *Konspira…*, op. cit., s. 23.

ale nie decydowały się one na ostre wystąpienie przeciw Kościołowi. Nie chciano prowadzić jednocześnie walki z niezależnym ruchem społecznym i Kościołem, przypuszczając, że obrona Kościoła przez wiernych dodatkowo utrudniałaby sytuację władz[135]. Ponadto księża ukrywali poszukiwanych ludzi lub przyjmowali transporty dla podziemia[136].

Kształtujące się w tym czasie podziemie, bez pomocy Kościoła miałoby bardzo poważne kłopoty. Grażyna Przybylska-Wendt, członek Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność", wspomina: „«Podziemie» powstawało we wszystkich regionach, mniej lub bardziej spontanicznie i w różnym zakresie. Początkowo wszelkie informacje o spotkaniach w zaufanym gronie przekazywano sobie ustnie, przeważnie podczas okolicznościowych Mszy świętych za Ojczyznę, odprawianych w wielu kościołach w całej Polsce"[137]. Pozostający na wolności działacze bardzo często kontaktowali się w… świątyniach[138]. Przywódca podziemnej „Solidarności" Zbigniew Bujak w swoich wspomnieniach podkreślił rolę księży w pierwszych dniach stanu wojennego. On sam, po zakończeniu obrad Komisji Krajowej, pierwszą noc konspiracji spał w gdańskim klasztorze, pierwsze spotkanie następnego dnia miał w katedrze[139].

Współpracujący z Bujakiem Wiktor Kulerski ukrywał się, nieustanie zmieniając mieszkania, wspomagany był przede wszystkim przez ks. Mateusza Matuszewskiego, który organizował konspiracyjne lokale i ich zaopatrzenie[140].

Pierwsze pieniądze na działalność podziemną Związku przechował ks. Jerzy Popiełuszko, który na kilka dni przed stanem wojennym otrzymał „na przechowanie" 10 000 000 zł z funduszu Regionu

---

135 J. Karpiński, *Dziwna*…, op. cit., s. 55.

136 M. Łopiński i in., *Konspira*…, op. cit., s. 110.

137 G. Przybylska-Wendt, *„Solidarność" dekady lat osiemdziesiątych* [w:] *Wiara i wolność*…, op. cit., s. 79.

138 *Ibidem*, s. 28.

139 J. Rolicki, *Zbigniew Bujak: Przepraszam za „Solidarność"*, Warszawa 1991, s. 80.

140 *Opozycja* w *PRL*…, op. cit., s. 195.

Mazowsze[141]. Również ks. Jerzy ostrzegł Bujaka przed aresztowaniem[142]. Taka postawa ks. Jerzego Popiełuszki spotkała się z krytyką Prymasa Glempa. Ksiądz Jerzy w liście do ks. Biskupa Władysława Miziołka i Duszpasterza Krajowej Służby Zdrowia ks. dr Zdzisława Króla napisał: „Kardynał Prymas w rozmowie ze mną stwierdził, że nic nie zrobiłem w Duszpasterstwie Medycznym i powinienem poprosić o zmianę pracy, a w środowisku robotniczym szukam tylko własnego rozgłosu i własnej chwały (…)"[143].

---

[141] *Ibidem*, s. 62.

[142] *Ibidem*, s. 108.

[143] W Chrostowski, *Świadectwo*, Insbruck 1991, s. 352.

Również w *Zapiskach* ks. Jerzego Popiełuszki znajduje się fragment odnoszący się do rozmowy ks. Jerzego z Prymasem Józefem Glempem. Tak mówi o tym fragmencie wydawca *Zapisków,* przedstawiciel Komitetu Obrony Praworządności i członek redakcji podziemnych zeszytów „Praworządność–Dokumenty": *Nie cenzurowaliśmy „Zapisków", więc jest i ten passus, w którym ksiądz Jerzy zwierza się, jak mocno przeżył ostrą reprymendę ze strony Prymasa. Podejrzewano, że ksiądz Prymas za to zdanie mógłby się mścić. Taka opinia była dla księdza Prymasa bardzo krzywdząca, my o księdzu Prymasie takiego krzywdzącego dla niego zdania nie mieliśmy. Zresztą w świetle „Zapisków" widać bardzo ciekawą ewolucję stosunku księdza Prymasa do księdza Jerzego w kierunku przychylności* [w:] G. Nawrocki, *Struktury nadziei*, Warszawa 1988, s. 78. Sam fakt publikacji *Zapisków* ks. Jerzego Popiełuszki wywołał liczne kontrowersje. Dał temu wyraz podziemny „Tygodnik Mazowsze" w nr 149 z 5 XI 1985 r. W komentarzu do tej sprawy napisano między innymi: *Nie sposób odmówić przeciwnikom wydania „Zapisków" pewnych racji. Niezakłócony odbiór tego typu dokumentu jest możliwy dopiero wtedy, gdy uczestnicy opisywanych zdarzeń nabiorą do nich dystansu, a to wymaga czasu. Z tego punktu widzenia dziennik ks. Jerzego ukazał się być może za wcześnie.*

Związana z ks. Jerzym Roma Szczepkowska, w artykule pt. *Mądrzej nad tą trumną,* opublikowanym w kolejnym numerze podziemnego „Tygodnia Mazowsze", napisała: (…) *Nie jestem prawnikiem, więc nie komentuję ostatniego zdania redakcji: „Zapiski" publikujemy bez wiedzy i zgody rodziny ks. Jerzego oraz jego przyjaciół, którzy je przechowywali. Zajrzenie do czyichś listów, pamiętników czy zapisków zarówno za życia, jak* i *po śmierci jest sprawą wrażliwości czy raczej jej brakiem. Bez zgody którejkolwiek z osób uprawnionych jest czynem nieetycznym. A co dopiero ich publikowanie. (…) Czy w „Zapiskach" przemówił własnym głosem?*

Ks. biskup Bronisław Dembowski wspomina, że dwukrotnie zdarzyło mu się znaleźć w konfesjonale tajne wiadomości od Zbigniewa Bujaka z podziękowaniem za stały napływ materiałów dla podziemia[144].

W Krakowie w klasztorze Dominikanów ukryto po 13 grudnia bibliotekę i archiwum Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Klasztor był również skrzynką kontaktową dla ukrywających się działaczy Solidarności. Dominikanin o. Jan Andrzej Kłoczowski 17 grudnia 1981 r. został aresztowany, zwolniony cztery dni później po interwencji kardynała Franciszka Macharskiego[145].

Po latach Kardynał Henryk Gulbinowicz mówił na temat wsparcia Kościoła dla podziemia we Wrocławiu: „Nie znałem wszystkich adresów, pod którymi się ukrywali. Nie chciałem ich znać ze względu na bezpieczeństwo ukrywających się. Znajdowali oni życzliwe schronienie u duchownych, ale zawsze doprowadzali ich w te miejsca ludzie świeccy. Jeśli chodzi o klasztor na placu Grunwaldzkim, to pozwolenia nie musiałem udzielać. Klasztory są na prawie papieskim i od biskupa są niezależne. Nieraz radzono się mnie, czy pomagać bliźnim w ten sposób. Odpowiedź była zawsze korzystna dla prześladowanych. (…) Nie tylko Władysław Frasyniuk ukrywał się w rezydencji arcybiskupów wrocławskich. Chronili się tu także inni działacze Solidarności i dzięki Bogu nikogo nie złapano. Albo milicja nie chciała tego zrobić, albo udało się nam zachować sekret". 2 grudnia 1981 r. działacze dolnośląskiej Solidarności Józef Pinior i Stanisław Muchowski przywieźli do wrocławskiej Kurii 80 mln złotych pobranych ze związkowego konta w banku. Pieniądze odebrał ksiądz kardynał, który wspominał: „Pieniądze były elegancko poukładane w porządnej walizce, która nie była zbyt ciężka, a więc łatwa do przenoszenia. Kiedy Pinior i Muchowski

---

Ja np. utwierdziłam się tylko, że jak zwykle mylił daty, co teraz wprowadziło zamieszanie do ustalenia istotnych faktów. Gdyby oprzeć się na tych zeszycikach, w których notował, jak popadnie, w jakiejś wolnej minucie pracowitego dnia, nie wiedziałoby się o nim nic [w:] R. Szczepkowska, *Mądrzej nad tą trumną*, „Tygodnik Mazowsze" nr 150/151, 12 XII 1985.

[144] J. Kwitny, *Człowiek stulecia*…, op. cit., s. 413.

[145] *Opozycja w PRL*…, t. 2, op. cit., s. 164–165.

przyjechali, sejfy Kurii były pozamykane. Trzeba więc było zaufać Panu Bogu, że tej nocy nie zdarzy się nic złego. Postawiłem więc owe miliony po prostu za kotarą na korytarzu. Siostry zakonne nie wiedziały, co to za walizka. Tak duża suma nie mogła zostać przyjęta bez pisemnego potwierdzenia. Za zgodą przedstawicieli „Solidarności" napisałem krótką notatkę na małej kartce, potwierdzającą, że przyjąłem w depozyt 80 mln złotych – własność dolnośląskiej „Solidarności". Podpisali ci którzy je przekazali i ja. (…)

Wiedziałem, że taka kwota powinna być mądrze przechowana i użytkowana przez prawowitych właścicieli. Aby pieniądze nie uległy dewaluacji i nie były łatwe do rozchodowania, wymieniłem je na dolary. Złotówki łatwo się wydaje, nad wydaniem dolarów właściciele musieli się poważnie zastanowić. Kto korzystał z tych pieniędzy nie wiem. Wielokrotnie usiłowano po nie sięgać. Roztropność nakazywała mi odsyłać tych, którzy chcieli sięgać po te pieniądze do osób, które pobrały je z banku. One zaś, gdy nie siedziały w więzieniu, to wykręcały się od rozrzutnego ich rozdawania"[146].

Abp Tadeusz Gocłowski, po latach, na temat pomocy Kościoła dla podziemia mówił: „Ważną sprawą było stworzenie przestrzeni wolności i organizowanie spotkań zdelegalizowanego Związku. Tu ważną rolę odgrywało Duszpasterstwo Ludzi Pracy, działające na terenie całego kraju. To nie było tylko organizowanie pomocy charytatywnej. Ważną sprawą było to, że Duszpasterstwo Ludzi Pracy nie stwarzało pozorów nadopiekuńczości ideowo-politycznej"[147].

Jan Paweł II utrzymywał cały czas kontakt z przywódcami podziemia. Na przykład, gdy Jacek Woźniakowski zatrzymał się w Watykanie, w drodze powrotnej z Francji, Papież przekazał mu pisemne i ustne posłanie dla Zbigniewa Bujaka oraz innych przywódców Solidarności.

---

[146] *Podziemie w rezydencji arcybiskupów,* z Kardynałem Henrykiem Gulbinowiczem rozmawiał R. Bubnicki, „Rzeczpospolita" 5–6 I 2002.

[147] Abp T. Gocłowski, *Gdzie duch Pański, tam wolność, Kościół i „Solidarność"* [w:] *Wiara i wolność*…, op. cit., s. 33.

Usłyszał wtedy: „Powiedz im, że popieram ich walkę. Powiedz im, że jestem po ich stronie”[148].

Bardzo ważną w tym czasie rolę w informowaniu społeczeństwa o rzeczywistej sytuacji w kraju odgrywało Radio Wolna Europa. Jego ocenie poświęcony jest dokument przygotowany w czerwcu 1982 roku na zlecenie władz przez Instytut Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu. Warto przedstawić jego fragmenty: „Na początku stycznia (4 I 1982) brytyjski tygodnik „Sunday Telegraph” tak charakteryzował rolę Radia Wolna Europa w kryzysie polskim: «Dziewiętnastogodzinny program Radia Wolna Europa kierowany do polskich słuchaczy odegrał decydującą rolę katalizatora podczas narastania w sierpniu 1980 r. ruchu polskich związków zawodowych… Bez zwrócenia uwagi przez Radio Wolna Europa na Kuronia i Wałęsę, ludzi tych nie byłoby dzisiaj». (…)

Wskazując na uznanie ze strony hierarchii Kościoła katolickiego dla «Solidarności», usiłowano dowodzić, że w Polsce nie ma siły zdolnej do skutecznego przeciwstawienia się rozwijanej przez jej kierownictwo działalności. (…)

W propagandzie na temat postawy Kościoła katolickiego Radio Wolna Europa przywracało nadzieję, iż zajmie on zdecydowanie wojowniczą postawę w obronie «Solidarności». Mnożono «nie potwierdzone» informacje o listach protestacyjnych Episkopatu Polski i ostrym potępieniu przez papieża decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego, a także o angażowaniu się niższego duchowieństwa w pracy na rzecz «Solidarności». Taktyka tej propagandy została bardzo szybko zmieniona i rozpoczęto nawoływać do wzmocnienia przez społeczeństwo pozycji Kościoła przez masowe uczestnictwo w nabożeństwach i utrzymywanie bliskich kontaktów z klerem. Zwracano przy tym uwagę, że obecnie tylko Kościół posiada pewną swobodę działania i stara się ją wykorzystać do polepszenia losu więzionych, jak najszybszego zniesienia stanu wojennego, ograniczenia strat i znalezienia jakiegoś *modus vivendi* na przyszłość. Pod koniec grudnia komentatorzy rozgłośni coraz

[148] J. Kwitny, *Człowiek stulecia*…, op. cit., s. 431.

częściej eksponowali rolę Kościoła jako łącznika między internowanymi przywódcami Związku a Zachodem oraz jako przyszłego mediatora między władzami a «Solidarnością».

Wyrażano więc nadzieję, że dojdzie wreszcie do wypracowania wspólnej strategii działania między Watykanem a Episkopatem Polski, ponieważ według rozgłośni – Episkopat zajmuje bardziej umiarkowane i niezdecydowane stanowisko wobec wydarzeń w Polsce, niż uczynił to papież w swoich listach pasterskich. Nie chcąc osłabić zaufania społeczeństwa do Kościoła i zrażać sobie jego hierarchii, rozgłośnia konsekwentnie podkreślała, iż Kościół na pewno posiada przemyślaną i mądrą strategię działania, chociaż «obecnie prymas znalazł się w trudnej sytuacji, bowiem spotyka się z krytyką z dwóch stron – jedni zarzucają mu, że nie potrafił należycie przeciwdziałać radykalności nastrojów w ruchu ‹Solidarność›, inni znów, że nie potępił należycie władz, gdy porzuciły drogę rokowań i wprowadziły stan wojenny». (…)

Rozróżnienie to nie ma większego znaczenia, ponieważ i w obronie legalnego działania «Solidarności» rozgłośnia bez żadnych skrupułów klasyfikowała przywódców związkowych, podobnie jak i członków KSS-KOR jako opozycji politycznej, a sam związek jako «ruch społeczny» o wyraźnie politycznych aspiracjach.

Model «czynnego oporu» i «podziemnego społeczeństwa», czyli wspierania żądań akcjami protestacyjnymi i działalnością antypaństwową oraz szeroki zakres form manipulowania nastrojami i świadomością społeczeństwa oparte są na wzorcach wypracowanych przez KSS-KOR i NSZZ «Solidarność». Fakty potwierdzają, że były to metody skuteczne.

W propagandzie tej będzie nadal wspierać swym autorytetem Kościoła katolickiego, usiłując wywierać naciski na kler, a za jego pośrednictwem na hierarchię kościelną w celu bardziej odważnego i aktywnego angażowania się w obronę «Solidarności» i działania mediacyjne. Będzie to jednak propaganda robiona z dużym wysiłkiem i ostrożnością, aby nie kompromitować Kościoła wciąganiem go do mniej ważnych spraw lub mieszaniem do akcji niepopularnych w polskim społeczeństwie"[149].

[149] *Stan wojenny w Polsce*…, op. cit., s. 292–313.

Doceniając rolę Radia Wolna Europa Jan Paweł II zaprosił na obiad do Watykanu dyrektora Polskiej sekcji RWE Zdzisława Najdera. Papież powiedział mu, że rozgłośnia wykonuje bardzo ważną pracę, która wymaga ogromnej odpowiedzialności. „Razem wierzymy w «Solidarność» – powiedział Jan Paweł II – jestem z wami”[150].

Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce oznaczało w istocie wprowadzenie w kraju struktury państwa policyjnego. Podzielam pogląd w tej sprawie Andrzeja Zybertowicza, który widzi następujące powody tej sytuacji:

„1. Stan wojenny wzmocnił pozycję wojska i MSW względem innych instytucji władzy państwowej.

2. Nastąpiła koncentracja kontroli nad służbami policyjnymi w rękach Wojciecha Jaruzelskiego.

3. Miała miejsce intensyfikacja funkcji policyjnych skierowanych przeciw własnemu społeczeństwu; wszystkie służby (łącznie z wywiadem zagranicznym) były «zadaniowane» pod kątem zwalczania opozycji.

4. Wystąpiły liczne reorganizacje i rozbudowa MSW.

5. Miały miejsce liczne przejawy umocnienia pozycji struktur policyjnych wobec nie tylko lokalnych ogniw PZPR”[151].

Charakterystyczne, że podczas pierwszego po wprowadzeniu stanu wojennego posiedzenia kierownictwa MSW postanowiono nasilić pracę wokół przedsięwzięć zmierzających do stworzenia nowej, „ludowej” całkowicie Solidarności. Wskazuje to na rolę aparatu bezpieczeństwa w kształtowaniu sytuacji politycznej, także na zawłaszczanie siłą składników tworzącego się społeczeństwa obywatelskiego[152].

20 stycznia 1982 r., na kolejnej odprawie kierowniczego aktywu MSW minister Czesław Kiszczak dokonał oceny stanowiska Kościoła wobec stanu wojennego. Podał, że władze interweniowały w sprawie

---

[150] J. Kwitny, *Człowiek stulecia*…, op. cit., s. 428.

[151] A. Zybertowicz, op. cit., s. 157.

[152] A. Paczkowski, *Odpowiedzialność za stan wojenny*, „Rzeczpospolita” nr 175, 29–30 VII 1995.

wycofania komunikatu wydanego przez Radę Główną Episkopatu, co spowodowało, że prymas Glemp wydał w to miejsce *Słowo Prymasa do wierzących,* które było sformułowane w znacznie stonowanej formie. Podobnie rzecz się miała z listem papieża Jana Pawła II „o zdecydowanie negatywnej treści, który został wycofany, w wyniku ostrej i zdecydowanej interwencji władz". Kiszczak dodał, że kierownictwo Kościoła w sposób wyraźny dąży do zachowania Solidarności w kształcie zbliżonym do poprzedniego, co ośmiela internowany aktyw Solidarności do wykorzystywania bazy i struktur organizacyjnych Kościoła do konspiracyjnego kontynuowania działalności związkowej. Wokół Kościoła, głównie biskupów, grupują się wszystkie odłamy przeciwników socjalizmu. Niebezpieczne jest to, podkreślił, że Kościół przyjmuje ich pod swe skrzydła, usiłując roztoczyć nad nimi swoisty parasol ochronny. Minister dodał, że „świadomość powyższego nie upoważnia nas do wyciągania pochopnych wniosków, a zwłaszcza niedoceniania roli politycznej, jaką współcześnie spełnia Kościół w Polsce. Tym hardziej, że aktualnie nie stać władz na luksus otwierania nowych frontów walki, a tym hardziej – na otwartą walkę z Kościołem, bowiem zamiary trzeba mierzyć na siły"[153].

W tym czasie Urząd do Spraw Wyznań i Wydział Administracyjny KC PZPR przygotowały sygnowany klauzulą „Tajne-Projekt": *Notatkę o stosunkach państwo–Kościół w okresie stanu wojennego.* W dokumencie tym zawarte są rzeczywiste oceny i analizy ówczesnych władz. Warto przedstawić niektóre fragmenty: „(…) 1. Od momentu wprowadzenia stanu wojennego stosunek Kościoła do zaistniałej sytuacji charakteryzuje się dystansowaniem od niektórych konsekwencji stanu wojennego i płynnością w jej ocenianiu. Przy czym należy podkreślić, że zarówno oceny, jak i stanowiska wyrażane publicznie nie posiadają charakteru jednolitego. Przykładem jaskrawym może tu być kazanie prymasa Polski wygłoszone w dniu 13 XII [I9]81 r. i zasadniczo odbiegający od tego tekst komunikatu Rady Głównej [Episkopatu Polski] z dnia

[153] H. Dominiczak, *Organy bezpieczeństwa PRL*…, op. cit., s. 387–388.

15 XII [19]81 r. oraz poprawione «słowo Prymasa do wiernych» – które zastąpiło tekst komunikatu Rady Głównej z dnia 17 XII [19]81 r.

W kształtowaniu takiej niejednoznacznej, płynnej linii postępowania episkopatu – niezależnie od wszystkich różnic, jakie występowały w przeszłości – obecnie zasadniczą rolę odgrywa oddziaływanie sił opozycyjnych.

Po zdemontowaniu sieci organizacyjnej «Solidarności» znaczna część opozycji i reakcji politycznej, pozbawiona bazy organizacyjnej oddziaływań, poszukuje posłuchu u części hierarchii kościelnej i duchowieństwa oraz znajduje go.

2. Okres Świąt i Nowe[go] Roku przyniósł sporą liczbę przypadków kazań o zabarwieniu politycznym, z pozycji opozycyjnych. W trzech kościołach dekoracja żłobków miała akcenty politycznie wrogie. Przedstawiciele Episkopatu wskazywali duże zainteresowanie losami internowanych. W kilku przypadkach odprawiono msze dla internowanych (w tym prymas). Powołany został Prymasowski Komitet Pomocy Więźniom i Internowanym, na czele którego stanął ks. bp. Wł[adysław] Miziołek. Poza aspektami politycznymi, które wiążą się z powołaniem tego komitetu, charakterystyczny jest w nim udział osób świeckich znanych z działalności opozycyjnej. W tym przypadku idzie o zamanifestowanie łączności Episkopatu z internowanymi, co oznacza z jednej strony chęć nieutracenia więzi z «Solidarnością», z drugiej zaś jest to spełnienie postulatów opozycji politycznej.

3. Nie bez znaczenia dla takiej postawy Episkopatu jest pozycja papieża i Watykanu. Przy czym na linii Watykan – Episkopat dają się zauważyć różnice w ocenie sytuacji w kraju. Przykładem wymownym jest reakcja Watykanu na nasze stanowisko w sprawie I wersji listu papieża i z tym związana wizyta bp. B[ronisława] Dąbrowskiego w Watykanie.

Watykan i papież znajdują się w orbicie oddziaływania imperialistycznych ośrodków informacji. Obraz sytuacji w Polsce jest kształtowany przez wrogie obozowi socjalistycznemu ośrodki imperialistyczne oraz przebywających obecnie w Rzymie ekstremistów katolickich i na tej podstawie formułowane [są] oceny papieża. Ostatni okres

przyniósł pewne złagodzenie ocen wyrażanych przez papieża. Sądzić należy, że nie posiadają te oceny cech trwałości.(…)”[154].

Warto zatrzymać się nad fragmentem tekstu dotyczącego tzw. *I wersji listu papieża*. Związane to było z wizytą bpa Bronisława Dąbrowskiego w Watykanie w dniach 22–23 grudnia 1981 roku. W notatkach z tej wizyty bp Dąbrowski wspomina o przeredagowaniu listu Papieża Jana Pawła II do gen. Wojciecha Jaruzelskiego. List w pierwotnej wersji przywiózł abp Luigi Poggi 20 grudnia 1981 r., jednak ze względu na jego treść wysłannik papieski nie został wówczas przyjęty przez władze państwowe[155].

Władze nieustannie starały się różnicować wystąpienia przedstawicieli Kościoła. Próbowano złamać jednolity front Kościoła w ocenie stanu wojennego.

Podzielam pogląd ks. prof. Piotra Niteckiego, że: „Na podstawie uważnej analizy wystąpień ks. arcybiskupa Józefa Glempa trudno zbudować twierdzenie o rozbieżności ogólnych zasad głoszonych przez Papieża i Prymasa Polski. W okresie trwania stanu wojennego obaj występowali zdecydowanie w obronie poszanowania godności osoby ludzkiej, nawołując do pokoju społecznego i głosząc konieczność autentycznego porozumienia ogólnonarodowego. Rola Prymasa Polski o tyle była wówczas trudniejsza, iż musiał on z ogólnych zasad moralnych wyprowadzić szczegółowe wnioski. O ile zaś w dziedzinie zasad ogólnych na ogół wszyscy są niemal zgodni, metody realizowania praktycznych wniosków płynących z tych zasad budzą zazwyczaj najwięcej kontrowersji”[156].

Mimo napiętej sytuacji w kraju podczas obrad 183 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, obradującej 25 i 26 lutego 1982 r. w Warszawie, polscy biskupi wystąpili z ideą ugody społecznej w kra-

---

[154] *Stan wojenny w dokumentach władz PRL (1980–1983)*, wybór, wstęp i opracowanie B. Kopka, G. Majchrzak, Dokumenty, t. 6, Warszawa 2001, s. 156–158.

[155] *Ibidem*, s. 158.

[156] P. Nitecki, *Kościół, „Solidarność” i odnowa społeczna w Polsce*…, op. cit., s. 189.

ju. W komunikacie z obrad napisano m.in: „(…) Ugoda społeczna powinna zawierać gwarancje dla uzasadnionych potrzeb i aspiracji społeczeństwa, dla współdziałania obywateli w życiu publicznym i w sprawowaniu kontroli społecznej. Stronami ugody społecznej są władza rządząca i wiarygodni przedstawiciele zorganizowanych grup społecznych. Nie może tu zabraknąć przedstawicieli zawieszonych czasowo związków zawodowych, a wśród nich mającego szeroką aprobatę społeczną NSZZ «Solidarność». Ugoda społeczna stawia wymagania wszystkim stronom. Od Rządu oczekuje się stwarzania odpowiedniego dla tej ugody klimatu, w którym mogłaby ona rozwinąć się i zaowocować. Dwoma zasadniczymi składnikami tego klimatu są: szczere otwieranie się władzy na głosy wszystkich grup społecznych w wolnej i odpowiedzialnej dyskusji i zagwarantowanie podstawowych swobód obywatelskich opartych na uznaniu godności człowieka.

Dlatego Biskupi wraz z całym społeczeństwem oczekują, że stan wojenny jak najprędzej się skończy, internowani będą zwalniani, wobec skazanych za czyny związane ze stanem wojennym będzie zastosowana amnestia; osobom ukrywającym się zapewni się możliwość bezpiecznego ujawnienia się; nikt też nie będzie zwalniany z pracy za przynależność związkową (…).

Jak stwierdziliśmy wyżej, ugoda społeczna stawia wymagania nie tylko władzy, ale i całemu społeczeństwu. Obowiązkiem społeczeństwa jest kierowanie się poczuciem realizmu w ocenie geopolitycznego położenia naszego kraju. To nie oznacza ani konformizmu, ani rezygnacji z naczelnych wartości narodowych.

Poczucie realizmu i roztropność domagają się od nas, abyśmy nie przyjmowali postawy: «Wszystko albo nic», przeciwnie: systematycznie, wytrwale i stopniowo powinniśmy dążyć do realizacji naszych celów. To wymaga od nas przemyślenia problemu pracy dla dobra wspólnego, unikania nierozważnych reakcji zbiorowych, a także roztropnego określenia swoich wymagań indywidualnych i społecznych oraz dalekosiężnego spojrzenia w przyszłość narodową (…)”[157].

---

[157] P. Raina, *Kościół w PRL*…, t. 3, op. cit., s. 279–282.

W ślad za komunikatem Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, powołana w listopadzie 1981 roku przez Prymasa Józefa Glempa, Prymasowska Rada Społeczna, w której skład wchodzili cieszący się autorytetem przeważnie ludzie świeccy z różnych środowisk katolickich, zaproszeni przez samego Prymasa lub biskupów diecezjalnych, ogłosiła 5 kwietnia 1982 r. *Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej w sprawie ugody społecznej*[158].

Dokument ten, oparty na nauce społecznej Kościoła, odegrał bardzo ważną rolę w dalszej walce o podmiotowość polskiego społeczeństwa. Określiłbym go jako program społeczeństwa obywatelskiego na czas stanu wojennego w Polsce. Z uwagi na jego wagę przytoczę go w całości.

„Decyzje z dnia 13 grudnia 1981 roku stworzyły w Polsce nową sytuację historyczną. W okresie po sierpniu 1980 roku zrodziła się w społeczeństwie polskim ogromna nadzieja: nadzieja, że państwo nasze – w ramach istniejącego ustroju politycznego oraz obowiązujących układów międzynarodowych – stanie się krajem, w którym społeczeństwo odzyska swoją podmiotowość, będzie miało realny udział w życiu publicznym, realny wpływ na funkcjonowanie państwa, będzie posiadać możność kontroli działań władzy oraz korzystać z poszerzonego po sierpniu 1980 zakresu swobód obywatelskich. Wprowadzenie stanu wojennego oraz zawieszenie podstawowych praw obywatelskich zostało odczute przez znaczną część społeczeństwa jako załamanie się tej nadziei i spowodowało rozgoryczenie i stan depresji, jak zawsze w podobnych okolicznościach historycznych społeczeństwo oczekuje od Kościoła pomocy duchowej, umocnienia moralnego oraz ratowania tradycji kulturalnych narodu.

Episkopat Polski zgromadzony na 183 Konferencji Plenarnej w Komunikacie z dnia 26 lutego 1982 roku w trosce o losy narodu wskazał na konieczność dążenia do ugody społecznej. Komunikat ten odebrany

[158] P. Raina, *Droga do „Okrągłego stołu". Zakulisowe rozmowy przygotowawcze*, Warszawa 1999, s. 11.

został w kraju z największym przejęciem. Ludzie w Polsce widzą w nim dla siebie orientację i wskazanie drogi wyjścia.

Prymasowska Rada Społeczna powołana została przez Księdza Prymasa Józefa Glempa w nawiązaniu do dawnej tradycji czasów Ks. Prymasa Hlonda. Rada jest organem opiniodawczym i służebnym wobec Prymasa Polski, któremu przedkłada wyniki swoich prac.

Rzucona przez Episkopat myśl nowej, wewnętrznej umowy społecznej, na wzór umowy społecznej zawartej w sierpniu 1980 roku, wymaga rozwinięcia i konkretyzacji. Prymasowska Rada Społeczna przedstawia w tej sprawie swoje propozycje.

1) Jeśli owa ugoda społeczna, porozumienie między władzą a społeczeństwem, miałaby stanowić wyjście z obecnego impasu politycznego, musiałaby uzyskać szeroką akceptację społeczną. Otóż osiągnięcie owej akceptacji będzie możliwe tylko wtedy, gdy społeczeństwo uzyska przekonania, gwarancje, że jego nadzieje nie zostały definitywnie przekreślone. Ta umowa społeczna mogła być zawarta między władzą, a odpowiednimi, niezależnymi reprezentantami zorganizowanych grup społecznych. W uzgodnieniach tych powinni uczestniczyć przedstawiciele realnych sił społecznych i opiniotwórczych, a więc przedstawiciele związków zawodowych, w tym zwłaszcza najliczniejszego NSZZ «Solidarność», związków zawodowych rolników indywidualnych i rzemiosła, przedstawiciele nauki i kultury, związków twórczych i młodzieży. W naszych szczególnych warunkach potrzebna byłaby też obecność Kościoła przy tych uzgodnieniach.

Przedmiotem ugody narodowej lub szczegółowych uzgodnień, które na tę ugodę będą się składać, powinny być warunki, tryb i termin reaktywowania zawieszonych związków zawodowych i innych organizacji: warunki, tryb i termin usuwania restrykcji stanu wojennego i przywracania praw obywatelskich, niektóre ważniejsze propozycje ustawodawcze oraz ogólny program reformy i odnowy życia społecznego i gospodarczego.

Znaczenie polityczne i prawne oraz forma takich uzgodnień byłyby szczególne. Byłyby to akty nietypowe i nadzwyczajne, a zależnie od potrzeb mogłyby mieć szerszy lub węższy zakres. Nie musiałyby

regulować wszystkiego. Ale trzeba też z całą mocą podkreślić, że sytuacja w kraju jest przecież nadzwyczajna i tragiczna. Wymaga środków nadzwyczajnych. Wielki i pogłębiający się rozłam między władzą a społeczeństwem, szerzenie się objawów wrogości i wręcz nienawiści w sytuacji ciężkiego kryzysu wymagają formy społecznego porozumienia, która by przekonywała ludzi i gwarantowała proces odnowy, która by była zdolna obudzić nadzieję.

Z drugiej strony, ugoda powinna umocnić pozycję władzy państwowej i umożliwić jej skuteczną walkę z kryzysem, zważywszy, że stan wojenny spowodowany został właśnie słabością i zagrożeniem struktur państwa i ustroju, jakkolwiek nie był on jedynym sposobem ich ratowania i przyniósł wiele zła.

Ugoda społeczna, żeby działała skutecznie, powinna spełniać dwa warunki:

– Powinna być zawarta przez władzę z ludźmi o społecznym autorytecie, mającymi w tym przypadku również znaczenie symbolu oraz reprezentującymi liczące się grupy społeczne;

– w ślad za nią powinny być stwarzane fakty i przedstawiane gwarancje, że droga ugody i porozumienia narodowego będzie trwałym czynnikiem normalizacji życia w kraju. Ważnym warunkiem skuteczności ugody powinna być deklaracja dotrzymania wszystkich zawartych w 1980 roku umów społecznych, bez czego negocjowanie nowej ugody byłoby zupełnie niewiarygodne. Poszanowanie dla tych umów podkreślił w swym pierwszym przemówieniu z 13 grudnia 1981 roku przewodniczący WRON, a także Sejm PRL w swej uchwale z 25 stycznia 1982 roku.

2) Podstawą ugody ma być uznanie przez władzę podmiotowości społeczeństwa, respektowanie faktu istnienia niezależnej opinii publicznej. Zrozumienie i uznanie przez władzę, że bez dialogu i uzgodnienia ze społeczeństwem spraw istotnych z kryzysu wyjść się nie da.

Z drugiej zaś strony nieuniknionym warunkiem stabilizacji wewnętrznej jest rozumienie przez społeczeństwo wymogów ustrojowych i obiektywnej sytuacji państwa oraz jej zdeterminowania przez istniejące układy międzynarodowe. Komunikat 183 Sesji Episkopatu mówi

o potrzebie realizmu w ocenie konsekwencji geopolitycznego położenia naszego kraju. Są to słowa wielkiej wagi. Rzeczywiste problemy narodu muszą być rozwiązywane w ramach układów historycznych. Żadna władza w Polsce nie miałaby nieskrępowanej dowolności w rozwiązywaniu problemów: nie ma jej też rząd obecny. Musi to społeczeństwu dyktować roztropność i umiar

3) W Komunikacie z 183 Sesji Episkopatu Polski wymienione zostały szczególnie pilne postulaty społeczne, które z pewnością stanowią istotne warunki pokoju wewnętrznego. Niezbędne jest szybko postępujące zwalnianie internowanych oraz zapewnienie swobodnego powrotu dla osób, które ukrywają się w obawie politycznych represji.

Społeczeństwo oczekuje amnestii dla osób skazanych za czyny, które nie figurują w Kodeksie Karnym, ale potraktowane zostały jako stawianie oporu po wprowadzeniu stanu wojennego.

Oczywiście sprzeczne z postulatem ugody społecznej i sprzeczne z wymogiem sprawiedliwości są naciski, represje osobiste i zwalnianie z pracy z tytułu przekonań lub za przynależność do «Solidarności». Represje takie, gdziekolwiek są stosowane, winny być przerwane i zakazane, ludzie zwolnieni z pracy z tego powodu powinni być do pracy przywróceni. Ze stanowczym sprzeciwem spotkać się muszą wszelkie naciski mające skłonić do opuszczenia kraju na stałe, zwłaszcza, jeśli są stosowane wobec osób internowanych, co może stawać się alternatywą: emigracja albo pozbawienie wolności.

Istotnymi krokami w kierunku normalizacji życia państwowego winno być przywrócenie swobodnej działalności związków twórczych i naukowych. Przywrócić także trzeba swobodę działania wszystkim Klubom Inteligencji Katolickiej, istniejącym w dniu 13 grudnia 1981 roku i zezwolić na wznowienie wszystkich organów prasy katolickiej w tym terminie istniejących.

Rozwiązanie takie, jakie zastosowano wobec Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, jest sprzeczne z postulatami ugody społecznej i pogłębia rozgoryczenie.

4) Podstawowym celem ugody społecznej winno być usuwanie barier istniejących między władzą a społeczeństwem. Jeżeli porozumienie

społeczne będzie realizowane, wypłynie sprawa struktur społecznych, które by umożliwiły zwiększony udział obywateli w decydowaniu o sprawach publicznych i kontakt władzy ze społeczeństwem.

W ramach zwiększania udziału czynnika społecznego w życiu państwowym, mogłoby być pożyteczne tworzenie organów doradczych przy Rządzie lub Sejmie, pod warunkiem że komisje takie składałyby się z ludzi delegowanych przez niezależne organizacje społeczne i mieliby oni zagwarantowane prawo swobodnego prezentowania swoich poglądów w środkach społecznego przekazu.

Potrzebne jest przeorientowanie społeczeństwa oraz zarysowanie perspektyw, ukazanie nowego typu aktywności obywatelskiej i demokratycznego kierunku przemian. Modelem takim może tylko być samorządność w szerokim i głębokim rozumieniu tego pojęcia.

Punktem wyjścia mogłyby się stać wybory do rad narodowych niższego stopnia. Winny to być wybory w pełnym sensie samorządowe, niezdeterminowane politycznie. Dlatego niesłusznie byłoby łączyć te wybory z wyborami do Sejmu lub rad wojewódzkich, gdzie element polityczny nie daje się wyeliminować.

Ludności musi być dana możliwość swobodnego wyboru swoich władz lokalnych. Dlatego musiałyby być zapewniona swoboda wysuwania kandydatów. Natomiast zasadą ugody społecznej powinno być dążenie do eliminowania gry politycznej przy tych wyborach. Te samorządowe wybory musiałyby łączyć się ze zniesieniem stanu wojennego. Ale już teraz trzeba sprawę zdecydować i rozpocząć przygotowania.

5) Zjawiskiem groźnym, zatruwającym życie narodu, jest szerzenie nienawiści. Nie ma i nie może być usprawiedliwienia dla nienawiści, nawet tam, gdzie zrodziły się zrozumiałe urazy i gniewy. Przeciwstawiać się temu powinni wszyscy chrześcijanie, a szczególnie duchowni.

Opór społeczny wobec stanu wojennego może przybierać formę aktów przemocy, które mogą przekształcić się w błędne koło terroru i represji. Akty te należy stanowczo potępić. Przeciwdziałanie im będzie skuteczne, jeśli równolegle rozwijać się będzie proces wewnętrznego odprężenia i narodowego porozumienia. Warunkiem podstawowym skutecznej walki z nienawiścią i wzajemnymi urazami jest zasadnicza

zmiana orientacji oficjalnej propagandy w środkach masowego przekazu, która zwalczając w zasadzie wszystkie przejawy i osiągnięcia szerokiego ruchu odnowy ubiegłych miesięcy, obraża społeczeństwo i jątrzy je przeciwko władzy.

6) Problemy moralne wynikające z obecnej sytuacji szczególnie dotkliwie przeżywa młodzież. Załamanie się nadziei i niedostrzeganie wyjścia z kryzysu prowadzi do buntu.

Młodzież w ogromnej większości usposobiona jest opozycyjnie, rozgoryczona i trawiona gorączką czynu. Nie zaradzi się temu środkami represji. Dlatego Episkopat Polski tak słusznie postawił problem autonomicznych stowarzyszeń młodzieży. Niezwykle pilną sprawą jest zorganizowanie niezależnych organizacji młodzieży studenckiej, zwłaszcza samopomocowych. Brak własnych organizacji jest jedną z istotnych przyczyn fermentu wśród młodzieży.

7) Jedną z najważniejszych dziedzin, które oczekują pozytywnych rozwiązań, są sprawy ruchu związkowego. W powszechnym odczuciu społecznym nie będzie warunków do realizacji ugody społecznej i skutecznej walki z kryzysem bez reaktywowania istniejących związków zawodowych, a przede wszystkim cieszącego się szerokim poparciem społecznym NSZZ «Solidarność». Wydaje się, że w chwili obecnej jednak władze nie mają wobec «Solidarności» jasnej koncepcji działania, a Komitet Rady Ministrów ds. związków zawodowych nie przedstawił w tym zakresie konstruktywnych propozycji. Opublikowany tekst Komitetu robi wrażenie uchylania się od społecznego dialogu na temat porozumienia narodowego. Podjęcie tej sprawy jest naglącą potrzebą.

W przekonaniu szerokich kręgów społecznych nie ma innej drogi ugody, jak dotrzymanie zawartych w 1980 roku umów społecznych. Pierwszym kluczowym punktem umów społecznych było tworzenie niezależnych związków zawodowych działających w ramach Konstytucji PRL. Na tej podstawie, zgodnie z 87 Konwencją MOP, powstała i została zarejestrowana «Solidarność». Już w okresie stanu wojennego przedstawiciele władz wielokrotnie zapewniali przedstawicieli Episkopatu o celowości i potrzebie działania «Solidarności» na zasadach statutowych.

8) Reaktywowanie związków zawodowych w formie autentycznej, zgodnej z wolą związkowców może być realne w warunkach, jakie wytworzyło wprowadzenie stanu wojennego jedynie przy krytycznej ocenie sytuacji, która miała miejsce przed 13 grudnia 1981 roku.

Nie ulega wątpliwości, że bez robotniczego protestu oraz porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, a także bez powstania NSZZ «Solidarność» oraz innych podobnych organizacji społecznych i zawodowych osiągnięcia ruchu odnowy nie byłyby możliwe.

Wynikiem tego było rozpoczęcie reformy gospodarczej i rozwój samorządu pracowniczego, podjęcie szerokich prac legislacyjnych (m.in. ustawa o cenzurze) i demokratyzacja wielu organizacji społecznych. W dziedzinie obrony praw pracowniczych i polityki społecznej poczyniono wielkie postępy. Mimo wszelkich trudności w kraju zapanował nowy klimat nadziei na lepsze jutro. «Solidarność» nie była czynnikiem jedynym w tych przemianach, ale na pewno była czynnikiem najważniejszym.

Odrzucając ogromną ilość nieprawdziwych lub przesadnych i krzywdzących zarzutów, które postawiono «Solidarności», trzeba jednak uznać, że w związku z szerokim wpływem, jakie wywierała na życie społeczne, również na niej spoczywa część odpowiedzialności za ciężki kryzys, który spotkał nasz kraj.

«Solidarność» podejmowała wysiłki, aby samoograniczać swoje działania, unikać wielu lokalnych konfliktów, zapewnić kontrolę nad biuletynami związkowymi podejmującymi nieraz propagandę polityczną oraz oddzielić wyraźnie Związek od działalności grup opozycyjnych. Starała się też powstrzymać olbrzymie parcie rewindykacyjne mas związkowych, zwłaszcza w zakresie żądań bytowych (płace i zaopatrzenie) i uspokoić związkowców. Były to jednak działania wyraźnie niewystarczające. Mimo, że sytuacja była bardzo trudna: nieufność wobec władzy i irytacja coraz cięższą sytuacją gospodarczą rosły, a wiele konfliktów było prowokowanych. Masowy młody ruch był bardzo trudny do kierowania. «Solidarność» powinna była jednak w sposób znacznie bardziej zdecydowany i konsekwentny bronić idei porozumienia ograniczonego programu społeczno–związkowego.

W sytuacji rozpadającej się gospodarki kryzysu osłabionej władzy (który groził podstawom ustroju) oraz oczekiwań sojuszników coraz bardziej zaniepokojonych stanem naszego kraju – tylko wzajemne zrozumienie i współpraca między społeczeństwem a władzą dawały szansę przetrwania i zabezpieczenia osiągnięć odnowy.

Tego zrozumienia i dobrej woli, a także wyobraźni i odwagi zabrakło po obu stronach. Żywiołowe i spontaniczne reakcje członków Związku na konflikty i jaskrawe przejawy niesprawiedliwości wynikające z wielu dawnych nawarstwiających się od lat krzywd, utrudniały – jak powiedział Kardynał Wyszyński – «związanie najszlachetniejszych porywów ‹Solidarności› z dobrem Rzeczpospolitej». W działalności związkowej potrzebna była i jest metoda małych kroków «tj. stopniowego osiągnięcia zamierzonych celów w duchu roztropności, cierpliwości i rozwagi».

Niełatwo będzie mówić o tych sprawach bez wzajemnych zarzutów i oskarżeń. Trzeba będzie jednak zdobyć się na maksymalną powściągliwość, a równocześnie «Solidarność» musi uczynić wysiłek krytycznego przejrzenia swojej działalności i doświadczeń. Należy sądzić, że znaczna część aktywu związkowego jest gotowa tego dokonać.

9) Związki zawodowe powinny zachować swą niezależność nie tylko od administracji i państwowego pracodawcy , jak to formułuje Komitet RM ds. związków zawodowych, ale również od organizacji politycznych.

Jan Paweł II tak o tym pisze: «Zadaniem związków zawodowych nie jest uprawianie polityki w znaczeniu, jakie się dzisiaj powszechnie temu słowu nadaje. Związki nie mają charakteru partii politycznych walczących o władzę i nie powinny podlegać decyzjom partii politycznych ani mieć ścisłych związków z nimi. W takiej bowiem sytuacji łatwo tracą łączność, z tym co jest ich właściwym zadaniem, to znaczy zabezpieczenie słusznych uprawnień ludzi pracy w ramach dobra wspólnego całego społeczeństwa, stają się natomiast narzędziem do innych celów» (*Laborem Exercens* 20). Tak pojmowaną apolityczność związków zawodowych można i trzeba pogodzić z poszanowaniem Konstytucji oraz pierwszego punktu porozumień gdańskich. Wymagać

to będzie wyraźnego ograniczenia działalności «Solidarności» z jednej, a zabezpieczenia autonomii Związku wobec władz politycznych z drugiej strony.

10) Opublikowane przez Komitet RM ds. związków zawodowych propozycji w sprawie ruchu związkowego zakładają przedyskutowanie organizacyjnej przebudowy ruchu związkowego zgodnie z «wolą klasy robotniczej i ogółu ludzi pracy» w związku z tym niezbędne jest:

– przyjęcie zasady pluralizmu, którą wyraziło dostatecznie jasno w okresie kilkunastu miesięcy powołanie przez ludzi pracy w Polsce różnych organizacji związkowych – żadna inna zasada nie zostanie przyjęta przez świat pracy,

– umożliwienie wszystkim zainteresowanym udziału w dyskusji.

Stoimy na stanowisku, że wszystkie organizacje związkowe i wszyscy ludzie pracy powinni wyrażać opinie w sprawie reaktywowania swojego związku zawodowego.

Zwracamy przy tym uwagę, że projekt ustawy o związkach zawodowych został już wszechstronnie przedyskutowany przez społeczeństwo w roku ubiegłym, zaakceptowany przez Komisję Rady Państwa, w której pracach uczestniczyli przedstawiciele związków zawodowych oraz przedłożony Sejmowi. Tak więc można stwierdzić, że zasady przyjęte w tym projekcie zostały objęte porozumieniem, które obowiązuje.

Wypowiadając te poglądy i dezyderaty zdajemy sobie sprawę, że nie są one łatwe do urzeczywistnienia. Przewidujemy, że mogą się spotkać ze sprzeciwem tych ośrodków w obozie rządzącym, które liczą tylko na siłę i odrzucają kompromis ze społeczeństwem, jak też mogą budzić opory w kręgach społecznych, które urażone głęboko zastosowaniem siły nie chcą akceptować żadnych porozumień w ramach stanu wojennego.

Mimo to głos zabieramy, powodowani poczuciem odpowiedzialności za wspólny los Polaków. Nie poprawimy tego losu narzekaniem i złorzeczeniem na przemoc. Niepodobna liczyć na zmianę sytuacji, dopóki nie zrobiliśmy wszystkiego, co od nas zależy. Z fatalizmem trzeba walczyć. Wyjście jest tylko przez mobilizację sił i zbiorowy wysiłek, pod warunkiem, że będzie on celowo i rozumnie użyty. Dlatego postulaty powinny być postawione zarówno władzom, jak również

przez każdego członka społeczeństwa samemu sobie. Postulaty nie abstrakcyjne, ale możliwe do spełnienia w naszych warunkach, na naszej ziemi"[159].

Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej zostały „autoryzowane" przez powołaną w 1982 roku w podziemiu Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność". W jej skład wchodzili: Zbigniew Bujak (region Mazowsze), Władysław Frasyniuk (region Dolny Śląsk), Władysław Hardek (rejon Małopolska) i Bogdan Lis (region Gdańsk). W wydanym oświadczeniu TKK stwierdziła: „Rozwiązanie stojących przed Polską problemów jest niemożliwe bez podjęcia rozmów między władzą a społeczeństwem. By zmusić rząd do uznania konieczności negocjacji z władzami NSZZ «Solidarność» z L. Wałęsą na czele, zdecydowani jesteśmy na wszelkie działania, na wszelkie formy nacisku. Jako płaszczyznę negocjacji gotowi jesteśmy przyjąć sformułowane przez Prymasowską Radę Społeczną warunki ugody narodowej. Jednocześnie oświadczamy, że jedynym warunkiem rozpoczęcia rozmów jest zwolnienie wszystkich internowanych i amnestia dla aresztowanych oraz skazanych. Jest to warunek, od którego nie odstąpimy"[160].

Tak więc Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej stały się podstawą programu zjednoczonego społeczeństwa obywatelskiego na trudny czas stanu wojennego. Udało się dogonić czas. Bo do tej pory, jak zauważył Aleksander Hall: „Gdyby opozycja otrzymała więcej czasu, zarysowałyby się dojrzałe propozycje programowe. Czasu jednak zabrakło. Życie wyprzedziło teorię. Ludzie z opozycji demokratycznej stanęli w czołówce masowego ruchu, bezprecedensowego w historii naszego kraju. Niemal z dnia na dzień musieli dokonać przeskoku do prowadzenia wielkiej polityki. Nie byli do tego wystarczająco przygotowani. To nie zarzut, ale stwierdzenie faktu. Pod tym względem Sierpień przychodził zbyt wcześnie"[161].

---

[159] P. Raina, *Kościół w PRL…*, t. 3, op. cit., s. 288–293.

[160] P. Raina, *Droga do „Okrągłego Stołu"…,* op. cit., s. 16–17.

[161] A. Hall, *Próba spojrzenia*, „Polityka Polska" nr 1, sierpień–październik 1982 [w:] A. Hall, *Polemiki i refleksje…,* op. cit., s. 136.

Charakterystyczne jest, że Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej, choć oparte na społecznej nauce Kościoła, sformułowali ludzie świeccy. Powstanie tego dokumentu stanowi, wręcz modelowy, przykład wkładu Kościoła w budowę społeczeństwa obywatelskiego w trudnych czasach PRL. Od tego momentu to nie opozycja polityczna, ale komunistyczne władze zaczęły być w permanentnym niedoczasie politycznym.

Zdaniem Dariusza Karłowicza: „To właśnie po 13 grudnia wspomnienie 16 miesięcy wolności zostało zinterpretowane w kategoriach religijno-wspólnotowych, nie zaś na przykład ekonomicznych, geopolitycznych czy instytucjonalnych"[162].

Po wprowadzeniu stanu wojennego, jak zauważył ks. prof. Henryk Skorowski „Kościół pozostał jedyną niezależną instytucją, w której po roku 1981 znalazły schronienie wszelkiego rodzaju grupy opozycyjne"[163].

Jednocześnie władze kościelne cały czas apelowały do władz państwowych o podjęcie dialogu ze zorganizowanymi grupami społeczeństwa, który by zapobiegł rozwiązaniom siłowym.

Godne odnotowania jest, że władze kościelne pierwsze otrząsnęły się z szoku i zaskoczenia, jakie wywołał stan wojenny i podjęły konkretne kroki zmierzające do ułatwienia, poszkodowanym przez władze, życia i działalności.

To wtedy dokonał się, wcześniej niezaplanowany, podział ról w Kościele. Niższe duchowieństwo występując w roli opiekuna i sojusznika ludzi prześladowanych, umożliwiło przetrwanie Solidarności w podziemiu przez osiem lat. A równocześnie Kościół jako rozjemca przyczynił się do bezkrwawego przejęcia władzy przez czynnik społeczny[164].

---

[162] D. Karłowicz, *„Solidarność" jako Kościół* [w:] „Kwartalnik Konserwatywny" nr 8, wiosna 2002, Kraków 2002, s. 95.

[163] Ks. H. Skorowski, *Człowiek, Kultura, Świat. Refleksje etyczno-społeczne nad współczesną rzeczywistością*, Warszawa 2002, s. 187.

[164] J. Nowak-Jeziorański, *W obronie wierzących i niewierzących*, „Rzeczpospolita" 5–6 VI 1999.

Kościół w miesiącach przed wprowadzeniem stanu wojennego zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby uchronić społeczeństwo, przed najgorszym rozwiązaniem.

Konfrontacji nie rozpoczęli ludzie związani z Solidarnością i Kościołem.

W tym czasie przejęcie władzy przez opozycję polityczną ani nie wchodziło w grę, ani nie było celem dominującej części niezależnego ruchu społecznego. Natomiast niewątpliwym sukcesem, mającym także polityczne konsekwencje, było „uobywatelnienie olbrzymiej części społeczeństwa, natomiast celu tego nie udałoby się zrealizować, gdyby sięgnięto po przemoc”[165].

W polskim ruchu społecznym przyjęto zasadę *non-violence* (bez przemocy) w działaniach społecznych i politycznych. Trudno zdecydować, skąd się ona wzięła. Elity intelektualne znały ją z historii Gandhiego, która w Polsce zyskała swego czasu wielką popularność i budziła duże uznanie[166]. Na gruncie polskim przyjęła się ona głównie dzięki nauczaniu Kościoła.

Po wprowadzeniu stanu wojennego Polska była dryfującym państwem, w którym PZPR mogła rządzić tylko w oparciu na masowej przemocy, a Solidarność jeszcze nie mogła istotnie uczestniczyć w rządzeniu. Partia komunistyczna nie była legitymizowana, a opozycja polityczna skupiona wokół Solidarności była legitymizowana przez emocje większości obywateli. Przejęcie władzy przez nią było jednak wykluczone ze względu na interesy ZSRR zaangażowane w Polsce i w Europie Wschodniej[167]. W tej nowej politycznej rzeczywistości po 13 grudnia 1981 r. opozycja polityczna częściowo zmieniła swój charakter. Zdaniem Jerzego Holzera nowe elementy w działalności opozycji to: „po pierwsze – wytwarzanie się sieci jawnych ogniw samopomocowych

---

[165] J.-M. Muller, *Strategia politycznego działania bez stosowania przemocy*, Warszawa 1984, s. 6.

[166] B. Cywiński, *Doświadczenie polskie*, Warszawa 1986, s. 25–26.

[167] W. Lamentowicz, *Legitymizacja władzy politycznej w powojennej Polsce*, „Krytyka” nr 13–14/1983, Warszawa, s. 30.

w powiązaniu z Kościołem; po drugie – nieunikniona decentralizacja; po trzecie – krystalizowanie się wielu grup wokół nielegalnych czasopism, co wiązało się ze wzrostem roli przedstawicieli środowisk intelektualnych; po czwarte – zwiększone zainteresowanie problematyką ściśle polityczną i bardziej jednoznaczne niż do grudnia 1981 roku odrzucanie zasad systemu komunistycznego". Tak więc opozycja polityczna miała wyraźniejszy związek z Kościołem, i wyraźniejsze osadzenie w środowiskach intelektualnych[168]. Zdaniem Leopolda Tyrmanda: „Polacy osiągnęli jednak swój wymarzony cel, sedno wysiłków i pragnień od 1945 roku: «zdegradowali marksizm z pozycji długo czczonej ideologii do jego obecnej, właściwej roli – środka ujarzmienia politycznego i egzystencjalnego, narzędzia tortury społecznej»"[169]. Opozycja polityczna wspólnie z Kościołem wygrała „bitwę o pamięć". Solidarność stała się spadkobiercą całości tysiącletnich dziejów Polski. Komunistom został PRL. Solidarność kontrolowała już przeszłość, wyobraźnia zbiorowa Polaków opanowana została przez jej symbole, obchody, elementy tradycji. Nie kontrolowała co prawda teraźniejszości, ale w dużym stopniu już decydowała o tym, kim są Polacy[170]. Proces ten wiązał się ściśle z formami ekspresji politycznej w Polsce, które według Jadwigi Staniszkis: „histeryczne czasem i tak drażniące obserwatorów zachodnich swoją teatralnością i rytualizacją – są właśnie wyrazem poszukiwania i obrony tożsamości. Zabiegi owe nie stanowią efektywnego instrumentu politycznego, ale są niezbędne, aby przetrwać jako społeczeństwo"[171]. Polskie społeczeństwo obroniło swoją tożsamość ściśle związaną z tradycją i działalnością Kościoła katolickiego, który przyczynił się do obalenia komunizmu. Prymas Józef Glemp stwierdził: „Kościół jako naczelne zadanie swojej pracy w Polsce, jeszcze za czasów Kardynała Prymasa

---

[168] *Wejdą nie wejdą*…, op. cit., s. 82.

[169] L. Tyrmand, *Uwagi o kwestii polskiej*, „Libertas" – kwartalnik społeczno-polityczny nr 5, Paryż 1986, s. 25.

[170] M. Meller, *Rola myślenia o historii w ruchu „Solidarności" w latach 1980–1981* [w:] *Solidarność w ruchu 1980–1981*…, op. cit., s. 255.

[171] J. Staniszkis, *Ontologia socjalizmu*…, op. cit., s. 19.

Wyszyńskiego, stawiał odzyskanie wolności. Wolność wyznań i Kościoła była na czele praw człowieka, dzięki którym torowały sobie drogę wolności w innych dziedzinach"[172].

Papież Jan Paweł II pytany o swoją rolę w obaleniu komunizmu odpowiedział: „jeśli w ogóle mówić o czyjejkolwiek decydującej roli, to należałoby ją przypisać chrześcijaństwu jako takiemu, wraz z jego przesłaniem religijnym i moralnym i z niezłomną obroną osoby ludzkiej i jej praw. Ja sam jedynie przypominałem, powtarzałem i podkreślałem zasady, których trzeba przestrzegać: przede wszystkim zasadę wolności religijnej, ale również inne swobody należne osobie ludzkiej"[173].

Kościół był i jest sprzymierzeńcem społeczeństwa obywatelskiego. Zasady, które głosi są dobrą podstawą dla budowy i funkcjonowania społeczeństwa obywatelskiego w Polsce.

---

[172] Ks. J. Mariański, *Kościół katolicki* w *społeczeństwie obywatelskim*…, op. cit., s. 38.

[173] *Ibidem*, s. 26.

DYSKUSJA

Michał Janiszewski: Przed publikacją książki Andrzej Anusza, nasz instytut jako wydawca, zwrócił się do IPN o objęcie patronatu nad tą książką. Oddaliśmy więc tę pozycję do recenzji. Historyk Biura Badań Historycznych IPN dr Olaszek w recenzji napisał dwa zdania, które bardzo nas zirytowały. W pierwszym zdaniu uznał, że nasza książka gloryfikuje Kościół katolicki. Ten, kto czytał tę książkę, wie że Andrzej Anusz unikał w niej własnej oceny. W innym miejscu recenzent stwierdził, że pomoc Kościoła w kwestii podziemia była znikoma, w zasadzie żadna. Mówię o tym dlatego, że pozycja Andrzej Anusza pokazuje obraz rzeczywisty, a ponadto IPN – instytucja, która powinna dbać o rzetelność przekazu – posługuje się tego rodzaju sformułowaniami. Mamy je na piśmie. Pan Olaszek podpisał się pod tą recenzją, konkludując, że nie poleca jej dawać do druku. Myślę, że jednym z zadań naszej konferencji i w ogóle naszej działalności jest piętnowanie tego rodzaju fałszywych stwierdzeń przez ludzi posługujących się tytułem naukowym i pracujących w tego rodzaju placówce.

Bohdan Urbankowski: Jest powiedzenie: „Żywi stojąc na grobach widzą więcej". Jesteśmy w takiej samej sytuacji. Oceniamy tamte wydarzenia, dodając do tych ocen całą naszą współczesną wiedzę. Oznacza to, że będą to oceny subiektywne, wzbogacone o późniejszą propagandę. Natomiast wątpliwe jest – i ja też nie będę się na to kusił – dotarcie do prawdy. Jak było naprawdę? Nie da się na to pytanie odpowiedzieć. Tamten czas, tamci ludzie, tamte decyzje się skończyły.

Myślę, że ważniejsze dla nas w tym momencie są wskazania na przyszłość płynące z tamtych wydarzeń. Stan wojenny wprowadzono przez pełne zaskoczenie. Elementem zaskoczenia było to, że nie było manewrów na granicach. Nie było, bo nie musiało być. Wojska radzieckie

stały w Polsce (Legnica, Bolesławiec itp.), więc ten argument okazał się bardzo słaby. W gruncie rzeczy wprowadzającym był Jaruzelski. Od samego początku był sługusem Moskwy. Nie mamy jednak pewności, czy działał na rozkaz Moskwy, czy tylko po to, żeby się Moskwie podlizać i umocnić swoją pozycję na przyszłość. Ergo, czy wprowadzenie stanu wojennego było potrzebne, bo przecież nie wprowadziła go ani Solidarność, ani Kościół. Trzeba sobie jasno zdać sprawę z tego, kto był za to odpowiedzialny i czy ci odpowiedzialni – przedstawiciele PZPR, partii komunistycznej, ateistycznej – mogli inaczej rozwiązać napięcie między nimi a robotnikami. Ponieważ wtedy robotnicy byli jeszcze na poziomie, który Marks określił jako „dochodzenie do poziomu związków zawodowych", a jeszcze bardziej trywialnie Lenin, że „będą walczyć do poziomu kiełbasy, a gdy ją dostaną, przejdzie im". Wydaje mi się, że były drogi dialogu pokojowego z Solidarnością, ale z kim tu dialogować, skoro szef Solidarności był agentem „Bolkiem"? Partia wiedziała o fikcyjności tej sytuacji. Mogła ją wykorzystać, bądź nie. Nie wykorzystała jej. Pierwszą sprawą jest wskazanie winnych i odpowiedź na pytanie, czy oni mogli postąpić inaczej. I nie my, nie Kościół, nie Solidarność i nie strona antykomunistyczna, muszą się za to kajać.

Czy groził nam rozlew krwi? Nie wiadomo. Blok sowiecki zaczynał się sypać, ostatnie próby jego utrzymania raczej miały charakter pokojowy. Wcześniej w zasadzie był tylko Budapeszt, bo Praga po roku 1968 już poszła drogą dogadywania się i zmiany przywództwa. U nas robiła to partia za przyzwoleniem Moskwy. Były dwie frakcje, które Witold Jedlicki określił jako „Chamy i Żydy". Partia stawiała raz na jednych, raz na drugich, nastawiając ich przeciwko sobie. Dokładnie to wprowadzono w Czechosłowacji.

Postawa i pertraktacje Kościoła były takie, jak przez wieleset lat. Pamiętamy złośliwości Słowackiego na temat papieża i postawy kleru w tamtym okresie. Wiemy, że Kościół dążył zawsze do uładzenia i dogadania się z władzą za wszelką cenę. Pytanie, czy to dogadywanie się miało sens? Kościół miał po prostu inną wizję świata niż ci, którzy szli na barykady. Kościół patrzył przez perspektywę tysiącleci, zbawienia i to wprowadzał za wszelką cenę także do swojej argumentacji politycznej.

Andrzej Anusz zwrócił uwagę na bardzo ważne stwierdzenie, że życie jest wartością najwyższą. Wpadamy tu jednak w pewną sprzeczność. Jeżeli wierzymy w życie wieczne, to największą wartością nie jest życie na Ziemi, lecz wieczne zbawienie. Celem jest zasłużenie na nagrodę po śmierci. Ergo to, co zrobili powstańcy irlandzcy, co obecnie robi islam, mianowicie dążenie do śmierci męczeńskiej. Nasze powstania miały taki charakter.

Pomijam rachuby Powstania Styczniowego, bo to był okres połączony z ucieczką przed branką i z góry bez szans, bo nie liczyliśmy nawet na pomoc, na którą liczyliśmy w czasie powstania w latach 1830–1831 roku. A wtedy [w czasie Powstania Listopadowego] też próbowano drogi legalnej – Mikołaj I został zdetronizowany. Inaczej mówiąc, droga legalna w przypadku, gdy ma się do czynienia z cywilizacją o wiele silniejszą, barbarzyńską, rządzącą się innymi prawami... Prawa polityczne, którymi rządziła się i nadal się rządzi Rosja, są prawami azjatyckimi, jakimi rządziły się ludy stepów. Wroga trzeba zniszczyć, wystraszyć, sterroryzować. Tak Rosjanie zostali wychowani. To jest naród tak wytresowany.

Stając do powstania, a nie mając poparcia Zachodu, wiedzieliśmy, że to powstanie przegramy. Mieliśmy raczej na uwadze wartości wyższe. Pamiętajmy, że Polska przez wiele lat była terenem zmagania się dwóch rodzajów etosu: mieszczańskiego – etosu przetrwania, dorobienia się, przeżycia za wszelką cenę i etosu rycerskiego, stawiającego wyżej śmierć na polu walki od śmierci w bólach i męczarniach. Dwie najwyższe wartości tego etosu stanowiły wiara w Boga i honor rycerski, wolność rycerska. Etos rycerski zawierając sojusz z Kościołem i umocowując swoje wartości w religii, doprowadził do tego, że ludzie chcieli walczyć. Obserwujemy, że tam, gdzie chcą walczyć – odnoszą sukcesy. W ten sposób walczyli Irlandczycy, tak broni się Ukraina.

W tej optyce stawianie życia jako wartości najważniejszej jest przekreśleniem wartości w życiu. Jest to zupełnie inny rodzaj śmierci. Jest to śmierć nihilistyczna, biologiczna, oto wszystko się kończy. Tu natomiast czy to prymas, czy inni autorzy tego listu, milczkiem zakładali, że wszystko się skończy, ergo nie ma co walczyć dalej. Niebo niby jest, niby go nie ma, ale na wszelki wypadek lepiej nie ryzykować.

Myślę, że zasługa Kościoła zaczyna się znacznie później. Zasługą Kościoła jest pomoc dla rodzin, duszpasterstwo. Sam Andrzej Anusz przypomniał, że późniejszy kardynał Wyszyński był przecież kapelanem AK, mimo różnych zwątpień i świadomości niemieckiej przewagi, jednak był po tej stronie męczenników i zabijanych.

Zarówno działania Kościoła, Watykanu, jak i dyplomacji amerykańskiej, są działaniami pozornymi, tylko i wyłącznie werbalnymi. Dlatego uważam, że zasługi Kościoła idą od momentu przesyłania paczek, chodzenia po ludziach i pomagania im.

* * *

Jerzy Wawrowski: Zastanawiam się nad zmianą tematu dyskusji. Proponuję temat: „Stan wojenny wobec Kościoła". Skoro na początku książki piszesz, że Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny, pozwolił, żeby funkcjonowała instytucja Kościoła, środowiska kościelne, doradcy kościelni – jako zapośredniczenie między nim a społeczeństwem – czy nie taka była strategia Jaruzelskiego? Jaruzelski liczył na to, że gdy Kościół zostanie oszczędzony, będzie miał możliwości działania, zamortyzuje opór społeczny i jego ostrość, niejako poprzez sam fakt swojego istnienia. Pytanie, czy nie przeliczył się w tych kalkulacjach?

Jeżeli mamy do czynienia z systemem komunistycznym, stanem wojennym, czyli silnie rozwiniętym aparatem przemocy, przymusu, inwigilacji, to pytanie – jaki był poziom kontrolowania Kościoła przez władze na różnych poziomach: zarówno duchowieństwa, jak też aktywnych środowisk katolickich, m.in. doradców? Wreszcie – jakie były formy kontroli? Powiedzmy, że mamy swoich ludzi, przez których wpływamy na tych, którzy nie są naszymi ludźmi, ale sterujemy ich myśleniem. To jest pytanie o stan wojenny wobec Kościoła.

Jaki był stan świadomości politycznej i geopolitycznej przywódców Kościoła i duchowieństwa innych szczebli? Świadomość geopolityczna oczywiście związana była z możliwością interwencji sowieckiej.

Cytując prymasa Wyszyńskiego, użyłeś określenia: „nurt opozycji trockistowskiej". Ujawnia to pewien konflikt między Kościołem a tym nurtem. Oczywiście w tym momencie historycznym była to nazwa

umowna, bo między tymi dwoma czynnikami istnieją sprzeczności ideologiczne i aksjologiczne. Czy Jaruzelski nie zdawał sobie z tego sprawy i czy nie próbował rozgrywać zarówno Kościoła, jak tego nurtu? Czy w kalkulacjach Jaruzelskiego pierwszy do kasacji nie był nurt trockistowski, tym bardziej, że to była część tego ruchu, do którego sam należał? Czy to nie była gra Jaruzelskiego, który mając poważny problem z ruchem Solidarności, z jednej strony oszczędził Kościół, podejmując z nim próby dialogu i rozmowy, a w ten sposób zamortyzował Kościół, kasując trockistów? Czy w społeczeństwie takim jak polskie Jaruzelski docelowo nie zakładał, że nie da się kontrolować i sprawować władzy dyktatorskiej bez *modus vivendi* z przywództwem duchowym? A tym przywództwem duchowym był Kościół katolicki. Czy on też nie kalkulował tego w ten sposób?

Andrzej Anusz: Na pytanie, czy Jaruzelski się nie przeliczył, odpowiadam, że przeliczył się. Dlaczego? Ponieważ przedstawicie władzy patrzyli na Kościół przez pryzmat hierarchii, czyli przez pryzmat, nazwijmy to, dwóch wysoko układających się stron. Pewne gry, próby sił – to była logika Jaruzelskiego. W tej logice Kościół też częściowo funkcjonował. Starałem się pokazać bezprecedensowe dwa pierwsze tygodnie grudnia. Nagrywanie Jaruzelskiego i przekazywanie do papieża itp., to były te wysoko układające się strony, które prowadziły dyplomację i grę polityczną. Moim zdaniem, podstawowy błąd władz komunistycznych był taki, że nie rozumiała Kościoła jako Ludu Bożego, jako księży w parafiach, proboszczów, czy nawet jako Kościoła ludowego. Tymczasem ten Kościół był dużo bardziej radykalny i przeciwko władzom komunistycznym, dlatego Polacy i cały ruch niezależny w nim znalazł swoją bazę. Bardziej odnaleźli się w przysłowiowych salkach katechetycznych niż w hierarchii gabinetowej. Jaruzelski zatrzymał się na tej drugiej. Jako wojskowy uznał, że Kościół jest jak wojsko i gdy prymas (podobnie jak marszałek) powie „tak", to będzie nacisk i tak pójdzie. A przecież zawsze w Kościele były różne nurty, zupełnie pominięte i niedocenione przez komunistów.

Jak wyglądała kontrola i agentura w Kościele? Statystyki podają, że średnio 10 procent księży było wciągniętych do tajnej współpracy

lub w inny sposób uzależnionych od władz komunistycznych. Po 1945 roku byli oni poddani szczególnej presji. Każdy ksiądz, wstępując do seminarium, miał założoną teczkę przez bezpiekę. Kościół był poddany presji wewnętrznej przez próby łamania księży, ludzi Kościoła i to już na poziomie parafii, gdzie próbowano tworzyć sieć agentury i tajnych współpracowników.

Opcja trockistowska jest odwołaniem się do sytuacji o tzw. nurcie politycznym Solidarności. Był zdrowy nurt związku zawodowego i grupa politykierów typu Jacek Kuroń, Adam Michnik, określających siebie jako lewica laicka. Taki podział był od samego początku. Były napięcia. Prymas Wyszyński był na to bardzo wyczulony i precyzyjnie rozróżniał te nurty w kierownictwie opozycji politycznej, nurty bliższe lub dalsze od nauki społecznej Kościoła.

Jerzy Wawrowski: Jeszcze jedno pytanie. Z jednej strony był związek zawodowy, z drugiej politykierzy, ale przez cały czas istnienia Solidarności ton propagandy komunistycznej próbował odciąć Solidarność od kierownictwa czy przywództwa politycznego i od polityki. Solidarność była cały czas pod presją, że miesza się w politykę itd. Jeżeli komuniści chcieli skompromitować czy odciągnąć robotników od tego czy innego działacza, obojętnie jakiej opcji, oskarżali go, że wciąga związek w politykę. Tutaj też zabrzmiało to w tonie propagandy komunistycznej.

Andrzej Anusz: Oczywiście. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Z punktu widzenia komunistycznej władzy, władzy robotniczej, powstanie związku zawodowego pod znakiem krzyża w Polsce było śmiertelnym uderzeniem w samą istotę komunistycznej władzy, która się odwoływała do dyktatury proletariatu. Dlatego komunistom łatwiej było dorobić mu gębę, że to nie jest żaden związek zawodowy, nie są to żadni robotnicy, tylko to są politycy, politykierzy z różnymi interesami. Każdy prowadził swoją grę i ustawiał swojego przeciwnika tak, jak mu było wygodniej.

* * *

Krzysztof Laga: Mieliśmy element zaskoczenia i niewiedzy prymasa Glempa wobec stanu wojennego, co miało wynikać ze szczelności przekazywanej informacji.

Warto zauważyć, że to było po operacjach „Pierścień I", „Pierścień II" jesienią, w których brało udział po 30 tys. osób.

Pozwolę sobie być tu świadkiem historii. Dnia 4 grudnia byłem uczestnikiem centralnej uroczystości Barbórki w kopalni Rozbark. Po Mszy świętej odbyło się wtedy spotkanie z prymasem Glempem. Brało w nim udział około stu osób. Po kolei te osoby podchodziły do prymasa, zdając mu relacje. Nasz przedstawiciel – śp. Ireneusz Sierański, który potem wyemigrował do Kanady, przekazywał prymasowi informacje, jakie uzyskaliśmy, o terminie wprowadzenia stanu wyjątkowego (nie znaliśmy wtedy jeszcze nazwy „stan wojenny"). Miał on zostać wprowadzony albo 13 grudnia, albo w Wigilię. Okazało się, że są to ostateczne terminy i dalej się ich nie przesunie. Na spotkanie przyjechało wówczas wielu działaczy prosto z konferencji z Radomia, m.in. Jan Rulewski. Prymas miał więc świadomość zbliżania się stanu wojennego i jego nieuchronności. Nie znana była jedynie jego skala i przebieg. Mogło się zacząć tysiącami ofiar lub wyglądać inaczej...

* * *

Mirosław Lewandowski: Z góry chcę przeprosić, bo trochę wyostrzę.

Zacznę od naszego drogiego nestora, z którym w dwóch sprawach się nie zgadzam. Nie zgadzam się, że Lech Wałęsa był agentem „Bolkiem" w okresie Karnawału Solidarności oraz po 13 grudnia. Kategorycznie wyrażam w tej kwestii moje votum separatum. O kontaktach Wałęsy z bezpieką możemy dyskutować w okresie początku lat 70-tych. Osobiście z nim o tym rozmawiałem. Wałęsa był skłonny uznać, że prowadził wówczas pewnego rodzaju grę. Nawet się ze mną zgodził, kiedy powiedziałem, że nie miał doświadczenia i prowadził tę grę nieudolnie. Nie ma natomiast żadnego dowodu ani żadnej poszlaki na to, że Lech Wałęsa był agentem „Bolkiem" we wspomnianym przeze mnie powyżej okresie. Uważam, że Wałęsa jest człowiekiem kontrowersyjnym. Jego prezydenturę oceniam bardzo krytycznie. Natomiast jego działalność od 13 grudnia

1981 roku do momentu objęcia prezydentury oceniam niesłychanie pozytywnie. Uważam go za prawdziwego męża stanu, postać wybitną. Mało kto w Polsce, stojąc na czele związku zawodowego, po 13 Grudnia tak doskonale zdałby egzamin z przywództwa, jak Lech Wałęsa.

Bohdan Urbankowski: Po pierwsze inaczej rozumiemy termin „agent". Każdy z nas jest agentem, bo jest istotą działającą. Przeciwieństwem agenta jest nieboszczyk. Mówiąc o agenturalności, miałem na myśli coś więcej niż podpisanie paru papierków. Znałem osobiście paru agentów, przyjaźniłem się z nimi (miałem pecha, bo była wśród nich piękna kobieta, ale to inna historia). W okresie współpracy natomiast następuje złamanie charakteru. Wałęsa nie jest i nie był człowiekiem inteligentnym, określiłbym go jako wiejskiego cwaniaczka. Brał udział w różnego rodzaju bójkach, od razu rozpoczął współpracę z milicją na poziomie małego miasteczka. To w nim zostało. Uważanie za męża stanu człowieka, który prowadził politykę, tak jak prowadził ją Wałęsa w Arłamowie? Chciałbym tak prowadzić politykę!

Poza tym odróżniajmy zło od dobra i katów od ofiary. Nie możemy winić górników z kopalni Wujek za ich śmierć. Nie oni siebie nawzajem zabili. Nie możemy winić Ukraińców za rzekome prowokacje – to nie oni zabijają. To Rosjanie zabijają. O tym trzeba pamiętać, bo inaczej tracimy busolę moralną.

Mirosław Lewandowski: Odniosłem się do Lecha Wałęsy z uwagi na to, żeby zaznaczyć swój sprzeciw. Wyobraźmy sobie, że ktokolwiek inny z kandydatów, stałby czele Solidarności. Jak by się zachował po 13 Grudnia? Bohdan Urbankowski ma zastrzeżenia do zachowania Wałęsy w Arłamowie. A ja uważam, że zachował się wyśmienicie. Najważniejsze było nie to, co on zrobił, ale to, czego nie zrobił. Wizytowany przez rok, młotkowany wizytami Orszulika, zmiękczany, Wałęsa nie wydał żadnego dokumentu ani oświadczenia, w którym poparłby władzę. Doceńmy to!

Jeśli dobrze zrozumiałem, Bohdan Urbankowski powiedział, że w perspektywie religijnej, chrześcijańskiej naszym celem powinna

być śmierć męczeńska, czego dowodem są nasze powstania narodowe w XIX w.

Bohdan Urbankowski: Powiedziałem, że z taką postawą, która była w czasach krucjat, kłóci się stwierdzenie, że życie jest najwyższą wartością.

Mirosław Lewandowski: Oczywiście zgadzam się w pełni z tym, że życie nie jest najwyższą wartością. Gdyby nie było spraw, dla których warto oddać życie, to życie nie miałoby sensu. Ja jednak inaczej postrzegam nasze powstania narodowe. Wizje Marii Janion, że oto jesteśmy „Chrystusem narodów", przesiąknęły do historii. Dziś wszyscy próbujemy tak na to patrzeć. Moim zdaniem, poczynając od insurekcji kościuszkowskiej przez Dąbrowskiego, Wybickiego, Prądzyńskiego (mniej ideowe przesłanie miał Wysocki), przywódców powstania krakowskiego, styczniowego, w tym Jarosława Dąbrowskiego czy Apollina Korzeniowskiego – celem ich absolutnie nie była śmierć męczeńska. Ich celem było zwycięstwo. Wykonana była tam olbrzymia praca.

Bohdan Urbankowski: Ja niczego innego nie powiedziałem, jak tylko o dwóch etykach, które u nas funkcjonują. Jedna traktuje serio tezę o dalszym ciągu życia, w którym trzeba także pięknie umrzeć, dla drugiej – liczy się konkret, to, co się ucapie, bez względu na to, co gada Kościół.

Mirosław Lewandowski: Nie ma zatem sprzeczności i co do tej kwestii jesteśmy zgodni. Chciałbym jednak to mocno podkreślić: kiedy patrzymy dzisiaj na wojnę na Ukrainie, ogromnie mnie deprymuje przekonanie, że jesteśmy gotowi bić się do ostatniego żołnierza ukraińskiego. Uważamy, że świetnie będzie, gdy jak najwięcej Ukraińców umrze – niech się biją i pokonają Moskali. To jest angielska zasada. Kibicuję Ukraińcom, ale w tym kibicowaniu widzę dwuznaczność, bo to oni giną, nie my. To ich domy płoną, nie nasze. To oni płacą daninę krwi, nie my.

Głos z sali: My już zapłaciliśmy.

Mirosław Lewandowski: Zgoda, my swoją daninę krwi już zapłaciliśmy, ale teraz, jak im kibicujemy, pamiętajmy, że ich celem nie jest to, żeby oni pięknie zginęli.

Przechodzę do referatu Andrzej Anusza, do którego mam 5 uwag. Po pierwsze Andrzej Anusz mówił, że Stany Zjednoczone nie przekazały informacji o stanie wojennym papieżowi. Od 1981 roku USA to już była ekipa Reagana. Stany Zjednoczone uważały stan wojenny za najlepsze rozwiązanie dla wszystkich, przede wszystkim dla Stanów Zjednoczonych, ale również dla Polaków. Czy mieli rację? W moim przekonaniu w dużej mierze tak, dlatego, że bardzo krytycznie oceniam politykę Związku w okresie tych szesnastu miesięcy. Jeśli w ogóle można tu mówić o jakieś polityce, bo to było pospolite ruszenie, którego nikt nie kontrolował.

Andrzej Anusz: A Wałęsę chwaliłeś.

Mirosław Lewandowski: Ja chwaliłem Wałęsę mówiąc głównie o jego postawie po 13 Grudnia, natomiast w okresie Karnawału Solidarności ani Wałęsa, ani nikt inny nie miał specjalnego wpływu…

Andrzej Anusz: Ale powiedziałeś, że nie wyobrażasz sobie, innego przewodniczącego po 1981 roku.

Mirosław Lewandowski: Tak, nie wyobrażam sobie lepszego po 13 Grudnia.

Andrzej Anusz: Ale Wałęsa był wybrany w 1981 roku.

Mirosław Lewandowski: Ale nie wyobrażam sobie, kto by lepiej zdał egzamin po 13 Grudnia. Uważam natomiast, że Solidarność prowadziła błędną politykę po 13 Grudnia i chyba nie mogła prowadzić innej, dlatego, że był to ruch niesterowalny. Błąd polegał na tym, że Solidarność

nie stawiała sprawy jasno, że naszym celem jest niepodległość i dlatego nie przygotowywała się na ewentualność wprowadzenia stanu wojennego. Kaczmarski trafnie śpiewał: „Wygra, kto się nie boi wojen". Potężny, niekontrolowany ruch Solidarności nie bardzo wiedział, do czego dąży, ale nie dążył do niepodległości. Do czego to mogło doprowadzić bez stanu wojennego? Myślę, że Amerykanie doszli do wniosku, że to może doprowadzić do potężnej katastrofy w tej części świata, w związku z czym lepiej niech Jaruzelski wprowadzi ten stan wojenny, a sytuacja rozejdzie się po kościach.

Andrzej Anusz: A jak by się nie rozeszła?

Mirosław Lewandowski: Raczej Solidarność 13 Grudnia nie miała żadnych szans na zwycięstwo, bo była nieprzygotowana. Przegrała stan wojenny nie 13 grudnia 1981 roku, tylko miesiące wcześniej nie przygotowując się do konfrontacji, nie proklamując prewencyjnie strajku generalnego przed 13 grudnia lub na wypadek wprowadzenia 13 grudnia, a przede wszystkim nie formułując realnego programu. Realnym programem, który Solidarność powinna sformułować, to program odzyskania niepodległości.

Zastanawiam się tylko, co oznacza ta zmiana postawy Stanów Zjednoczonych (inna była wobec nas w grudniu 1981 roku, a inna jest dzisiaj wobec Ukrainy)? Cały czas mam nadzieję, że Stany Zjednoczone popierając Ukrainę i dając jej broń, mają wiedzę (której my nie mamy), że Ukraina może tę wojnę wygrać. Ciągle nie mam pewności, czy przypadkiem nie jest tak, że Stany Zjednoczone popierają Ukrainę i dają jej broń, wiedząc, że Ukraina tej wojny wygrać nie może. Jeżeli Biden chciałby walczyć z Rosjanami do ostatniego żołnierza ukraińskiego, mielibyśmy do czynienia z tragedią. Chciałbym to zaznaczyć na tle sytuacji z 13 Grudnia. Zresztą sprawa wojny na Ukrainie pokazuje pewną perspektywę, w świetle której możemy oceniać stan wojenny. W tym tygodniu zginie prawdopodobnie trzydziestotysięczny żołnierz rosyjski na Ukrainie. Ukraińskich żołnierzy zginęło zapewne niewiele mniej. Do tego dochodzą zabici cywile ukraińscy. A w stanie

wojennym mówimy o stu ofiarach śmiertelnych i to w okresie od 1981 aż do 1989 roku, do czasu zamordowania ks. Zycha, ks. Suchowolca i ks. Niedzielaka.

Postawa Kościoła po 13 Grudnia. Bardzo jestem wdzięczny za przedstawienie tej kwestii przez Andrzej Anusza. W pełni ją popieram i bardzo pozytywnie oceniam prymasa Glempa i Jana Pawła II. Nie widzę niczego strasznego w tym, że przestrzegali przed rozlewem krwi, że próbowali łagodzić i temperowali nastroje. Tylko wrócę do sytuacji dzisiejszej. Przypomnijmy sobie, jak wielkie oburzenie wywołała reakcja papieża Franciszka na wojnę w Ukrainie. My, od papieża-Polaka 13 Grudnia wymagaliśmy mniej, natomiast dzisiaj od papieża Franciszka z Argentyny w stosunku do Ukrainy wymagamy dużo więcej. To pokazuje skalę nieporozumienia. Moim zdaniem krytyka Franciszka płynęła głównie ze środowisk antyklerykalnych, które nagle dostrzegły, że jest okazja dowalić Kościołowi i Franciszkowi. Przecież Franciszek w sprawie wojny w Ukrainie wypowiadał się bardzo jednoznacznie – kto jest agresorem, co należy zrobić. 24 lutego poszedł na piechotę do ambasady rosyjskiej w Rzymie wyraźnie mówiąc: „Skończcie tę wojnę". Skąd pretensje do Franciszka, że się nie angażuje w sprawie i jednoznacznie nie popiera Ukrainy, tylko dąży do tego, żeby przerwać rozlew krwi? A co robił Jan Paweł II po 13 Grudnia? Co robił prymas Glemp? Dziś oceniamy postawę Jana Pawła II w tamtym okresie pozytywnie (choć Andrzej Anusz słusznie podkreślał, sam dobrze to pamiętam, że nastroje był bardzo różne). Pierwszym sekretarzem Glempa był ostatni sekretarz Wielkiego Prymasa, czyli ks. Piasecki. Zastawił na Glempa minę, organizując spotkanie z duchowieństwem warszawskim, na którym szeregowi księża dokumentnie zmyli Glempowi głowę. Skończyło się tym, że ks. Piasecki dostał propozycję wyboru jakiejś parafii, gdzie miał spędzić resztę życia. Wybrał tę na placu Zbawiciela, gdzie doczekał emerytury, ale od tamtego momentu, od tego spotkania z warszawskim duchowieństwem, już sekretarzem prymasa nie był.

Jaka jest moja ocena polityki prymasa Glempa po 13 Grudnia? Nie mogę się przyczepić. Ja mam duże pretensje do prymasa Glempa, ale nie za jego reakcje na stan wojenny, tylko za cały okres lat 1982–1989.

Z punktu widzenia prowadzenia polityki prymas Glemp to była całkowita „surówka". Pojęcia o tym nie miał, w związku z czym prowadzenie polityki spoczęło na arcybiskupie Bronisławie Dąbrowskim. Arcybiskup Dąbrowski był wcześniej pod twardym nadzorem prymasa Wyszyńskiego. Kiedy na czele Kościoła stanął prymas Glemp, który miał blade pojęcie o polityce świeckiej, arcybiskup Dąbrowski się emancypował. Moje pretensje do Glempa są o to, że firmował politykę Bronisława Dąbrowskiego i pozwalał mu na samodzielne jej prowadzenie. Nie mam pretensji do Glempa, że pouczał opozycję (publicznie upomniał Kuronia) i wpływał na nią. Ich rolą było opierać się i Wałęsa w dużej mierze nie ulegał temu naciskowi. Mam pretensje do prymasa Glempa, że pozwalał Dąbrowskiemu na wysługiwanie się władzom komunistycznym. Tego nigdy nie robił prymas Wyszyński! Najbardziej jaskrawym przykładem jest namawianie przedstawicieli opozycji do emigracji. To był haniebny moment z przełomu lat 1983/84, kiedy Kościół plus pewni ludzie świeccy (np. Józef Rybicki z AK) zaangażowali się w to, by radykalni doradcy Solidarności, jak Kuroń, czy Michnik wraz z radykalnymi przywódcami Solidarności wyjechali za granicę. I wszyscy się zgodzili. Jeden „agent" Jurczyk nie zgodził się z powodu trudności psychologicznych – przebywał wtedy w szpitalu psychiatrycznym z powodu śmierci w najbliższej rodzinie. A drugim, który się nie zgodził był Michnik... W ten sposób wszystkim uratował tyłek. Cała reszta – a był tam Romaszewski, Gwiazda, Kuroń i kilku innych – byli gotowi wyjechać za granicę w zamian za wyjście na wolność.

Głos z sali: Głosowanie było 5:4.

Mirosław Lewandowski: Ale już było wiadomo, że Michnik się nie zgadza. Potem głównym problemem było to, co zrobić, żeby Michnik o tym nie gadał. Jest taka rozmowa Kiszczaka z Olszewskim. Olszewski oznajmił, że się nie udało, na co Kiszczak zapytał, czy nie ma ryzyka, że Michnik będzie o tym rozpowiadał. Po czym obiecał, że będziemy na niego oddziaływać i jest nadzieja, że nie powie. Można mówić

najgorsze rzeczy o Michniku i wiele z nich będą słuszne, ale tej wstydliwej dla nich sprawy (bo dla niego – chwalebnej), w której on nie zgodził się na emigrację, a cała reszta się zgodziła, nigdy nie wykorzystał. Nigdy tą sprawą nie zagrał. Uważam natomiast, że on uznał, że skoro tak się wtedy zachował (w grudniu 1983 roku napisał nawet słynny list do Kiszczaka), to potem ma prawo pić bruderszaft z Kiszczakiem. On sobie to prawo, ten „przywilej", uzurpował, pamiętając o tym, jak przyzwoicie zachował się w 1983 roku.

Bardzo pozytywnie oceniam postawę biskupa Gulbinowicza. Przed chwilą chwaliłem Franciszka, teraz go zganię, bo Franciszek przed śmiercią kardynała Gulbinowicza nałożył na niego sankcje, nie podając uzasadnienia – za co? Uważam, że o ile Franciszek robi dobrą robotę, bo sprząta pedofilskie afery, w sprawie kardynała Gulbinowicza popełnił błąd.

Tezy Rady Prymasowskiej z kwietnia 1982 roku Chciałem przypomnieć, że siedzący w więzieniu Leszek Moczulski również wysłał wtedy list do prymasa Glempa i bardzo chwalił te tezy Rady Prymasowskiej. Taktyka KPN i Moczulskiego była taka: należało przygotować się na konfrontację, a odpowiedzią na stan wojenny powinien być okupacyjny strajk generalny. Później Moczulski pisał, że dobrze się stało, że po 13 Grudnia nie improwizowano oporu, skoro związek nie był przygotowany, bo uderzenie władz trafiło w próżnię. Tam, gdzie spontanicznie społeczeństwo najwięcej się stawiało po 13 Grudnia, czyli na Śląsku, w 1982 roku prawie wszyscy byli już w Niemczech lub innych krajach Zachodu. Co się działo z podziemną Solidarnością? Akurat na Górnym Śląsku ona się rozwijała bardzo kiepsko. Tam, gdzie stawiono największy opór władzy w grudniu 1981 roku, potem była największa polityczna pustynia Solidarności. Skoro Solidarność nie przygotowała się na stan wojenny, najlepszym rozwiązaniem było w tej sytuacji zrobienie uniku i nie przyjęcie ciosu.

Znów wrócę do tematu Ukrainy. Całym sercem popieram ich walkę. Może jest coś, czego nie wiemy i być może Ukraina ma szansę wygrać tę wojnę. Ale jeżeli nie ma szansy jej wygrać, to moim zdaniem, ten opór trwa za długo i opór Mariupola trwał za długo. To jest wniosek ze

stanu wojennego, jaki dzisiaj wypływałby dla Ukraińców, gdyby chcieli nas posłuchać.

Andrzej Anusz: Na ile fakt, że Lech Wałęsa był tajnym współpracownikiem „Bolkiem" w latach 1970–1976 – wpłynęło na historię Solidarności? Był bardzo ważny fakt, który wpłynął na to, paradoksalnie, bardzo pozytywnie. 24 sierpnia 1980 roku, w trakcie fali strajków, podczas posiedzenia Biura Politycznego, towarzysz Kania, który odpowiadał za bezpiekę, powiedział do Gierka: – „Towarzyszu-Sekretarzu, my mamy wpływ na strajkujące zakłady, bo na czele strajku stoją ludzie, których historię my znamy i mamy na nich rożne kompromitujące materiały, które może się nam przydadzą". I co było? Strajk: Jurczyk – Szczecin, Wałęsa – Gdańsk i Sienkiewicz w Katowicach. Kania twierdził, że na te osoby ma wpływ. Jaki to mógł być wpływ?

26 sierpnia był przygotowywany plan rozwiązania siłowego: wejście do Stoczni Gdańskiej i siłowe rozwiązanie strajków. Władza się łudziła, że przez przeszłość Wałęsy, Jurczyka itp., wycofa się z rozwalenia strajków siłą. Dzięki temu, paradoksalnie, kilka dni później powstała Solidarność.

Wchodząc w spór, czy rola Wałęsy jako „Bolka" miała wpływ na Solidarność, zgadzam się z Bohdan Urbankowskiem, że miała wpływ. Informacja, jaką posiadał Kania, że Wałęsa był zarejestrowany jako tajny współpracownik, padła na Biurze Politycznym i była użyta w rozgrywce pod hasłem, że to może mieć wpływ. Paradoks historii pokazał, że to wpłynęło pozytywnie, przyczyniając się m.in. do tego, co prymas Wyszyński powiedział w kazaniu 26 sierpnia na Jasnej Górze, że komuniści się wycofali z rozwiązania siłowego (całe szczęście) i dzięki czemu powstała Solidarność.

Prymas Glemp, tak skrytykowany, był sekretarzem prymasa Wyszyńskiego...

Głos z sali: Ale krótko.

Andrzej Anusz: Krótko, ale intensywnie. Nie znalazł się tam przypadkiem. Nawiązując do książki Mirosława Lewandowskiego „Interrex" –

interrex może być jeden. Był nim prymas Wyszyński. Zmarł i wtedy interrexem był Jan Paweł II. Nie było już miejsca na drugiego interrexa – Glempa. I Glemp to zaakceptował. Oczywiście był prymasem Polski, przewodniczącym Konferencji Episkopatu, ale – w kategoriach politycznych – to Jan Paweł II nadawał kierunek. Prymas Glemp się w to wpisywał, choć oczywiście był pragmatykiem czarnej roboty tych różnych ustawień itp. I doskonale się wpisał w to miejsce po Wyszyńskim, a przy Janie Pawle II. Przyjął na siebie niewdzięczną rolę przy wielkich, charyzmatycznych przywódcach Kościoła.

Zbigniew Adamczyk: Ale był zarzut, że się wysługiwał.

Andrzej Anusz: Sprawa emigracji. Pojawiło się kilka książek, które opisują całą historię. Pisał o tym Lityński, jest książka o Romaszewskich. Wokół tematu zrobiło się głośno. Nie było czegoś takiego, że wszyscy zgodzili się na emigrację, z wyjątkiem jednego Michnika. Było inaczej: chcieli zrobić spotkanie. Oczywiście była pewna presja i gra polityczna ze strony Episkopatu. Była mowa o tym, że mieli wyjechać na 2 lata z prawem powrotu, kiedy sytuacja się uspokoi. Natomiast słynna rozmowa jedenastu więźniów, którzy mieli być wywiezieni, zakończyła się głosowaniem. Michnik odmówił wyjścia na to spotkanie. Pierwsza teza mówi o tym, że prawnik Michnika już wiedział, czego ma dotyczyć to spotkanie. Dlatego Michnik wiedział, że to jest spotkanie dotyczące emigracji.

Głos z sali: Wszyscy wiedzieli, tylko tamci przyszli na to spotkanie, a on – nie.

Andrzej Anusz: Część z nich twierdzi, że nie wiedziała. W każdym razie zrobiono głosowanie. Warunek był taki, że albo jadą wszyscy, albo nikt, co Michnik przez swoją postawą już zablokował. Po drugie wynik głosowania pokazał, że głosy się podzieliły i sprawa upadła. Dlatego teza, że jedyny Michnik był przeciwny emigracji, jest nie do obronienia.

Mirosław Lewandowski: Polecam lekturę „Czas przełomu. Notatki ks. Alojzego Orszulika z rozmów z władzami PRL w latach 1981–1989". Barcikowski był przekonany, że Orszulik pod sutanną miał magnetofon, bo tak szczegółowe są jego notatki z rozmów z władzami. Nie patrzcie, co pisze Lityński, KOR-owiec. Nie patrzcie, co pisze Romaszewski (bo co ma pisać, kiedy się zgodził na wyjazd?), co pisze Gwiazda (czy ma powiedzieć, że chciał wyemigrować?)...

Głos z sali: Powiedz Zofii Romaszewskiej, że Zbyszek się zgodził na ten wyjazd. Rozmawiałem z nią na ten temat, ona twierdzi coś zupełnie innego.

Mirosław Lewandowski: Nie dziwię się, bo co ma mówić? Polecam tekst Orszulika. Orszulik po kłamstwach Rainy zdenerwował się i wydał swój zbiór tekstów na temat rozmów z władzami. Jednoznacznie pisze o tych sprawach, podobnie jednoznacznie pisał Friszke. Jeżeli uważacie, że Friszke pisząc na temat KOR-u jest obiektywny, to – mogę mu to powiedzieć otwarcie, prosto w oczy – bardzo go cenię jako historyka, ale w sprawie KOR nie jest obiektywny. Tyle w temacie, skąd wziąłem informacje o tym, że wszyscy się zgodzili na wyjazd? Wyraźnie potwierdził to ks. Orszulik.

Jerzy Wawrowski: Rażą mnie niektóre twoje sformułowania. Pierwsze, że Stany Zjednoczone wiedzą lub nie wiedzą, czy Ukraina wygra. Kserkses wiedział, że wygra wojnę w Grecji, Napoleon wiedział, że wygra wojnę w Hiszpanii. W przeciwnym razie ani Kserkses, ani Napoleon nie rozpoczęliby tych wojen. Stany Zjednoczone mogą coś wiedzieć, ale to może się mieć nijak do tego, jak ta wojna się zakończy. Kiedy zaczyna się wojna, tak na prawdę nigdy nie wiadomo, kiedy i jak się skończy ani jaki będzie miała przebieg.

Drugie feralne stwierdzenie, to to, że my walczymy z Rosją ukraińskimi żołnierzami. Nie zapominajmy o tym, że Ukraina została napadnięta przez Rosję i że Ukraina bije się o swoją niepodległość. Wiadomo,

że z tego korzystają inni tak, jak całe wieki korzystano z naszego bicia się o naszą niepodległość. Jest to zbyt duże uproszczenie, że my walczymy Ukraińcami. To Ukraińcy walczą o swoją niepodległość, a my im pomagamy, jak możemy.

Głos z sali: Oni odrabiają lekcję z 1920 roku

Jerzy Wawrowski: Można powiedzieć, że Niemcy w 1920 roku przelewali naszą krew w swojej obronie. To jest taki sam absurd.

Kolejna kwestia to oczekiwanie od spontanicznego ruchu, buntu społecznego, jakim była Solidarność, że będzie zakładał polityczne cele, stosował jakąś politykę na wzór uporządkowanego, zwartego państwa czy wodzowskiej partii politycznej. To jest niemożliwe. Rewolucja francuska w 1789 roku też nie stawiała sobie za cel likwidacji monarchii, a jednak do tej likwidacji doprowadziła. Rewolucja angielska w 1648 roku, która w pierwszej fazie była spontanicznym wybuchem społecznym różnych, nieskoordynowanych sił, również nie stawiała sobie za cel likwidacji monarchii angielskiej, a jednak do niej doprowadziła. Tak samo bunt społeczny Solidarność – który wybuchł jako forma samorealizacji społeczeństwa i narodu w różnych aspektach, a która to możliwość samorealizacji była totalnie skrępowana przez system totalitarny – też nie stawiał sobie takich celów. Świetnie ujął to zespół „Perfect" w piosence pod tytułem – „Chcemy być sobą". Poprzez Solidarność naród po prostu poczuł, że chce, że musi być sobą. To są zjawiska naturalne i w tym momencie nie ma polityki. Polityka może się pojawić później, gdy w toku procesu buntu pojawią się siły rewolucyjne, które sobie stawiają różnego rodzaju cele, które w toku rewolucji rozgrywają między sobą walkę i ostatecznie któraś z nich wygrywa i narzuca temu buntowi charakter rewolucji. Tak jak to było podczas rewolucji francuskiej. Byli robespierre`yści, a później rewolucję skończył Napoleon Bonaparte. Tak samo było w rewolucji angielskiej. W pewnym momencie wyłoniła się z tego buntu przeciwko monarchii opcja independencka, opcja Cromwella, który narzucił władzę.

Mirosław Lewandowski: Powiedziałem, że może dlatego Amerykanie uważali, że 13 Grudnia jest najlepszym rozwiązaniem, bo ruch Solidarności był niesterowalny. A przywódcom Solidarności postawiłem inny zarzut.

Jerzy Wawrowski: Jakie masz dowody na taką, a nie inną kalkulacje Amerykanów? To jest czyta spekulacja. Nie ma takich dowodów. Co mieli zrobić: rozpocząć III wojnę światową?

* * *

Zbigniew Jackiewicz: Cała wiedza o tym, co zrobił Kościół po 13 grudnia może się sprowadzać do tego, żeby gloryfikować Kościół za to, co zrobił. Mamy do czynienia z przykładem znakomitego strategicznego myślenia i działania. Kościół nie dał się komunistom sprowadzić do roli przeciwnika politycznego, nie dał się zniszczyć, obronił swoją pozycję i swoją znakomitą rolę służebną wobec całego narodu. Można powiedzieć, że jeżeli wyszliśmy z lat 80. zwycięsko, to tylko dlatego, że mieliśmy taką instytucję jak Kościół i mieliśmy w tej instytucji takich strategów, którzy bardzo umiejętnie tę strategię Kościoła zrealizowali. Bardzo się dziwię, że po tylu latach ciągle pozwalamy sobie na publicystyczne i manipulacyjne podejście do sprawy, jakie stosowano w latach 80., żeby zdeprecjonować instytucję Kościoła. Cała krytyka prymasa Glempa na tym polega. Trudno było krytykować papieża, nie dało się tego zrobić w stosunku do Wyszyńskiego, to udało się w stosunku do Glempa. Niestety to się przeniosło w inne kręgi w sposób zupełnie nieuzasadniony. A to był człowiek, którego zasługą było wprowadzenie takiej strategii, że komuniści, którzy chcieli zniszczyć wszystko, co przeszkadzało im w dalszym sprawowaniu władzy, w dużej mierze potrafili zniszczyć opozycję, Solidarność, zaś Kościół – w najmniejszym stopniu. Gdy patrzę na historię od 13 Grudnia, a nawet wcześniej, to uważam, że jest za co gloryfikować Kościół, ponieważ zrealizował znakomitą strategię i była to strategia skutecznej walki z komuną.

Jeśli chodzi o relację Solidarności z komunistami – komuniści w 1981 roku musieli się przeorganizować, ponieważ zawaliła im się dyktatura proletariatu. I to na dwa sposoby. Po pierwsze – powstała masowa organizacja robotnicza Solidarność. Po drugie – dokonana została całkowita destrukcja PZPR. Mało się o tym mówi. Ta kompletna destrukcja doprowadziła do tego, że w 1981 roku komuniści z dyktatury proletariatu stali się dyktaturą służb specjalnych, wojska, milicji – całego aparatu dyktatury przemocy.

Głosy z sali: Zawsze tak było.

Zbigniew Jackiewicz: Nie, z tym bym polemizował. Nie zawsze tak było. W pewnym momencie struktura masowej partii politycznej dawała siłę dyktatu politycznego. Natomiast po 1980 roku komuniści stracili…

Głos z sali: ...listek figowy.

Zbigniew Jackiewicz: ...Stracili potencjał ideologiczny, administracyjny, organizacyjny. Jeśli chcieli utrzymać się przy władzy, musieli zrealizować stan wojenny. Bo czym był stan wojenny? Właśnie początkiem dyktatury aparatu przemocy.

Głos z sali: I jej ujawnieniem, przede wszystkim.

Zbigniew Jackiewicz: Dalej, z perspektywy czasu na 1981 roku, nie mówmy, że stan wojenny był zaskoczeniem. Znam historię Solidarności. Cały czas jeszcze się jej uczę i proszę wszystkich, żeby robili to samo, bo wiele poglądów nt. Solidarności opartych jest na niewiedzy. W Solidarności wiedziano, że stan wojenny będzie. Niektórzy nawet relacjonowali w swoich środowiskach, że znano jego datę. Wiemy, że ta wiedza mogła być pozyskana z rożnych źródeł, ale ona była oczywista dla tych, którzy analizowali życie społeczne od 1980 roku. Dla tych

ludzi ewolucja sytuacji w Polsce była rzeczą zupełnie oczywistą. Inną rzeczą jest zbudowanie strategii oporu, obrony, reakcji na to, co robią komuniści. Tutaj Solidarność była organizacją, która nie wypracowała efektywnej strategii.

W tym sensie Kościół zachował się w sposób strategicznie dużo bardziej skutecznie niż Solidarność. Dlatego uważam, że w tej naszej dyskusji związanej z tym, co się działo po 13. grudnia 1981 roku powinniśmy dostrzec rzeczy najważniejsze, które polegały na tym, że wszyscy byśmy się podporządkowali strategii komunistów, gdybyśmy dali sprowadzić się do tej roli, by podjąć prostą konfrontację walki zbrojnej czy siłowej. Jeśli ktoś ma wątpliwości, czy komuniści wymordowaliby 10 razy więcej ludzi, to je rozwieję. Oczywiście, że by wymordowali. Mieli siły, środki i przekonanie. Każdy, kto mówi, że strajkiem generalnym można było prowadzić konfrontacyjną walkę z aparatem przemocy państwa komunistycznego, jest śmiesznym marzycielem i opowiada bzdury. Opowiada rzecz, która byłaby bardzo zgubną strategią. Na tym tle to, co zrobił Kościół, uważam za rzecz wartą gloryfikacji.

Czesław Jakubowicz: Chciałem podziękować Mirkowi [Lewandowskiemy], bo jego przemówienie było wielowątkowe i wszystko było ciekawe.

Zgadzam się ze Zbyszkiem [Jackiewiczem] na temat roli Kościoła dziś, po 40. latach, mimo że wówczas miałem pretensje do prymasa Glempa, że nie jest partyzancki, wojowniczy. Chwilami miałem nawet o to żal do samego Ojca Świętego. Dziś, z perspektywy tego, co się zdarzyło w Polsce i tego, co mówił nasz mistrz Bohdan [Urbankowski] oraz tego, co mówił człowiek idei i czynu Piłsudski, możemy powiedzieć, że idea wygrała.

Mnie interesuje przede wszystkim wątek wrocławski, kardynał Gulbinowicz i Frasyniuk.

Każdy wie, że jestem z Białegostoku i kardynał Gulbinowicz w moim osobistym życiu nie był tak ważny, ale mam kolegów, którzy spędzili przy kardynale młode lata (byli ministrantami itp.). Dziś przeżywają

to, co się zdarzyło. Ja też twierdzę, że to był czysty zamach na polski Kościół. Mimo, że stał za tym dzisiejszy papież, którego nazywam „Bergoglio-dzień-dobry". Dla mnie ostatnim Ojcem Świętym jest namaszczony przez naszego papieża Benedykt XVI.

Interesuje mnie też wątek Frasyniuka z tamtego czasu. Kardynał był świadkiem podziału tych pieniędzy, a za Frasyniukiem idzie jakaś dziwna powiastka, że otrzymał ogromne pieniądze i dzisiaj jego tiry jeżdżą po całej Europie. Czy to jest prawda, czy nie? Czasami próbowałem wejść w to, jak to przeżywał kard. Gulbinowicz, któremu odebrano wszystko przed samą jego śmiercią. A przecież wykonał ogromną pracę w Kościele w tamtym czasie oraz w życiu społecznym w Polsce. Frasyniuk chyba wcale się do tego nie odniósł, wręcz przeciwnie: dziwnie zaczął walczyć z (bardzo nam bliskim) porządkiem wprowadzonym w Polsce po 2015 roku.

Dlaczego nie udała się rewolucja na Białorusi? Kiedy jeszcze wszystko rozgrywało się na Białorusi, ja powiedziałem, że Białoruś przegra, bo nie ma Kościoła. To, co miała Polska. Nawet nie warto porównywać naszego Kościoła katolickiego z Kościołem prawosławnym, którego zwierzchnikiem jest generał Putina.

Jest takie humorystyczne opowiadanie, że obaj przywódcy patrzą w niebo. Putin pyta patriarchy cerkwi: „A jeżeli On tam jest?", na co patriarcha odpowiada: „Nie daj Boże!". To jest właśnie cała prawda.

Białoruś przegrała, bo nie miała siły duchowej i oparcia. To była czysta rewolucja, która została spałowana.

Na koniec dziękuję Andrzejowi, że ten temat ciągnie. To jest ogromna rola naszego Kościoła. Tak jak wspomniał Bohdan [Urbankowski], Kościół musiał nas ratować. Taka jest tożsamość Kościoła: prowadzić nas do zbawienia i taka jest rola człowieka na tej ziemi, jak powiedział zawsze aktualny marszałek: „są ważniejsze sprawy niż śmierć".

Zacytuję tekst Antoniego Anusza, w której znajduje się wątek bardzo pasujący do sytuacji na Ukrainie: „A gdy wdarli się na polską ziemię, w wojnie zaborczej, jaką bolszewicy wydali Polsce, wtargnęli chwilowo na ziemię polską, mając ogromną liczebną przewagę. Wtargnęli jako drapieżni złodzieje, jako horda bandytów i katów. Posłuchajmy,

jak zachowywali się w Brodach, w Małopolsce oraz w Białymstoku i w Mińsku. Oto świadectwa wiarygodne...".

Andrzej Anusz: Odnośnie kardynała Gulbinowicza. Pamiętajmy, że była pewna zbieżność sytuacji. W pewnym momencie pojawiły się książki wydane przez IPN, publikujące rozmowy biskupa Gulbinowicza z władzami. Zachowały się protokoły z tych rozmów itp. Oni twierdzą, że początkowo były to artykuły prasowe i w zasadzie była teza, że Gulbinowicz był tajnym współpracownikiem służb. Później specjalista i pracownik naukowy Biura Badań Historycznych IPN Rafał Łatka zaczął się z tego wycofywać, twierdząc, że nie był współpracownikiem, tylko te rozmowy poszły za daleko.

Wiemy, że Kościół prowadził bardzo różne, nierzadko niekonwencjonalne rozmowy, z których przekazywał nagrania. Gulbinowicz pochodzi z Wilna i tam ukończył seminarium. Po 1945 roku uciekł stamtąd, całe seminarium przeniosło się do Białegostoku. Był szczególnie uwrażliwiony na sprawy Kościoła i Polaków na Wschodzie (tych, którzy tam zostali). Przez kilkadziesiąt lat – o czym nikt nie pisał – prowadził sprawy polskiego Kościoła podziemnego na Wschodzie. Tę misję powierzył mu sam prymas Wyszyński. Wchodził i prowadził różne gry, bo dużo robił dla Kościoła i Polaków na Wschodzie i to do końca życia, później jeszcze z Wrocławia.

Czy go broniono, gdy skumulowały się na nim ataki? Z jednej strony obciążenia płynęły z zaszłości historycznych, z drugiej strony wplątała się kwestia obyczajowa. Oskarżył go człowiek, który później okazał się zupełnie niewiarygodny, wielokrotnie karany i więziony. Po 2015 roku prof. Suleja z IPN (mocno zaangażowany w opozycję) napisał list, pod którym praktycznie wszystkie opcje dawnej opozycji podpisały się w obronie Gulbinowicza. Po czym sprawa kompletnie zniknęła i po cichu pewne rzeczy zostały wycofane, zwłaszcza te obyczajowe. Dlatego zarzuty nie są oczywiste i jednoznaczne.

Myślę, że Gulbinowicz jeszcze będzie opisywany (w sensie opisu historycznego), bo z jednej strony po 1989 roku było kilka publikacji, które – jak twierdzi Rafał Łatka – jednoznacznie go gloryfikowały.

Łatka próbował natomiast na podstawie stenogramów pokazać drugą stronę, prawie chciał zrobić z Gulbinowicza agenta. Oczekuję na wyprostowanie tej biografii i znalezienie pewnej równowagi. Trzeba opisać kontekst działalności kardynała – pomocy Polakom i Kościołowi na Wschodzie – o którym za mało się mówiło. Sam Gulbinowicz mało o tym mówił z przyczyn oczywistych. Za komuny nie mówiło się o tym wcale, Gulbinowicz się tym nie chwalił, później był schorowanym, starszym człowiekiem i sam się nie bronił, inni też za bardzo go nie bronili, a ci niektórzy, którzy nawet chcieli go bronić, po prostu o tym o tym nie wiedzieli.

Głos z sali: Zaś atakowali ci, którzy go w ogóle nie znali.

Piotr Wójcik: Z całą moją życzliwością do Mirka [Lewandowskiego], moje uwagi będą mocno polemiczne. Myślę, że polemika między Bohdanem [Urbankowskim] a Mirkiem [Lewandowskim] zasadza się na niezrozumieniu. Bohdanowi chodziło o sojusz Kościoła z etyką rycerską i nie było mowy o filozofii spod znaku Marii Janion, że jako „Chrystus narodów" rzucaliśmy się w powstania z góry skazane na klęskę. Ale to zostało wyjaśnione.

Wałęsa „Bolek". Wałęsa skierował list do posłów pierwszej kadencji, w którym przyznał się wprost do tego, że był agentem służby bezpieczeństwa. Kilka osób na tej sali było adresatami tego listu.

Głos z sali: Przyznał się do tego, że podpisał.

Piotr Wójcik: Tak, że podpisał współpracę. I teraz, „po owocach poznacie" (Mt 7, 20). Dla mnie koronnym dowodem jest sprawa traktatu rosyjskiego, układu o wycofaniu wojsk i protokołu dodatkowego w pkt 6, 12 tego układu. Jaka była rola Lecha Wałęsy w tej sprawie? To jest klamra, która zamyka wątek „Bolka", nie pozostawiając żadnych złudzeń. Lech Wałęsa nie był po stronie dobra w tej sprawie. On był gotów podpisać układ w takiej wersji, w jakiej przedstawili go Rosjanie. Obowiązywała doktryna rosyjska o krajach bliskiej zagranicy

i Rosjanie stawiali podpisanie układu polsko-rosyjskiego, układu o wycofaniu wojsk i tegoż protokołu jako całość. Z jakiś przyczyn Lech Wałęsa i jego otoczenie w sposób obrzydliwy rozgrywało tę kwestię przeciwko Janowi Olszewskiemu w sytuacji, gdy podczas nieobecności ministra spraw zagranicznych i większości wiceministrów, jeden z wiceministrów, zapewne na polecenie kancelarii prezydenta, parafował ten układ polsko-rosyjski o wycofaniu wojsk i tenże protokół. W języku dyplomatycznym oznacza to zgodę na tekst. Późniejsza historia walki o odkręcenie tego jest historią walki o to, żebyśmy nie byli dzisiaj w sytuacji Ukrainy. Rozumiem, że inny Wałęsą był ten, który w latach 70-tych podpisał współpracę, inny jest w innych okresach swojego życia, ale pointą jego życiowej drogi politycznej jest jego prezydentura. Niestety tu rachunek jest dramatyczny. To, że formalnie Wałęsa zawiesił współpracę, nie wykonywał jej przez jakiś czas, jest prawdą. Tylko że, gdy ma się nogi w betonie, to już się z tego człowiek nie uwalnia i są tego skutki. Mało brakowało, żeby były to dla nas skutki opłakane.

Pojawiła się kwestia roli Kościoła i Solidarności w stosunku do opowiedzenia się wprost za niepodległością. Dla mnie to jest wątek wzięty z księżyca. Definicja Solidarności to jest *non violence* powstanie narodowe. A potem jest jeszcze odezwa do narodów Europy Środkowo-Wschodniej, która wyprzedza o lata świetlne tzw. postulat o odzyskaniu niepodległości. W związku z tym opowiadanie, że Solidarność była jakimś zagubionym ruchem, który nie wiedział, czego chce i co ma ze sobą zrobić, jest kompletnie oderwane od rzeczywistości. Myślę tu o roli Kościoła. Mądrość etapu, jak ja to nazywam, w której Solidarność nie zdefiniowała się jako partia polityczna, polegała na tym, że Kościół tonował pewne nastroje. Ta kalkulacja *de facto* zminimalizowała ofiary śmiertelne stanu wojennego. Jest to ogromna zasługa ruchu Solidarności w swojej masie (nie tylko indywidualnego przywództwa), a także Kościoła.

Głęboko nie zgadzam się z tym, co powiedział Mirek [Lewandowski] na temat wojny ukraińskiej, bo gdyby przeszła wersja Wałęsy układu polsko-rosyjskiego, to dziś bylibyśmy w sytuacji Ukraińców. To, że Kościół i Solidarność potrafiły zminimalizować ofiary nieuchronnego

ataku, kontrataku komuny, świadczy o ich dojrzałości, a nie zagubieniu. Dziś, po raz pierwszy w historii jesteśmy *de facto* stroną konfliktu, jesteśmy częścią tej wojny, a nie prowadzimy jej bezpośrednio i nasi żołnierze nie muszą ginąć. To jest chyba pierwsza taka sytuacja w historii. Uważam, że nie można niczego zarzucić naszemu stosunkowi do Ukraińców i do państwa ukraińskiego. On jest optymalny. Opowiadanie, że nie jesteśmy stroną tej wojny jest amoralne i to, że Ukraińcy za nas giną, jest kompletną bzdurą np. w kontekście tego, że państwo polskie wysyła 1/4 swoich sił pancernych po to, żeby Ukraińcy mogli się bronić. Trzeba zachować jakieś proporcje w argumentacji.

Ostatni wątek to sprawa papieża Franciszka i porównania go z kardynałem Wojtyłą. Bardzo Cię, Mirku przepraszam za to, co teraz powiem, może to zabrzmi za ostro, ale nie rozumiem, jak w ogóle można myśleć o porównywaniu obu postaci. To tak, jakbyśmy ojca Scholastyka z podrzędnego kościoła na Madagaskarze porównywali z Ojcami Kościoła. To znaczy Wojtyła i Benedetto po jednej stronie – Ojcowie Kościoła i teolog wyzwolenia z wszczepioną nienawiścią do Ameryki, który zasłania się Wojtyłą i mówi, że po nim sprząta, po drugiej. To jest horrendum. To jest niestety tragiczne papiestwo demolujące Kościół i prowadzące do wzmocnienia trendu dechrystianizacyjnego w Europie. Jest to absolutna, głęboka porażka zwłaszcza filozoficzna tego papieża. Jest niedouczonym klechą.

Rozmówca nr 3: Przypomnijmy sobie wywiad z kardynałem Glempem, który powiedział, że ma pewne grzechy na sumieniu, pośród których jednego nie może sobie wybaczyć: sprawy księdza Popiełuszki. Nie lubię gdybania, ale nie lubię też oceniania grudnia 1981 roku z perspektywy roku 2022.

Po pierwsze – co by to dało, gdyby nawet Amerykanie zadzwonili do papieża i poinformowali go, że za 3 dni, tydzień, miesiąc będzie stan wojenny? Przecież takie głosy dochodziły już wcześniej z Polski. Wszyscy byli przygotowani, tylko nie wiedzieli, kiedy to nastąpi, ani jak się to stanie. Czy będzie to stan wyjątkowy, wojenny, czy jeszcze inaczej – nikt nie wiedział. Wszyscy jednak byli świadomi tego, że coś

się wydarzy. Relacja sił była taka, że wyszło wojsko na robotników, inteligentów, studentów. Co w takim układzie miał zrobić prymas Glemp? Wyobraźmy sobie Glempa, który wzywa do obrony. Takich Popiełuszków, Niedzielaków, Suchowolców byłoby setki – mówię tylko o kapłanach – oraz dziesiątki tysięcy młodzieży. My byśmy chętnie ze sztandarem moralności wręczonym przez Glempa tudzież przez biskupów diecezjalnych poszli na barykady i ginęli pod gąsienicami. I po raz kolejny spełnilibyśmy swój wielki, patriotyczny obowiązek. Wyobraźmy sobie po takiej sytuacji dzisiejszą dyskusję. O czym byśmy rozmawiali?

Głosy z sali: Czy miałby w ogóle kto rozmawiać?

Rozmówca nr 3: Miałem wówczas 11 lat, może bym coś zorganizował. Mądrością było to – o czym mówiliśmy wcześniej, nie wiem, czemu Mirek [Lewandowski] tego nie pociągnął – że najpierw był debel, czyli bardzo dobra relacja między Wyszyńskim a Wojtyłą. Fantastyczna gra na boisku. Potem Wojtyła grał w singlu. I nikomu z Kościoła polskiego nawet się nie śniło, żeby aspirować do roli jego partnera – deblisty. To była gwiazda, dokonał fantastycznych rzeczy, ale jako singiel. Nie przypominam sobie takiego autorytetu moralnego ani w Solidarności, ani w opozycji w latach 1981 – 1988. Kiedy Jan Paweł II przyjeżdżał w pielgrzymkach do Polski, to była siła, która napędzała nadzieję i podnosiła ducha. Ilu było ludzi w opozycji w latach 1985, 1986, 1987? Jak wyglądały spotkania Komisji Krajowej, struktur podziemnych? Wszystko się zwijało. Strajki w 1988 roku zorganizowało nowe pokolenie, bo ci, którzy byli zaangażowani w grudniu 1981 roku na Śląsku – wyjechali i bidowali na Zachodzie – w Niemczech, Francji, Szwecji. Nie było ich.

Żeby dojrzeć do niepodległości i żeby naród trwał, trzeba było go poprowadzić pewną drogą. Pasterzowanie Prymasa Tysiąclecia polegało na stworzeniu pewnej ścieżki edukacyjnej dla zdeptanych, rozebranych, znajdujących się pod moskiewskim butem Polaków. Milenium chrztu Polski, peregrynacja obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej,

potem samych ram, następnie znów obrazu, budowało. Jedyną przestrzenią wolności była religia. Na początku komuniści chcieli się z nią konfrontować, potem próbowali odbić seminarzystów, księży, biskupów. Nie miało to jednak wpływu na to, co działo się „na dole" dzięki lekcji, którą przygotował Prymas Tysiąclecia.

Wałęsa to był wiejski filozof z przebłyskami. Potrafił pociągnąć jako pijarowski zwierz, niezbyt inteligentny. Wpięcie wizerunku Matki Boskiej w klapę marynarki było przejawem cwaniactwa i doklejenia się. Michnik napisał książkę: „Kościół, lewica, dialog", którą podobno Prymas Tysiąclecia skomentował słowami: „Gówno przyczepiło się od okrętu, mówiąc: – »Płyniemy«". Tak samo Wałęsa wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej kupił Polaków poprzez kod kulturowy, który przez lata budował kardynał Wyszyński przez peregrynację, Milenium, Śluby Jasnogórskie itd.

Oprócz układu polsko-rosyjskiego stało się jeszcze coś gorszego: został podważony fundament chrześcijaństwa budowany przez setki lat, który stanowi o istnieniu państwa polskiego i narodu bez względu na to, czy ktoś wierzy, czy nie. Na tym polega wiejskie cwaniactwo Wałęsy, że gdy powiał „lawendowy wiatr", nie przykleiłby sobie wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli. Dlatego zwróciłem uwagę na to, że Wałęsa nie powiedział, że był agentem, tylko powiedział, że coś podpisał. Dwie rzeczy, które kompromitują Wałęsę, to zgoda na dyktat Rosjan i podważenie fundamentu jestestwa narodu polskiego.

Michał Janiszewski: Pragnę zaznaczyć, że gdyby nie Kościół i księża – którzy stanowili część opozycji – nie byłoby opozycji w Polsce. Dzięki spotkaniom opozycji w Kościele budowały się całe struktury organizacyjne. Bez Kościoła nie byłoby opozycji albo byłaby marginalna tak jak przed rokiem 1980.

Krzysztof Mętrak: W mojej Dąbrowie Górniczej w stanie wojennym było 20 tysięcy strajkujących, spałowanych ile się dało, 2 tysiące wyrzuconych z pracy, ponad 200 internowanych etc. W styczniu 1982

roku władza mianowała prezydentem miasta bezpartyjnego fachowca, który był członkiem Solidarności. W latach 1977-1980 oddano 3 wielkie osiedla wybudowane z wielkiej płyty dla pracowników Huty Katowice, które zostały zasiedlone przez pracowników huty i ich rodziny. Na trzech osiedlach wydano zgodę na budowę trzech kościołów. W ten sposób spacyfikowano nas jako struktury. Nie mogliśmy się rozwinąć jako podziemie, bo nie było z kim gadać. Dopiero w maju-czerwcu, a właściwie latem 1982 roku w jednym XVII-wiecznym kościele proboszcz łaskawie zgodził się, żeby powstały tam zalążki duszpasterstwa i to się tam potem rozwinęło i dość prężnie działało aż do 1989 roku. Władza potrafiła zatem również działać elastycznie.

Pragnę sprostować, że Jarosław Sienkiewicz nigdy nie był tajnym współpracownikiem, nigdy niczego nie podpisał.

Andrzej Anusz: Nie powiedziałem, że był tajnym współpracownikiem, tylko że mieli wpływ na niego.

Krzysztof Mętrak: Mieli na niego wpływ, ale nie w 1980 roku, tylko w 1981 roku, kiedy próbowano go uwikłać. Był rozgrywany przez I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR Andrzeja Żabińskiego, bardzo sprytnego i operatywnego człowieka. Tak uwikłał Sienkiewicza, że jego następca w Komisji – Tadek Jedynak – uznał, że Sienkiewicz jest agentem. Na wniosek Tadka Jedynaka Sienkiewicz został wyautowany. Gdy został odstawiony na boczne tory, zaczął chlać i bezpieka już go miała. Służba Bezpieczeństwa robiła mu zdjęcia itp. Tymczasem do tej pory w śląskim IPN nie ma żadnego dowodu, że Sienkiewicz był agentem.

Mam wrażenie, że wciąż o Śląsku krążą mity. Były dwie duże akcje zorganizowane przez policję i służby specjalne na Śląsku: „Manifest lipcowy" oraz 14 i 16 – „Wujek". Akcja kompletnie nieprzygotowana. 13 grudnia 1981 roku była próba aresztowania Janka Ludwiczaka, przewodniczącego Solidarności z kopalni „Wujek". Zaowocowała ona niekontrolowaną sytuacją, która kompletnie wymknęła się z rąk bezpiece. Potem Wilczyński jako zastępca komendanta wojewódzkiego

podjął decyzję o siłowym rozwiązaniu problemu. Klepnął to Gruba, a na sam koniec Kiszczak, który do końca życia twierdził, że nic takiego nie zrobił, że to sam Grupa podjął suwerenną decyzję, co oczywiście nie było prawdą. Gruba zrobił to na polecenie Kiszczaka i dlatego doszło do masakry.

Nie jest prawdą, że kilkaset ludzi e śląskiejz Solidarności wyjechało w stanie wojennym na Zachód. Bardzo wiele osób natomiast wyjechało na niemieckie papiery, ale to nie jest polityczna emigracja. Emigracja polityczna objęła kilkaset osób, co prawda bardzo liczących się działaczy Solidarności, którzy jednakże byli i tak spaleni w konspirze. To nie miało już znaczenia, czy by zostali w Polsce, czy nie.

Pragnę przypomnieć, że Solidarność podziemna w latach 1983-1984 liczyła kilkaset zakładów pracy. Myślę, że w pewnym momencie 30-40 procent struktur w Polsce to były zakłady śląskie, bo i w Zagłębiu, i na Śląsku, i na Podbeskidziu to się wszystko bardzo dobrze kroiło. Oczywiście były zakręty w latach 1984-1986, kiedy się to wykruszyło. Niestety opuszczenie Polski przez Andrzeja Rozpłochowskiego doprowadziło do tego, że weszła grupa działaczy, którzy nie mieli o niczym pojęcia. Nas jako członków Konfederacji Polski Niepodległej wyautowano, twierdząc, że jesteśmy zbyt dużymi radykałami, a trzeba iść naprzeciw wyciągniętej ręki władzy. Krzaklewski został przewodniczącym RKW i reszta jest już dobrze wszystkim znana.

Rozmówca nr 4: Ja chce tylko przypomnieć Mirkowi [Lewandowskiemu], że kiedy Wałęsa przyjechał na śląskie strajki, miał już przygotowane taczki.

Krzysztof Mętrak: Ale to było w 1988 roku!

Rozmówca nr 4: Nieważne, kiedy. Mówię o jego zachowaniu i działalności.

Bohdan Urbankowski powiedział, że najwyższą wartością jest życie człowieka. Nie prawda. Takie stwierdzenia słyszy się wszem i wobec, nawet w Kościele. Chciałbym to naświetlić z drugiej strony.

Przepraszam, jeżeli wróg zapuka do naszych granic, to znaczy, że mamy mu wszystko oddać? Była pani premier mówiła, że jak wejdzie wróg, trzeba się zaryglować w mieszkaniach. Bohdan już to wyjaśnił, ale należy bardzo uważać na to, co się mówi. Życie nie jest najwyższą wartością człowieka.

Wracając na nasze konfederackie podwórko, byliśmy oczywiście w różnych sytuacjach, ale nikt z nas nie pomyślał, że największą wartością jest życie człowieka. Nigdy. Dziękuję Bohdanowi za to, że ten temat poruszył.

Wojciech Frazik: Mirek [Lewandowski] zszokował nas poglądami, jednak nie spodziewałem się, że zostanie rzecznikiem Wojciecha Jaruzelskiego. Próbował nam bowiem sprzedać to, co mówił Jaruzelski jako pogląd Amerykanów: że Solidarność była taką anarchią, która doprowadziła do takiego systemu, że jedynym najlepszym rozwiązaniem był stan wojenny. Dopiero wówczas wszyscy odetchnęli z ulgą. Tymczasem było trochę inaczej. Amerykanie uznali, że lepiej, żeby został wprowadzony stan wojenny przez Ludowe Wojsko Polskie i Jaruzelskiego, niż żeby weszli Sowieci. A nie dlatego, że Amerykanie uważali, że Solidarność prowadzi do anarchii i nie wiadomo, co z tego wyjdzie i najlepiej, żeby był stan wojenny.

Warto także podkreślić, że Kościół nigdy nie był jednorodną strukturą. Niezależnie od jego hierarchicznej budowy, struktury, nawet w zakonach nie ma tak, że istnieje jeden pogląd. Mimo, że jest jedna reguła i obowiązuje zasada posłuszeństwa, doskonale wiemy z dokumentów, że różni ludzie rożnie się zachowują w ramach tej jednej struktury. To, co było wspólne dla Kościoła zaraz po 13 Grudnia, to przekonanie, że nie można doprowadzić do przelewu krwi. Dotyczyło to również szeregowych księży w parafiach. Oni tonowali jak tylko mogli, już 13 Grudnia. Ale natychmiast przekładało się to na pracę pozytywistyczną, czyli ratunek i pomoc dla potrzebujących oraz stworzenie przestrzeni dla podziemia. Kościół odegrał olbrzymią rolę także przed Sierpniem, przed stanem wojennym, w tworzeniu tej przestrzeni i elity społecznej, wokół których gromadzili się inni. Tak powstał ruch

oazowy. Pamiętam to z lat 70-tych. Ci wszyscy ludzie z duszpasterstw potem znaleźli się w Solidarności, tworząc duszpasterstwa środowiskowe lat 80. To był olbrzymi fenomen świadomej pracy Kościoła.

Michał Janiszewski: Musimy patrzeć na to jako na pewien proces. Jest 31 sierpnia 1980 roku. Rodzi się ruch, w którym robol staje się obywatelem. Buduje swoją wolność i swoje postrzeganie świata. Wraz z rozwojem tego ruchu rośnie świadomość narodowa. Dochodzimy do 13 grudnia 1981 roku i – jak mówi Piotrek Wójcik – majtki spadły. Realizm z ludzką twarzą, finlandyzacja – wtedy sprawa stała się jasna. Jeśli nie złamiemy komuny, nie odzyskamy kraju, będziemy nadal w niewoli. Tu jest ogromna rola Kościoła. Po tej stronie był jedyną strukturą, która rozumiała politykę jako taką. We wszystkich organizacjach przykościelnych to poczucie świadomości narodowej nabierało treści, jednocześnie uczyło nas myślenia politycznego. Myślę, że tak, jak 24 lutego 2022 roku był przełomowym dniem dla Ukrainy, w którym zaczął się rodzić nowy naród, tak 13 grudnia 1981 roku Polacy odzyskali swoją świadomość, tożsamość i państwo; pełne poczucie, że niepodległość jest konieczna, żeby Polak mógł funkcjonować jako istota ludzka. To, że udało się nam nie zapłacić takiej ceny, jaką za swoją tożsamość narodową dziś płacą Ukraińcy, jest działaniem Opatrzności Bożej. Nie da się tego wyjaśnić, tak jak nie da się wyjaśnić, czy 31 sierpnia 1980 roku był elementem jakiejś prowokacji. Krążyły plotki, że rozgrywki PZPR doprowadziły do tego, że ten bunt, żar, mógł się roznieść i wybuchnąć – czy też to było samoistne. Nie ma to znaczenia. To po prostu jest ten początek.

Mirosław Lewandowski: Michał [Janiszewski] mówił, że strajki sierpniowe mogły być prowokacją. Rzeczywiście Leszek Moczulski już w 1979 roku w „Rewolucji bez rewolucji" napisał, że tylko w jednym wypadku grozi nam gwałtowny wybuch społeczny, którego obawiał się Kuroń – jeżeli zostanie sprowokowany wskutek rozgrywek wewnątrz obozu władzy. A więc jeszcze przed Sierpniem mówiło się o jakiejś prowokacji...

Ponieważ Piotr Wójcik tak ostro się do mnie zwrócił, chciałbym przypomnieć, że w „Posłaniu do ludzi pracy Europy Wschodniej" mowa jest o tworzeniu związków zawodowych i zachęta, by ludzie walczyli o swoje prawa robotnicze. Nie ma tam mowa o niepodległości. Możemy twierdzić, że budowa ruchu związkowego w Europie Środkowej prowadziła nieuchronnie do upadku komunizmu, ale wątpię, czy autorzy „Posłania" mieli taką świadomość i czy to było ich intencją.

Głos z sali: Sam mówiłeś, że trzeba czytać między wierszami.

Mirosław Lewandowski: Autorzy „Posłania" nie byli ludźmi głębokiej inteligencji, piszący między wierszami. Po prostu wydawało się im, że należy coś takiego uchwalić i to uchwalili. To jest podobnie jak z Wałęsą...

Głos z sali: Wymień autorów „Posłania".

Mirosław Lewandowski: Przede wszystkim był to prawnik Bogusław Śliwa (bodajże z Kutna), ale do autorstwa poczuwał się Kornel Morawiecki...

Głos z sali: I Janek Lityński.

Mirosław Lewandowski: Ale moim zdaniem autorem był Śliwa.

Odniosę się jeszcze do tego, co mówił Piotr [Wójcik] – układ z Rosją a sprawa Olszewskiego. To jest temat propagandowy, który bardzo fajnie brzmiał. Podpisanie tego układu doprowadziło do tego, że Wałęsa się zdenerwował i złożył wniosek o wotum nieufności wobec rządu. Wałęsa podjął decyzję o odwołaniu rządu Olszewskiego, zanim Korwin-Mikke – dziś powszechnie już uważany za agenta Kremla – zgłosił w Sejmie projekt uchwały lustracyjnej.

Głos z sali: Nie brnij tą drogą.

Mirosław Lewandowski: Brnę tą drogą, ponieważ byłem członkiem Komisji Ciemniewskiego i przesłuchiwaliśmy ludzi z gabinetu Macierewicza, którzy wyraźnie poświadczyli, że Korwin-Mikke był dzień w dzień u Macierewicza, po czym zgłosił projekt uchwały lustracyjnej, a dzisiaj wszyscy uważają, że on jest agentem Kremla. Otóż twierdzę, że projekt uchwały lustracyjnej był prowokacją.

Natomiast nie jest prawdą to, co mówiła propaganda Olszewskiego, że sprawa lustracji była powodem decyzji Wałęsy o odwołaniu rządu. Wałęsa podjął decyzję o odwołaniu rządu Olszewskiego po awanturze z traktatem, o którym mówił Piotr [Wójcik]. Powodem był układ z Rosją. Był on bardzo ważny, gdyż jego niepodpisanie, wbrew temu, co mówi Piotrek, oznaczało, że te wojska rosyjskie dalej stacjonowałyby w Polsce. Trzeba sobie uświadomić, jakie były fakty, bo to, co mówi Piotr faktom nie odpowiada.

Kto negocjował układ dotyczący wycofania wojsk rosyjskich z Polski? Układ negocjował rząd Olszewskiego. Minister Olszewskiego Skubiszewski i jego wiceministrowie (nie Wałęsa) wynegocjowali ten układ i parafowali go. Następnie Wałęsa miał wyjechać do Moskwy. Miała to być historyczna pierwsza wizyta polskiego prezydenta w Moskwie, gdzie miało dojść do podpisania układu dotyczącego opuszczenia Polski przez wojska rosyjskie. Dokładnie opisuje to Antoni Dudek w książce „Pierwsze lata III Rzeczpospolitej 1989–2001".

Przed wyjazdem Wałęsy odbyło się spotkanie z udziałem Wałęsy lub jego przedstawicieli oraz Olszewskiego i Skubiszewskiego. Olszewski na tym spotkaniu nie zawetował tego układu. Wałęsa wyjeżdżał z Warszawy do Moskwy w przekonaniu, że ma podpisać układ wynegocjowany przez rząd Olszewskiego.

Głos z sali: Nie, to nie prawda.

Mirosław Lewandowski: Tak pisze Dudek, a Wałęsa to potwierdza. Rozmawiałem o tym z Wałęsą.

Głos z sali: A ja rozmawiałem z Olszewskim i mówił zupełnie coś innego.

Mirosław Lewandowski: Wałęsa poleciał do Moskwy. Miał odbyć rozmowę z Jelcynem, ale nieoczekiwanie dostał faks jawną pocztą (czyli Rosjanie znali treść tego, co napisał w tym faksie Olszewski).

Głos z sali: Bo to było też adresowane do Rosjan.

Mirosław Lewandowski: Nie, to było adresowane do Wałęsy. Olszewski nie powiedział Wałęsie w Warszawie, że ma nie podpisywać układu, ale dopiero, gdy Wałęsa był w Moskwie, wysłał do niego jawny faks, aby nie podpisywać historycznego układu z Jelcynem o wycofaniu wojsk rosyjskich z Polski. Żądał, aby Wałęsa nie podpisywał tego, co wynegocjował jego – Olszewskiego – rząd! Czy trudno się dziwić, że Wałęsę krew zalała? Przecież treść faksu znali Moskale, znał Jelcyn.

Co było dalej? Czy Wałesa podpisał ten układ w brzmieniu, który wynegocjował Olszewski? Nie! Wałęsa odbył rozmowę z Jelcynem przed podpisaniem układu i przekonał go do tego, żeby usunąć te zapisy, które rząd Olszewskiego wynegocjował w rozmowie z Rosjanami a potem kwestionował.

Taka była prawda!

Wałęsa wrócił do Warszawy i powiedział: – „Tak się bawić nie będziemy, panie Olszewski! Wy negocjujecie układ, przed wylotem do Moskwy mówicie, że jest ok i mogę go podpisać, a gdy ja jestem już w Moskwie, to wysyłacie mi faks, że mam nie podpisywać!”. Wałęsę krew zalała. Złożył wniosek o odwołanie rządu Olszewskiego.

Dopiero później Korwin-Mikke zgłosił projekt uchwały lustracyjnej, a jeszcze później wniosek o odwołanie rządu Olszewskiego zgłosiła Unia Demokratyczna. Taka była kolejność.

Trzecia rzecz – Ukraina. Nie jestem chyba dobrze rozumiany. Nie powiedziałem, że my nie jesteśmy stroną tej wojny. Nie mam pretensji o to, że pomagamy Ukraińcom. Kapitalne było wystąpienie prezydenta

Dudy w ukraińskiej Radzie Werchownej w Kijowie. O co innego mam pretensje. Obawiam się, że my „podpuszczamy" Ukraińców.

Oczywiście uważam, że błędem jest mówienie, że to nie jest nasza wojna. To jest nasza wojna i nawet uważam, że powinniśmy być jej stroną. Potrzebna jest koalicja państw nie NATO, tylko USA, Wielkiej Brytanii, Polski, Pribałtyki, Rumuni... Nie chcemy bezpośrednio brać udziału w wojnie, ale Ukraińcom mówimy: – „Bijcie się do ostatniego żołnierza".

Ja uważam, że Polska powinna wprowadzić wojska na Białoruś, bo z Białorusi poszła agresja na Ukrainę, a Polska wraz z Wielka Brytanią i USA powinny zająć Obwód Kaliningradzki. „Wygra, kto się nie boi wojny". Jeżeli będziemy się bali nuklearnego straszaka ze strony Rosji, przegramy tę konfrontację. Trzeba grać ostro. Jeżeli chcemy podpuszczać Ukraińców, powinniśmy bezpośrednio włączyć się do tego konfliktu.

Odniosę się do tego, co mówił Wojtek Frazik. Stwierdzenie, że ja mówię to samo, co Jaruzelski, było nie *fair*. Twierdzisz, że do wyboru były 2 warianty: interwencja sowiecka albo stan wojenny polskimi siłami i Amerykanie nie uprzedzili Polaków o planach stanu wojennego, o których wiedzieli, bo uważali, że stan wojenny jest lepszym wariantem niż interwencja sowiecka.

Wojtek Frazik: Przy rozwiązaniach siłowych.

Mirosław Lewandowski: Zaraz, ale były 3 możliwe warianty. Wariant interwencji sowieckiej, wariant stanu wojennego polskimi siłami i wariant strajku generalnego, który doprowadza do tego, że rozwiązanie siłowe jest niemożliwe. Pytanie, dlaczego Amerykanie, wiedząc o stanie wojennym, uznali, że to jest najlepsze rozwiązanie?

Czy Kościół budował polskie elity polityczne? Oczywiście, że tak. Bardziej niż przez ruch oazowy, przez duszpasterstwo wszystkich środowisk akademickich i szkolnych. Były 3 ośrodki budowy niezależnych elit politycznych i nie uważam, że najbardziej wartościowe z nich były elity zbudowane w duszpasterstwie akademickim. Bardzo wyraźnie

widać to pod koniec lat 80. Nie mam najlepszego zdania o tych wszystkich kościółkowych elitach, skupionych wokół problemu aborcji czy o ZChN.

Głos z sali: ZChN nie jest partią kościelną.

Mirosław Lewandowski: Jakżeż nie? Jeszcze dokończę myśl, jakie to były te 3 ośrodków budowy elit. Jeden to był ośrodek przykościółkowy. Drugi to był ośrodek elit postkomunistycznych, nazwijmy je okołokorowskie, z których wywodził się np. Michnik. Bez względu na ocenę, czy były one dobre, czy złe, nie miały nic wspólnego z Kościołem. Trzecim ośrodkiem był nurt niepodległościowy, to były środowiska postakowskie, z którego wyrosło KPN. KPN nie da się podczepić ani pod środowiska kościelne, ani pod środowiska KOR-owskie. Możemy się spierać, który z tych nurtów był najbardziej dojrzały, na pewno jednak Kościół nie miał tu monopolu.

Piotr Wójcik: Jeśli chodzi o traktat z Rosją, to interpretacja, którą przedstawiłeś, podpierając się publikacją Antoniego Dudka, mija się z rzeczywistością i z faktami. Owszem, układ polsko-rosyjski był negocjowany przez rząd Jana Olszewskiego i ministra Skubiszewskiego, który – jak dobrze pamiętasz – był tzw. ministrem prezydenckim. Falandysz „wyfalandyzował", że prezydent (po uzgodnieniu) wskazuje trzech ministrów, m.in. ministra spraw zagranicznych. Ten kontekst jest bardzo istotny, gdyż Kostrzewa-Zorbas, Najder i inni zorientowali się, że Iwo Byczewski w sytuacji, kiedy nie ma ministra spraw zagranicznych, był jedyną osobą zastępującą ministra, z przyczyn niewiadomych, bez polecenia rządu i bez zgody rządu parafował ten układ. Od tego zaczął się problem.

Po drugie Jan Olszewski wielokrotnie rozmawiał na ten temat z Wałęsą, mówiąc mu, że nie ma prawa podpisać układu polsko-rosyjskiego o wycofaniu wojsk ani protokołu dodatkowego z punktami 6 i 12 w tej wersji, dlatego, że zgodnie z ówcześnie obowiązującymi przepisami konstytucyjnymi prezydent nie mógł podpisać żadnego układu

międzynarodowego bez wyraźnej zgody rządu. Rząd zebrał się w tej sprawie przed wylotem Wałęsy do Moskwy i podjął uchwałę, że nie ma zgody na te punkty. I ta uchwała została wysłana do Rosjan i do Wałęsy, o co się Wałęsa wkurzył, ponieważ wcześniej kompletnie zignorował spotkanie z marszałkami Sejmu i Senatu, z premierem, udając, że jest po ich stronie. Po czym wyjechał z zamiarem podpisania dokumentu w kwestionowanej wersji. Tylko dlatego, że na biurko Jelcyna trafiła iskrówka z uchwałą rządu polskiego, nie mogli tego podpisać i musieli to renegocjować.

Rozmówca na 6: Co było najbardziej niebezpieczne w tej umowie? Obok kwestii opuszczenia wojsk była jeszcze cała formuła baz radzieckich pozostających w Polsce. Chodziło o to, żeby wojska radzieckie wycofały się ze wszystkim do zera. Oni próbowali negocjować, żeby pozostawić im ich własne placówki przesyłowe czy bazy paliwowe itd., które miały zostać w dyspozycji rosyjskiej. To była modna wówczas formuła *joint venture* spółki polsko-rosyjskiej. Tak się stało na Ukrainie. Po odzyskaniu niepodległości zostało tam bardzo dużo tego typu spółek rosyjsko-ukraińskich, które potem były naturalnym oparciem dla wpływów rosyjskich na Ukrainie. Bójka o to, żeby zmienić ten zapis i żeby Wałęsa podpisał ten traktat w innej formule, sprowadzała się przede wszystkim do usunięcia zagrożenia pozostawienia wpływów rosyjskich w Polsce w postaci baz paliwowych, biznesowych. Byłaby to naturalna, agenturalna rosyjska sieć funkcjonująca w Polsce, na którą Polska by się zgodziła, podpisując ten akt. To była istota. W tym kontekście kwestia wycofania wojsk rosyjskich nawet zeszła na nieco dalszy plan, gdyż główna walka sprowadzała się do tego, żeby wyczyścić pozostałości rosyjskich baz, spółek biznesowych itd. To był 1992 roku. Obowiązywała Mała Konstytucja, zasada ministrów prezydenckich i jego wpływu na trzy stanowiska: Ministra Spraw Zagranicznych, Ministra Obrony i Ministra Spraw Wewnętrznych. *Notabene* Olszewski nie chciał Skubiszewskiego w swoim rządzie. Zgodził się, bo inaczej Wałęsa nie podpisałby dokumentu. Wałęsa był na tyle skuteczny, że był w stanie wymusić na rządach SLD-PSL swoje zasady.

Wywalczył je sobie przez Małą Konstytucję i tak Olechowski był ministrem spraw zagranicznych w rządzie SLD, a Bartoszewski był ministrem z puli Wałęsy.

Kiedy tę uchwałę rządu przesłano do Jelcyna, musiała być kontrasygnata premiera. Olszewski tego nie negocjował. Parafował to Byczewski jako wiceminister zastępca prezydenckiego ministra Skubiszewskiego. Ale nie ma to już znaczenia, bo fakt jest taki, że była uchwała rządu i jasny komunikat, że Olszewski nie podpisze tego porozumienia, jeśli nie zostaną usunięte zapisy dotyczące tzw. baz rosyjskich w Polsce. I one zostały usunięte...

Mirosław Lewandowski: Przez Wałęsę.

Rozmówca na 6: ...Który dostał instrukcję uchwały rządu w tej sprawie. Rosjanie, którzy tę uchwałę otrzymali wiedzieli, że nawet, gdy Wałęsa ją podpisze, ona nie zostanie zaakceptowana przez premiera. O to była cała wojna. Istotą było to, że dzięki temu z Polski zostały wyrzucone rosyjskie bazy, a przez to zostały wyczyszczone wpływy rosyjskie, co, moim zdaniem, jest największą zasługą tego okresu. Gdyby te bazy pozostały, historia mogłaby się potoczyć inaczej.

Rozmówca nr 7: Znacząco odbiegliśmy od tematu referatu. Minęło 40 lat od stanu wojennego i wyprowadzenia wojsk sowieckich z Polski. Część z nas przeżyła to osobiście, inni znają historię z przekazów książkowych, filmowych i in. Przedstawiona chronologia i zwarcie między Mirkiem a…

Głos z sali: ...resztą świata.

Rozmówca nr 7: Nie, nie resztą świata, bo jeden i drugi ma rację. Taka była ta chronologia. Mamy do tego prawo i możemy różnie oceniać sytuacje, które zaistniały. Nie wszystko było wiadomo także posłom pierwszej kadencji z różnych klubów. Jedni mieli lepszy dostęp do

informacji, inni mieli bardziej ograniczony. Nie mieliśmy wszystkiego podane na tacy i na nasze pytania różne strony odpowiadały niezbyt chętnie. Dlatego wciąż będziemy się różnić w ocenie tej sytuacji, a nie co do faktów, które miały miejsce.

Znałem, chwaliłem i identyfikowałem się z wieloma poglądami Mirka. Dziś, niektórymi z nich jestem zdumiony. Myślę, Mirku, że twoje wielokrotne, długie wizyty u Wałęsy znacznie wpłynęły na twój ogląd sytuacji. Widzisz mniej jego wad, więcej zalet i obecnie próbujesz bronić tego słabego, marnego polityka, który dzięki historii stał się wielką postacią w dziejach Polski. Sam przyznał się do „Bolka", wobec czego nie ma żadnych wątpliwości.

Na tle zarysowanego konfliktu prezydent Wałęsa-premier Olszewski nie padła istotna rzecz: Wałęsa wyraźnie krzyczał „NATO bis". To się ucięło. Muszę dopowiedzieć, a częściowo też sprostować, że wojska sowieckie wcale nie wyszły na podstawie tego podpisu. Owszem załadowali armaty, czołgi, działa, samoloty na eszelony, ale zostawili mnóstwo nieformalnych spółek (nie tych formalnych, o których mówił Wałęsa) zorganizowanych przez Polaków na rzecz Rosjan. Te spółki funkcjonują do dzisiaj. Wielkie miasto stołeczne Warszawa nie potrafiło do niedawna odebrać hektarów wraz z budynkami przy ul. Sobieskiego, o które procesowano się 30-40 lat. Na razie nastąpiło tylko medialne odebranie, bo tak naprawdę nikt jeszcze im niczego nie odebrał. Budynki stoją, są pilnowane, mało tego, na tych terenach rosną nowe domy. Ktoś wydaje na to zgodę, ktoś inny to buduje z zachowaniem wszystkich przepisów prawnych…

Powtarza się, że dzięki Wałęsie i Olszewskiemu wojska sowieckie opuściły Polskę. A jakie były tego źródła? To pierwsza Konfederacja Polski Niepodległej rozpoczęła olbrzymią akcję pt. „Sowieci do domu!". Okupowaliśmy bazy wojskowe jednostek radzieckich. Dniami i nocami chłopcy i dziewczyny siedzieli w namiotach w bramach tych jednostek. Rosjanie częstowali nas wódką i w ramach prowokacji proponowali zakup broni. Przyjeżdżali do nas dziennikarze – niektórzy nawet na tych protestach wyrobili sobie markę, np. młodziutki

praktykant dziennikarstwa Piotr Semka. Ja akurat wraz z grupą lubelską byłem wtedy w Rembertowie i wieczorami odwoziłem Semkę na Dworzec Centralny, ponieważ wracałem na noc do Warszawy. Piotr nie miał nawet jeszcze wtedy wejściówki do Sejmu. Tak to wszyscy zapominają o roli KPN w wyrzuceniu Sowietów do domu...

Ks. Dr Stanisław Tylus SAC

PALLOTYNI WOBEC STANU WOJENNEGO

Wprowadzenie 13 grudnia 1981 roku w Polsce stanu wojennego ograniczyło w sposób poważny swobody obywatelskie, a co za tym idzie także Kościoła, w tym Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (pallotynów). Wówczas poddano kontroli połączenia telefoniczne, wprowadzono cenzurę listów, zablokowano międzynarodowe połączenia transportowe, zmilitaryzowano radio i telewizję, wprowadzono godzinę policyjną.

W kronice pallotyńskiego Wyższego Seminarium Duchownego w Ołtarzewie kronikarz pod 13 grudnia 1981 roku zanotował: „Od północy trwa w Polsce stan wojenny, ogłoszony przez Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, na czele której stanął gen. armii W. Jaruzelski. W Seminarium rozpoczęła się nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu w intencji Ojczyzny”[1]. W kleryckim piśmie „Nasz Prąd” zapisano wtedy: „Wczesnym rankiem na terytorium całej Polski został ogłoszony stan wojenny. Przy użyciu siły zostały pogwałcone podstawowe prawa człowieka. W odpowiedzi na tę sytuację wspólnota seminaryjna podjęła w kaplicy Krzyża nieustanną adorację Najświętszego Sakramentu, która rozpoczęła się wieczorem tegoż dnia i trwała do wieczora 22 XII. Do czuwań adoracyjnych dołączyła wspólnota sióstr”[2].

Papież Jan Paweł II podczas modlitwy Anioł Pański powiedział wtedy: „Wydarzenia ostatnich godzin przemawiają za tym, abym raz jeszcze zwrócił się do wszystkich w sprawach naszej wspólnej Ojczyzny z prośbą o modlitwę. Przypominam to, co powiedziałem we wrześniu: Nie może być przelewana polska krew, bo zbyt wiele jej wylano, zwłaszcza czasu ostatniej wojny. Trzeba uczynić wszystko, aby w pokoju budować przyszłość Ojczyzny. W obliczu zbliżającego się 600-lecia Jasnej Góry, polecam Polskę i wszystkich Polaków Tej, która dana jest Narodowi ku obronie”.

Dla Rady Prowincjalnej Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (dalej: SAC), obok innych utrudnień, pojawił się problem kontaktów z Zarządem Generalnym w Rzymie, a w licznych wypadkach było to konieczne ze względów prawnych. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom Rady Prowincjalnej Polskiej Prowincji Chrystusa Króla, Rada Generalna SAC na sesji z 11 stycznia 1982 roku udzieliła nadzwyczajnych uprawnień Polskiej Prowincji na czas stanu wojennego, o czym poinformował Radę Prowincjalną ks. prowincjał Henryk Kietliński SAC na zebraniu z 6 lutego 1982 roku[3].

---

[1] *Kronika domu w Ołtarzewie*, 13 grudnia 1981.

[2] *Kronika grudnia 1981*, „Nasz Prąd”, nr 12 z 1981, s. 4.

[3] J. Dyl, *Pallotyni w Polsce 1947–1993*, Ząbki 1993, wydanie studyjne, passim.

Wielu pallotynów było zaangażowanych w Ruchu „Solidarność". Spośród nich wymienię tu najbardziej oddanych tej sprawie. Ks. Eugeniusz Dutkiewicz SAC (†2002), rektor domu pallotyńskiego przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie, był zaangażowany w sprawy „Solidarności", działając pod pseudonimem „Chudy" w Gdańsku. W okresie stanu wojennego udzielał pomocy i schronienia prześladowanym i internowanym działaczom związkowym i ich rodzinom. Pallotyński dom przy ul. Marii Skłodowskiej-Curie w Gdańsku był miejscem spotkań opozycji, centrum wydarzeń kulturalnych i spotkań modlitewnych. To dzięki jego zaangażowaniu powstał tam ośrodek telewizji niezależnej, który działał jako Video Studio Gdańsk[4]. W tym środowisku działał ks. Eugeniusz Klimiński SAC (†2012), który po 13 grudnia 1981 roku zaangażował się w pomoc dla aresztowanych (prawną, medyczną i żywnościową), ukrywanie poszukiwanych działaczy „Solidarności" oraz przewóz z zagranicy sprzętu do reprodukowania taśm wideo[5].

Warto tu przypomnieć postać ks. Jerzego Błaszczaka SAC (†2021), który w Gdańsku, w domu przy ul. Elżbietańskiej 1, ukrywał członków „Solidarności". Wśród wielu jego inicjatyw należy podkreślić aktywną działalność duszpasterską i społeczną na rzecz robotników w sierpniu 1980 roku i w czasie stanu wojennego 1981 roku, kiedy świadczył o prawdzie swoją chrześcijańską postawą, m.in. rozmawiając z członkami oddziałów ZOMO i Milicji Obywatelskiej starał się poruszyć ich sumienia, tłumacząc im postawę społeczeństwa. Wygłosił wtedy mocno komentowane w gdańskim środowisku kazanie: „Ludzie ludziom zgotowali ten los". W 1981 roku ks. Jerzy został mianowany pierwszym redaktorem (przewodniczącym redakcji) Mszy św. „dla tych, co na morzu" (Msza radiowa dla Ludzi Morza), transmitowanej bezpośrednio z kościoła św. Elżbiety przez Polskie Radio. Trud dwukrotnego w ciągu jednej doby prowadzenia Mszy dla marynarzy i rybaków podjął przy współpracy z ks. Stefanem Potońcem SAC. Msza

[4] S. Tylus, *Leksykon polskich pallotynów 1915-2012*, Ząbki 2013, s. 161.

[5] S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. E. Klimińskiego, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

objęła swym zasięgiem ogromną liczbę Polaków poza granicami, szczególnie w ZSRR, dając im możliwość uczestnictwa we Mszy i kontakt z polskim językiem i kulturą ojczystą. To wydarzenie zrodziło kolejne inicjatywy: tj. duszpasterstwo poprzez liczną korespondencję z uczestnikami radiowych Mszy św. na świecie, dla funkcjonowania której ks. Jerzy powołał zespół osób, oraz ideę modlitewnego czuwania, podjętego w gdańskim kościele przez gromadzące się tu wspólnoty (w soboty od godz. 21.00 do 24.00). Ks. Jerzy Romanowicz SAC ze wspólnoty przy ul. Elżbietańskiej w Gdańsku spowiadał ludzi gromadzących się na Mszach za Ojczyznę w kościele św. Brygidy[6]. Ze środowiskiem gdańskim związany był też ks. Jan Papkała (†2009), aktywnie współpracujący z ruchem „Solidarność".

Inną istotną postacią pallotyńską jest ks. Feliks Folejewski SAC (†2015), zasłużony kapłan w duszpasterstwie „Solidarności". Przebywał on wtedy w domach sióstr urszulanek, spełniając równocześnie obowiązki kapelana sióstr, najpierw od 1980 roku w Nałęczowie (urszulanki Unii Rzymskiej), a następnie od 1 września 1982 roku w Milanówku (urszulanki szare). W czasie stanu wojennego jego homilie stały się dramatycznym głosem w obronie wolności człowieka zdeptanego przez system totalitarny[7]. W okresie stanu wojennego i po jego odwołaniu kolportował wydawnictwa podziemne, a w latach 1982–1989 współorganizował patriotyczne uroczystości. Pełnił obowiązki duszpasterza akademickiego w kościele św. Anny.

Ks. Mirosław Drozdek SAC (†2007) był kapelanem i przewodnikiem „Solidarności Podhala", szczególnie służby zdrowia i nauczycieli. W 1995 roku otrzymał odznakę Zasłużonego Działacza Kultury za działalność kulturalną w stanie wojennym oraz medal za zasługi dla „Solidarności" Regionu Małopolska z okazji 20. rocznicy powstania

---

[6] S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. J. Błaszczaka, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

[7] Maria Przybyłko, *Dramatyczny głos w obronie wolności*, w: „Na nitce Bożego Miłosierdzia. Ksiądz Feliks Folejewski SAC w oczach przyjaciół", zebrali i opracowali Piotr Kordyasz, Grzegorz Polak, Ząbki 2016, s. 418.

NSZZ „Solidarność". Dzieło ks. Drozdka kontynuował ks. Franciszek Mąkinia SAC (†2014). W pallotyńskim domu na Krzeptówkach w Zakopanem organizował szkolenia członków „Solidarności", dni skupienia, konferencje, wykłady z nauki społecznej Kościoła oraz rekolekcje[8].

Ks. Stanisław Janik SAC (†2010), jeszcze przed wstąpieniem do pallotynów (we wrześniu 1982), włączył się do ruchu Solidarności i był inicjatorem powstania lokalnych oddziałów NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych i NSZZ „Solidarność Nauczycielska". Przez swą aktywną działalność naraził się władzom PRL i musiał wycofać się z czynnej działalności, poświęcając się wyłącznie pracy edukacyjnej w szkole[9].

Należałoby tu wspomnieć ks. Jerzego Kopcia SAC (†2016) z domu ołtarzewskiego, który w czasie stanu wojennego zaopatrywał drukarnie w papier, co wiązało się z wielkim ryzykiem kontroli[10], a także ks. Floriana Kniotka SAC (†2012), wspierającego opozycję solidarnościową w Poznaniu[11] oraz ks. Wendelina Rysia (†2015), działającego na terenie Częstochowy w okresie komunistycznego zniewolenia i agresywnego ataku na Kościół w czasie stanu wojennego jak i w czasach transformacji ustrojowej Polski[12].

Wydarzenia stanu wojennego w Polsce stały się motywem do organizowania przez pallotyńską Regię Miłosierdzia Bożego wielkiej pomocy materialnej dla uciemiężonego narodu. W geście solidarności powstał Comité d'aide pour la Pologne, zorganizowany przez ks. Tadeusza Tomasińskiego SAC (†2022). Na prośbę abpa Bronisława Dąbrowskiego wysłał on do Ożarowa Mazowieckiego tir z odżywkami i pokarmem dla niemowląt. Wysyłał też do Polski wiele innych tirów z żywnością.

---

[8] S. Tylus, *Leksykon*, s. 151.

[9] Tamże, s. 231.

[10] S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. J. Kopcia, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

[11] Tamże, *Leksykon*, s. 272.

[12] S. Tylus, Biogram pośmiertny ks. W.M. Rysia, Archiwum Prowincji Chrystusa Króla SAC w Warszawie.

Za te działania został uhonorowany później przyznaniem mu m.in. Krzyża Armii Krajowej i Orderu Odrodzenia Polski[13].

Na rzecz pomocy dla działaczy Solidarności włączali się też pallotyńscy nowicjusze w Ząbkowicach Śląskich i klerycy w Seminarium w Ołtarzewie. Na terenie Seminarium, w rocznice upamiętnienia smutnej daty wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, alumni przygotowywali artystyczny program, np. w trzecią rocznicę (1984) seminarzyści przygotowali program pt. „Pokój Tobie Polsko". W programie obok słów papieża Jana Pawła II wykorzystano utwory J. Słowackiego, C.K. Norwida, Z. Krasińskiego i P. Adamowicza[14].

Najbardziej zasłużonym pallotynem, który położył istotne zasługi na rzecz Solidarności był niewątpliwie ks. Alojzy Orszulik SAC (wykładowca Seminarium w Ołtarzewie, kierownik Biura Prasowego Episkopatu Polski 1968-93, biskup pomocniczy diecezji siedleckiej 1989-92, zastępca sekretarza Episkopatu Polski 1989-94, biskup diecezji łowickiej w latach 1992-2004, a następnie biskup senior diecezji łowickiej, †2016). Ks. A. Orszulik w okresie stanu wojennego był reprezentantem Kościoła do utrzymywania kontaktów z internowanym Lechem Wałęsą, przewodniczącym NSZZ Solidarność oraz negocjatorem w dialogu pomiędzy władzą państwową a „Solidarnością". W momencie wprowadzenia stanu wojennego był jednym z najbliższych współpracowników ówczesnego sekretarza generalnego Episkopatu Polski abpa Bronisława Dąbrowskiego.

Już po 20 latach jako biskup łowicki udzielił on wywiadu „Stan wojenny nie bronił niepodległości Polski, bronił socjalizmu", którego fragmenty warto tu przypomnieć. Biskup A. Orszulik argumentował w nim swą tezę, że stan wojenny przedłużył jedynie konanie socjalizmu; nie bronił niepodległości Polski ani naszej suwerenności, bronił natomiast socjalizmu.

---

[13] T. Tomasiński, *Tak było. Wspomnienia księdza Warszawa-Rzym-Paryż*, spisała Teresa Błażejewska, Ząbki 2022.

[14] M. Krzywoń, *Program wokół smutnej daty 13 grudnia*, „Wiadomości Polskiej Prowincji SAK" 1984, nr 12, s. 533–534.

Mija 20. rocznica wprowadzenia stanu wojennego, jak z dzisiejszej perspektywy ocenia Ksiądz Biskup to wydarzenie?

Stan wojenny przedłużył konanie systemu socjalistycznego. W czasie sympozjum w kwietniu 1999 roku na Uniwersytecie w Michigan odbyła się dyskusja na temat 10. rocznicy Okrągłego Stołu. Zaproszono mnie, przedstawicieli ówczesnej opozycji, a ze strony władz PRL: Mieczysława Rakowskiego, Stanisława Cioska i Janusza Reykowskiego. Publicznie oświadczyli oni, że już w momencie wprowadzenia stanu wojennego system się wyczerpał i nie miał możliwości dalszej egzystencji, nie chcieli jednak oddać władzy, bo uważali, że Solidarność nie umie rządzić. Jednoznacznie przyznali, że w momencie wprowadzenia stanu wojennego system władzy był niefunkcjonalny. Stan wojenny w gruncie rzeczy nie bronił ani niepodległości Polski, ani naszej suwerenności, bronił socjalizmu. Oceniając tamte czasy na pewno trzeba brać pod uwagę uwarunkowania. Jednak czy te uwarunkowania były na tyle poważne, że gdyby były dalej prowadzone negocjacje między rządem a Solidarnością doszłoby do inwazji wojsk całego bloku socjalistycznego? Według mnie, to były raczej nietrafne proroctwa. Nie było też fizycznego zagrożenia dla rządu ze strony ludzi Solidarności. Oni byli groźni tylko w słowach. Nie mieli broni, aparatu przymusu. W jaki sposób mieliby przejąć siłą władze, obsadzić stanowiska wojewodów, czy stworzyć rząd? Solidarność nie była do tego przygotowana. Owszem, padały ostre słowa, ale tylko słowa. Argumentacja używana dla uzasadnienia stanu wojennego – zagrożenie państwa ze strony Solidarności – była w moim przekonaniu bezzasadna.

Co się stało z pamięcią Polaków – najnowsze sondaże pokazują, że 49% społeczeństwa uważa wprowadzenie stanu wojennego za słuszne...?

Wielu Polaków patrzy na rzeczywistość przez pryzmat kilku lat względnie dobrej sytuacji ekonomicznej w pierwszej połowie lat 70. Były tanie kredyty i dużo na półkach w sklepach. Działo się tak, bo przejadaliśmy zagraniczne kredyty. Oni zapomnieli co się działo po 1976 roku i w okresie stanu wojennego. Nad świadomością społeczeństwa ciążą też skutki transformacji i koniecznych reform. Ludzie

nie mają świadomości, że na obecne trudne warunki miał wpływ cały okres komunistyczny. To, że jest nam teraz tak ciężko, wynika również z blisko 10-letniego opóźnienia spowodowanego stanem wojennym.

Czy można więc powiedzieć, że gdyby nie stan wojenny mielibyśmy demokrację i wolny rynek w Polsce wcześniej?

Moglibyśmy mieć przemiany powolniejsze, ewolucyjne. Przecież już zaczęło się rozluźnianie gospodarki, pewne symptomy wolnego rynku. Gdyby to szło dalej w tę stronę, być może obecnie mielibyśmy o wiele lepszą sytuację ekonomiczną. System polityczny i tak by się zawalił, bo przecież 10 lat później padł cały blok socjalistyczny. W dziennikach z 11 grudnia br. są dwa teksty poświęcone wprowadzeniu stanu wojennego: Bogdana Borusewicza i wywiad z autorem stanu wojennego. Borusewicz, z którym się zgadzam, udowadnia, że był on obroną systemu komunistycznego i przedłużył tylko trwanie ogromnego kryzysu politycznego i gospodarczego. Natomiast autor stanu wojennego usprawiedliwia jego wprowadzenie niepoważnymi argumentami. Bo jak można traktować poważnie stwierdzenia, że niewiasty czy żołnierze, byli zniecierpliwieni sytuacją w państwie i oczekiwali wprowadzenia ładu. Mówi również, że groziła konfrontacja z Solidarnością. Wspomina nawet, że biskupi wyrazili zaniepokojenie możliwością konfrontacji, powołując się tu na Komunikat ze 181. Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski z 26 listopada 1981 roku Rzeczywiście w tym dokumencie, mówiącym o różnych problemach kraju, jest napisane m.in. „przemieszczają się nad krajem ciemne chmury grożące bratobójcza walką i utratą osiągniętych wartości". Redagowałem tekst tego komunikatu i to zdanie znalazło się tam, ponieważ parę dni wcześniej, podczas posiedzenia Komisji Wspólnej, spytałem się strony rządowej, czy prawdą jest, że funkcjonariuszom partyjnym rozdano broń. Jeden z przedstawicieli rządu powiedział, że w jednym z województw pospieszyli się. Jeśli potwierdziłoby się, że funkcjonariusze partyjni mają broń, to przy istniejących wówczas napięciach łatwo mogli jej użyć, a wtedy mogłoby dojść do bratobójczych walk.

I stąd to zdanie w komunikacie z 26 listopada?

Dokładnie tak. Chodziło nam m.in. o to, że choć ludzie Solidarności nie mieli broni, do walki mogli jedynie używać narzędzi pracy. Tak przecież stało się w kopalni „Wujek", gdzie robotnicy zginęli od kul ZOMO-wców. Analizując wprowadzenie sianu wojennego wyraźnie widzę, że był on niezwykle starannie i długo przygotowywany. W tzw. godzinie zero w jednej chwili uruchomiony został aparat przemocy w całej Polsce. Wszystko było doskonale zgrane: gotowe listy proskrypcyjne, które mieli wszyscy komendanci milicji, dosłownie w ciągu jednego dnia zaaresztowano kilka tysięcy osób. Odbywające się bezpośrednio przed 13 grudnia rozmowy Prymasa Glempa z gen. Jaruzelskim, a potem w trójkącie z Lechem Wałęsą, były według mnie tylko parawanem do przygotowania stanu wojennego.

Ze słów Księdza Biskupa wynika, że Kościół nic nie wiedział o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego, że został tak samo zaskoczony jak cały naród?

Nie mieliśmy wiedzy. Ja osobiście miałem wiele kontaktów zarówno z opozycją, jak i ze stroną rządową i nie spodziewaliśmy się, że zostanie wprowadzony tak drastyczny stan wojenny, który ograniczy wszystkie prawa obywatelskie. 12 grudnia wieczorem docierały do sekretariatu Episkopatu, do ówczesnego sekretarza generalnego Episkopatu Polski bp. Bronisława Dąbrowskiego (od czerwca 1982 roku arcybiskupa) wieści, że są aresztowania. Ale przecież wszystko funkcjonowało: radio, telewizja, telefony. Przed północą dzwoniłem do bratanka i poszedłem spokojnie spać. O wpół do szóstej rano do rezydencji Prymasa Polski przyszli przedstawiciele władz i poinformowali Prymasa Glempa o wprowadzeniu stanu wojennego, a od 6 rano w telewizji zaczęto nadawać wystąpienie gen. Jaruzelskiego. Prymas, zgodnie z wcześniejszymi planami, udał się na Jasną Górę, odbył spotkanie z młodzieżą akademicką, a po południu wrócił do Warszawy. W tym czasie w sekretariacie Episkopatu zgromadzili się świeccy doradcy Episkopatu, którzy nie zostali aresztowani, m.in. Andrzej Stelmachowski, Wiesław Chrzanowski, Stanisław Stomma, Jan Olszewski i Andrzej Wielowieyski. Radziliśmy co zrobić. Gdy wrócił Ks. Prymas spotkał się z nami,

wysłuchał naszej opinii, a potem poszedł na ambonę w kościele Matki Bożej Łaskawej i wygłosił słynne kazanie. Mówił m.in., że nie wolno przelewać bratniej krwi. – „Kościół broni każdego życia, a więc w stanie wojennym będzie wołał, gdzie tylko może o spokój, o zaniechanie gwałtu, o zażegnanie bratobójczych walk. Nie ma większej wartości nad życie ludzkie, dlatego sam będę wołał o rozsądek nawet za cenę narażenia się na zniewagi i będę prosił, nawet, gdybym miał iść boso i na kolanach błagać: nie podejmujcie walki Polak przeciwko Polakowi" – mówił Ks. Prymas. Niestety w trzy dni później ta krew została przelana, ZOMO zostało wysłane do pacyfikacji bezbronnych robotników w kopalni Wujek, użyło przemocy, czołgów i broni przeciw robotnikom z narzędziami pracy w rękach.

Dla wielu Polaków te słowa Księdza Prymasa były trudne, spodziewano się raczej wezwania do oporu, walki. Jak Ksiądz Biskup z perspektywy lat ocenia postawę pasterzy Kościoła wobec stanu wojennego?

Musimy pamiętać, że dysponowaliśmy wtedy tylko ograniczoną wiedzą, nikt się nie spodziewał, że dojdzie do takiego dramatu, jakim był stan wojenny. Do ostatniego momentu odbywały się przecież rozmowy z gen. Jaruzelskim i Lechem Wałęsą. Jeszcze 6 grudnia, gdy powstał pomysł, aby sejm uchwalił specjalne uprawnienia dla rządu, Ks. Prymas napisał do marszałka sejmu list z ostrzeżeniem, aby tego nie robiono, bo zwiększy to napięcie w państwie. 13 grudnia był ciosem. Postawa, która przyjął Prymas i Kościół była słuszna. W dwa dni po wprowadzeniu stanu wojennego, 15 grudnia, Rada Główna Episkopatu spotkała się w Gnieźnie i wystosowała komunikat, w którym były dwa ważne sformułowania, wyznaczające zadania Kościoła w czasie stanu wojennego: Kościół i społeczeństwo powinny skupić się na uzyskaniu wolności dla internowanych, a do czasu ich uwolnienia na stworzeniu im ludzkich warunków oraz dążyć do przywrócenia związkom zawodowym, a zwłaszcza Solidarności statutowego działania. „Swobodna działalność przewodniczącego i Prezydium Związku Zawodowego Solidarność broniąca praw ludzi pracy jest nieodzowna, aby w życiu społecznym przywrócić równowagę" – napisali biskupi w komunikacie.

Ten Komunikat nie został jednak podany do publicznej wiadomości, dlaczego?

Gen. Jaruzelski bardzo nalegał, aby tego dokumentu nie publikować, choć został on już rozesłany do diecezji i w niektórych był odczytany. Dwóch generałów przyleciało wówczas do Gniezna helikopterami i przedstawiali Prymasowi Glempowi racje, dla których, według nich, byłoby lepiej, gdyby ten komunikat nie był czytany w kościołach. Prymas został postawiony w bardzo trudnej sytuacji. Biskupi uchwalili komunikat i rozjechali się, a on został sam. W końcu uznał, że dokument nie będzie publikowany. Mimo to i tak był upubliczniony.

Kiedy doszło do pierwszych kontaktów przedstawicieli Kościoła w władzami stanu wojennego?

Jeszcze 13 grudnia abp Dąbrowski i ja poszliśmy do urzędu ds. wyznań i tam przedstawialiśmy swoje racje dotyczące praw narodu i Kościoła. Dekret o stanie wojennym był na okrągło czytany w telewizji, wiedzieliśmy więc, jakie były restrykcje i ograniczenia. Abp Dąbrowski stanowczo przeciwko temu protestował. Po wieczornym kazaniu Ks. Prymasa poszliśmy tam po raz drugi. Abp Dąbrowski znów protestował, szczególnie przeciwko drastycznym ograniczeniom praw Kościoła, które zostały przeniesione z czasów stalinowskich, np. kwestia obsadzania stanowisk biskupów, tworzenia struktur kościelnych itd. Akurat tak się złożyło, że od roku negocjowaliśmy przepisy nowej ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, ustawy, która zresztą po modyfikacjach została przyjęta w 1989 roku Odwołaliśmy się do tych rozmów i zwróciliśmy uwagę, że od roku rozmawialiśmy o zupełnie innych regulacjach, a teraz mają obowiązywać przepisy stalinowskie. Pomimo całej bezwzględności tych ludzi udało się wynegocjować, że te przepisy zostały złagodzone. Zresztą walczyliśmy nie tylko o prawa Kościoła, ale o prawa całego narodu. Nasi eksperci, m.in. Andrzej Stelmachowski, Jan Olszewski i Wiesław Chrzanowski, w ciągu dwóch dni przeanalizowali prawo stanu wojennego i już 15 grudnia sekretarz Episkopatu wysłał stanowczy list do ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka, w którym domagał się cofnięcia drakońskich restrykcji wobec społeczeństwa. Wykazaliśmy m.in., że przepisy stanu

wojennego są sprzeczne z konstytucją. Sekretarz Episkopatu nie podejmował dyskusji nad całym dekretem o stanie wojennym, lecz koncentrował się na niektórych sprawach, np. że przepisy o przymusie pracy są zbliżone do regulacji z czasów II wojny światowej, czy że złamane jest prawo do odpoczynku w niedzielę. Protestowaliśmy również przeciwko przepisom o internowaniu czy upoważnieniu do bezpośredniego użycia broni palnej przez dowódców oddziałów i pododdziałów i to nawet do ochrony mienia.

Wspomniał Ksiądz Biskup, że władza wycofała się z restrykcyjnych ustaw dotyczących Kościoła. Czy nastąpiło do od razu po pierwszej interwencji abp Dąbrowskiego?

W całym cywilizowanym świecie prawo zaczyna obowiązywać, gdy zostaje opublikowane w odpowiednim organie – dzienniku ustaw. Żadnego z przepisów stanu wojennego nie opublikowano w organie urzędowym. Aresztowania zaczęto już 12 grudnia w nocy, bez zebrania się Rady Państwa wprowadzającej stan wojenny i bez opublikowania prawa stanu wojennego w odpowiednim organie. Aresztowania były więc bezprawne. Przepisy dotyczące Kościoła, które nam udostępniono jako prawo stanu wojennego, znajdowały się na luźnych kartkach. Powiedziano nam jeszcze 13 grudnia, że jeśli drukarnie nie wydrukowały tych przepisów, to zostaną one złagodzone i tak też się stało.

Jak Ksiądz Biskup ocenia postawę władz stanu wojennego wobec Kościoła?

Ówczesne władze nie chciały wojny na dwóch frontach i dlatego były względnie tolerancyjne wobec działań Kościoła. Jeszcze na początku stanu wojennego kontynuowaliśmy rozmowy na temat ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego. Strona rządowa zachowywała się tak, jakby nic się nie stało.

Jak szybko doszło do kontaktu z Ojcem Świętym i jaki był stosunek Jana Pawła II do stanu wojennego i postawy Kościoła wobec tego wydarzenia?

W pierwszych dniach mieliśmy olbrzymie problemy z komunikacją, nie było kontaktu telefonicznego ani radiowego. W związku z tym Ks. Prymas wydelegował abp Dąbrowskiego i ks. Jerzego Dąbrowskiego

(od marca 1982 roku biskupa), aby polecieli do Rzymu i złożyli bezpośrednią relację Ojcu Świętemu. Pamiętam, że polecieli 20 grudnia przez Frankfurt. Ojciec Święty był niezwykle zatroskany o losy Polski, czemu dał wyraz w swych przemówieniach od pierwszych chwil wprowadzenia stanu wojennego, niewątpliwie potwierdził on linię postępowania przyjętą przez władze Kościoła w Polsce – nie wolno dopuścić do przelewu bratniej krwi.

We wspomnianym komunikacie Rady Głównej z 15 grudnia Kościół upomniał się o przewodniczącego Solidarności. Czy w rozmowach z przedstawicielami rządu staraliście się dowiedzieć jaki jest los Lecha Wałęsy?

Lech Wałęsa był symbolem Solidarności. Jeszcze 13 grudnia pytaliśmy przedstawiciel rządu, gdzie jest pan Wałęsa. Najpierw tłumaczono nam, że jest w Gdańsku, potem że został przewieziony do Warszawy. Gdy mówili, że nie jest internowany żądaliśmy spotkania z nim Szarpaliśmy się tak kilka dni, aż wreszcie przyszła decyzja, że możemy we dwóch z abp Dąbrowskim udać się do Wałęsy. Jeden pułkownik zawiózł nas 15 lub 16 grudnia do Chyliczek, gdzie był on więziony. W następnych dniach, w niedzielę 20 grudnia, zezwolono mnie jako członkowi Komisji Wspólnej, udać się ponownie do miejsca internowania Wałęsy w Otwocku Wielkim. Potem zostałem oddelegowany do odwiedzania pana Wałęsy i czyniłem to jeszcze prawie w każdą niedzielę, jeśli przyjechał po mnie funkcjonariusz z ministerstwa spraw wewnętrznych.

W jakiej kondycji był Wałęsa w czasie tych pierwszych dni?

Gdy byliśmy u niego po raz pierwszy był bardzo oszołomiony całą sytuacją. Twierdzono, że nie chciał przyjąć Rakowskiego na rozmowę. On tłumaczył mi, że nie bardzo wiedział, z kim miał rozmawiać. W czasie kolejnego spotkania Wałęsa napisał list na papierowej serwetce, w którym deklarował, że jest gotowy wraz z Komisją Krajową Solidarności rozmawiać z władzami bez żadnych warunków wstępnych. Ja to przedstawiłem w styczniu na Komisji Wspólnej, ale odrzucono tę propozycję jako nieaktualną. Kościół od pierwszych chwil zabiegał o uwolnienie internowanych i zapewnienie im ludzkich warunków uwięzienia. To niewątpliwie był jeden z priorytetów. Od pierwszych

dni wszyscy biskupi domagali się dostępu do internowanych z posługą duszpasterską. Organizowali dla nich i ich rodzin pomoc materialną. Przecież wiele rodzin zostało bez żywiciela. Dla uwięzionych wizyta duchownego była olbrzymią pociechą. Biskupi doznawali nieraz ciężkich upokorzeń, czekali długie godziny na łaskę komendanta czy naczelnika więzienia, aby uzyskać pozwolenie na widzenie z internowanymi. Spotkania odbywały się w grupach, po 20, 30 osób. Były okazją, aby przekazać przez księży wiadomości do rodzin o ich losie. Stan wojenny zastał wielu Polaków za granicą. Nie chcieli oni wracać do Polski, a ich rodziny nie dostawały paszportu na wyjazd do nich. Wtedy zwracali się do sekretariatu Episkopatu o interwencję. Pamiętam, że abp Dąbrowski wraz ze mną, nigdy nie kontaktowaliśmy się z przedstawicielami władz pojedynczo, chodził do gen. Kiszczaka i wstawiał się za tymi ludźmi, często było to skuteczne. Później rozpowszechniły się wyjazdy do Rzymu, zdarzały się sytuacje, gdy wracał tylko kierowca pustym autobusem. Ludzie szukali azylu we Włoszech i innych krajach. Ich rodziny prosiły władze o zgodę na wyjazd w celu scalenia rodziny, a gdy jej nie otrzymywali zwracali się do Episkopatu o pomoc. Abp Dąbrowski często interweniował w sprawie ludzi zwalnianych z pracy, dokumentacja na ten temat znajduje się w książce Petera Rainy pt. „Troska Kościoła o internowanych".

W czasie stanu wojennego pod skrzydła Kościoła schroniło się wielu Polaków, także niewierzących. Jednak po odzyskaniu wolności duża część z nich zerwała związki z Kościołem, a nawet zaczęła go atakować. Czy czas stanu wojennego nie został zmarnowany pod względem duszpasterskim jako szansa otwierania ludzi na Chrystusa? A może ci ludzie traktowali Kościół instrumentalnie?

My podchodziliśmy do nich z pełnym zaufaniem. Sądziliśmy, że walcząc o te same wartości opieramy się na tych samych zasadach etycznych. Rok 1990 pokazał, że tak nie było. W 1989 roku, kiedy delegacja Solidarności wyjeżdżała z gmachu sekretariatu Episkopatu na spotkanie z rządem w Magdalence. Przechodziliśmy obok kaplicy, wszyscy poszli, uklękli i modlili się, Adam Michnik, Bronisław Geremek i inni. Do głowy nam nie przyszło, że za kilka miesięcy część

tych ludzi rozpęta w „Gazecie Wyborczej" wielką kampanię przeciwko wprowadzeniu religii do szkół, opowie się za zabijaniem nienarodzonych, czy będzie kontestować nauczanie Jana Pawła II w 1991 roku Według mnie, w czasach, gdy byli opozycją, chodzenie do kościoła było z ich strony pewną demonstracją. Później okazało się, że wielu z nich traktowało Kościół instrumentalnie, że kierują się innymi zasadami etycznymi niż my.

Czy mając dzisiejszą wiedzę ocenia Ksiądz Biskup, że Kościół przyjął słuszną strategię wobec stanu wojennego?

Według mnie słuszną. Kościół zrobił wówczas wszystko co było możliwie, każdy z biskupów i księży stanął na wysokości zadania[15].

Na zakończenie chciałbym przytoczyć świadectwo kleryka ołtarzewskiego, Józefa Targosza SAC, ukazujące już z perspektywy czasu, pierwsze dni wprowadzenia stanu wojennego.

„13 grudnia 1981 roku, niedziela. Dzień rozpoczął się tak, jak każda poprzednia niedziela w Seminarium, były modlitwy, następnie Eucharystia. Osobiście też nic nie wyczuwałem. Ale po zakończonej Mszy świętej obiegła nas zaskakująca i porażająca wiadomość: w Polsce ogłoszono stan wojenny! Początkowo nic nie mogłem zrozumieć. Rodziły się pytania: Jaki stan? Kto go ogłosił i przeciwko komu? Po śniadaniu poszedłem do sali zobaczyć, co pokazuje telewizja. Nie było żadnego programu, puszczana była tylko poważna muzyka i co pewien czas na ekranie pojawiał się generał Wojciech Jaruzelski ze swoim wystąpieniem, w którym czytał komunikat o zaistniałej sytuacji i o wprowadzeniu stanu wojennego.

Rozpoczął się nowy tydzień, wykłady. Dziwny czas... Na pozór wokoło nic się nie zmieniło. Tylko dzieci nie poszły do szkoły, bo w całej Polsce zajęcia szkolne zostały zawieszone aż do odwołania. Nie działały telefony. Był to może wtorek lub środa, dokładnie dzisiaj nie pamiętam, wróciłem z kolacji i wtedy usłyszałem dochodzący gdzieś

[15] Orszulik Alojzy, *Stan wojenny nie bronił niepodległości Polski, bronił socjalizmu*, wywiad Bogumiła Łozińskiego, „Wiadomości Prowincji Chrystusa Króla" 2001, nr 12, s. 58–63.

z oddali szum, może bardziej warkot. Przypominało mi to nalot samolotów. Taki stan trwał kilkanaście minut lub nieco dłużej. Wyczułem, że coś niedobrego się dzieje. Po pewnym czasie zobaczyłem z okna pokoju (z czwartego piętra) na ulicy Poznańskiej kawalkadę samochodów wojskowych, wozów pancernych i czołgów. Widok był przygnębiający.

W sutannie z kilkoma współbraćmi wybiegliśmy w stronę ulicy. Wieczór był bardzo mroźny. Żołnierze widząc nas, głosem przemarzniętym, krzycząc z samochodów, pytali, gdzie się znajdują i czy my wiemy, co się dzieje? Widziałem tragedię tych młodych chłopaków, którzy nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Tak dokonywała się pacyfikacja Warszawy i Ursusa.

Dni stanu wojennego to smutny czas. Ale zdarzały się też i chwile śmieszne i zabawne. Jak wspomniałem, wykłady w Seminarium odbywały się normalnym tokiem. Mamy właśnie wykład z Pisma Świętego z ks. prof. Józefem Lisiakiem. Ksiądz Profesor prowadzi wykład, przechadza się po sali, zbliżył się do okna i nagle słyszymy z jego ust: „O! Czołg przyjechał pod Seminarium". Oczywiście, wszyscy znaleźliśmy się przy oknie. Wkrótce sytuacja się wyjaśniła. Okazało się, że jeden z żołnierzy został zakwaterowany w Warszawie, a w Ołtarzewie był kleryk z jego rodzinnej miejscowości i korzystając ze sposobności, postanowił przyjechać do nas tym nietypowym pojazdem i odwiedzić swojego ziomka.

Minęło kilka kolejnych dni i „otrzymaliśmy" nowych sąsiadów. Za płotem w budynku szkoły podstawowej zakwaterowano kilkunastu żołnierzy ze swoim dowódcą. Wozami pancernymi, które stacjonowały na ulicy obok budynku szkoły, patrolowali okolicę. Mróz się potęgował, spadł śnieg. Szkoła nie była przystosowana, by mieszkali tam ludzie, była zimna i nie posiadała właściwego zaplecza kuchennego. Spotykaliśmy żołnierzy, którzy chodzili do pobliskiego sklepu po mleko. Niestety, pod wpływem mrozu, mleko zamarzało w butelkach i nie nadawało się do spożycia. Pewnego razu zanieśliśmy do budynku szkoły duży termos z gorącą herbatą. I znowu smutny to był widok, kiedy dwóch żołnierzy odniosło ten termos z nienaruszoną

zawartością herbaty, ze łzami w oczach stwierdzili, że taki był rozkaz dowódcy. Myślę, że zwyczajnie czegoś się obawiał. Ale sposób na dożywianie żołnierzy się znalazł. Zamiast w szkole, gorąca herbata była w refektarzu seminaryjnym, żołnierze mogli pojedynczo przychodzić do Seminarium i napić się czegoś ciepłego. Zawsze też kuchnia miała coś przygotowane dla nich do jedzenia. Chodząc na spacery zatrzymywaliśmy się przy szkole i odbywaliśmy długie pogawędki z żołnierzami, którzy krzątali się wokół wozów pancernych.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Byłem wtedy na drugim roku studiów i zwyczajem, który do dzisiaj obowiązuje, zostałem ze swoim kursem na przerwę świąteczną. Do końca nie było wiadomo, czy w tym roku ktokolwiek wyjedzie na Święta z Seminarium. Trwały przygotowania do Wigilii. Naszym gorącym pragnieniem było, aby Wieczerzę Wigilijną spożyć wspólnie z naszymi sąsiadami. Władze Seminarium były otwarte na przyjęcie gości. Żołnierze cieszyli się bardzo na myśl, że ta wyjątkowa chwila, niezależnie od stanu wojennego, a może tym bardziej, będzie przeżyta w atmosferze rodzinnej przyjaźni i w ludzkich warunkach. Niestety, racje stanu wojennego wzięły górę, usiedliśmy do stołu wigilijnego osobno, żołnierze zostali w budynku szkoły. Towarzyszyło nam jednak gorące pragnienie spotkania się z tymi ludźmi. Po zakończonej Wieczerzy udało nam się dostać do budynku szkoły. Tam, przy gitarze, usiedliśmy z żołnierzami, wspólnie śpiewaliśmy kolędy, były łzy w oczach. Dla tych młodych ludzi była to namiastka Bożego Narodzenia, bo o pójściu na Pasterkę też nie było mowy, chociaż bardzo tego pragnęli.

Po Nowym Roku miałem możliwość odwiedzić dom rodzinny. Udałem się do Urzędu Miasta i Gminy Ożarów Mazowiecki, aby otrzymać stosowny dokument, który zezwoli na zmianę miejsca zamieszkania. Jak pamiętam, problemu z otrzymaniem pozwolenia nie było. Mając dokument w ręku, drugiego stycznia pojechałem do rodzinnej Ponikwi koło Wadowic, wróciłem, zgodnie z przepustką, czwartego stycznia.

Najbardziej zapadły mi w pamięci pierwsze dni stanu wojennego, które pokrótce opisałem. Były też wyjazdy do Warszawy, kontrole

ZOMO na rogatkach Stolicy, przemycanie zakazanej literatury podziemnej, spotkania z ludźmi opozycji, których wcześniej bądź już w czasie stanu wojennego poznałem. Ale zawsze w sercu pozostawało pytanie, kiedy się to skończy? I czekałem..."[16].

[16] J. Targosz, *Stan wojenny*, „Nasz Prąd" 2007, nr 5, s. 18–19.

II DZIEŃ (7 SIERPNIA 2021 ROKU)

Krzysztof Durek

PRÓBY ZORGANIZOWANIA NIEZALEŻNEGO SAMORZĄDNEGO ZWIĄZKU FUNKCJONARIUSZY MILICJI OBYWATELSKIEJ

Szanowni państwo, postaram się krótko przedstawić historię pewnego meteoru, który przeleciał w 1981 roku po nieboskłonie ówczesnej Solidarności, czyli próby zorganizowania (bo do rejestracji nigdy nie

doszło) Niezależnego Samorządnego Związku Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej. Byłem uczestnikiem tego ruchu i w pewnym sensie rosłem w nim – z nic nie znaczącej osoby jakiegoś delegata zakończyłem jako jeden z przywódców i sekretarz Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego.

Pojawią się moje osobiste odniesienia, ale przede wszystkim postaram się zreferować samo wydarzenie. Dotychczas nikt nie napisał na ten temat żadnej poważnej pracy. Są to tylko prace natury wspomnieniowej osób z natury zaangażowanych. Przewód doktorski na Ignatianum w Krakowie pod kierunkiem prof. Filipa Nowaka, szefa krakowskiego IPN, otworzył stosunkowo młody, czterdziestoparoletni, a już emerytowany policjant, który do służby przystąpił w 1993 roku, więc jest nadzieja, że za kilka lat dowiemy się prawdy. Na razie proszę przyjąć mój punkt widzenia.

Organizatorzy ruchu związkowego nie mogli się odwoływać do żadnych tradycji, bo taka nie istniała. W okresie międzywojennym nie istniały związki zawodowe policjantów. Istniały w innych krajach i ustawa o policji państwowej z 24 lipca 1919 roku pozwalała za zgodą przełożonych przynależeć do organizacji społecznych, ale ponieważ policja była zorganizowana na wzór wojskowy, nigdy ze strony policjantów tego rodzaju inicjatywa nie wystąpiła. W PRL dekret powołujący Milicję Obywatelską w 1944 roku, wykluczył to, aby funkcjonariusze pozostający w stosunku służbowym mogli należeć do jakiejkolwiek organizacji i stowarzyszeń działających poza służbą. Dopiero zmiana ustawy, na co nikt nie zwrócił uwagi, nastąpiła 16 grudnia 1972 roku. Wtedy pozwolono, podobnie jak w okresie przedwojennym, funkcjonariuszom pełniącym służbę, za wiedzą przełożonych, przynależeć do organizacji. Ale też zaznaczono, że funkcjonariusz jest zobowiązany wykonywać zalecenia, rozkazy, polecenia i przestrzegać dyscypliny służbowej. Nikomu w PRL nie przyszedł do głowy pomysł o próbie założenia związków zawodowych.

Chciałbym pokazać sytuację i atmosferę, która spowodowała, że w ogóle można było mówić o prawie do związków. Po dojściu do władzy Edwarda Gierka, sytuacja w organach MO zaczęła się zmieniać.

Nastąpiła ogólna liberalizacja, reforma województw oraz zmiana ustawy o służbie. Ustawa o służbie z 1973 roku wprowadziła obowiązek wyższego wykształcenia dla oficerów oraz średniego dla podoficerów, co spowodowało, że część musiała odejść od służby, a część próbowała uzupełnić swoje wykształcenie. Wreszcie odstąpiono od klasowego naboru kadr. Do 1980 roku odsetek funkcjonariuszy pochodzenia inteligenckiego zwiększył się trzykrotnie z 6 procent do prawie 18 procent i kształtował się mniej więcej w ten sposób, że pochodzenie robotnicze deklarowało 56 procent, chłopskie 25 procent, inteligenckie 17,6 procent. W dekadzie lat 1971–1980 liczba oficerów z wyższym wykształceniem wzrosła z 14 procent do 67 procent, a podoficerów z wykształceniem średnim z 18 procent do 70 procent. To spowodowało, że nastąpiły zmiany w środowisku milicyjnym, szczególnie w miastach akademickich, bo nabór absolwentów powodował, że to byli ludzie już zupełnie inni. Ba! Wcześniejsze przepisy powodowały, że absolwentom w zasadzie nie opłacało się przychodzić do służby, bo szkoła oficerska była jednorodna. Trwała 5 lat i obojętnie, czy to był człowiek po maturze, czy absolwent wydziału prawa, musiał na 5 lat trafić do Szczytna, gdzie go formowano w warunkach koszarowych. Później skrócono to do 3 lat, co też było bardzo długo. Dopiero zmiany gierkowskie spowodowały, że wprowadzono szkoły oficerskie dla absolwentów wyższych uczelni, podobnie zresztą jak w wojsku (ci, którzy w tym czasie kończyli studia pamiętają, że trafialiśmy do SOR, gdzie po roku stawali się oficerami). Funkcjonariusze po części się zmienili, co nie znaczy, że stara kadra odeszła całkowicie, bo dalej pełniła funkcje kierownicze, ale już w komendach dzielnicowych, w wydziałach do walki z Przestępczością Gospodarczą (PG), dochodzeniowych byli absolwenci wyższych uczelni, którzy mieli kontakt z ludźmi z okresu studiów.

W momencie powstania Solidarności w 1980 roku, rozpoczęto przygotowywanie MO. Pierwsze nastąpiły jeszcze przed podpisaniem Porozumień Sierpniowych, kiedy wszystkie jednostki na terenie całego kraju zostały wprowadzone w stan alarmu z tej racji, że nie było wiadomo, jak się wszystko skończy. W Milicji Obywatelskiej istniała pamięć

o poprzednich wydarzeniach, tzn. o grudniu, za które MO ponosiła odpowiedzialność, choć brało w tym udział wojsko. Była pamięć o Radomiu, gdzie użyto tylko i wyłącznie MO do tłumienia rozruchów. Po powstaniu Solidarności, w czasie Karnawału Solidarności, zaczęła się zmieniać sytuacja wewnątrz resortu. Ludzie mieli już kontakt z tymi osobami, często rodzinny, kiedy żona lub ktoś inny należał do Solidarności. Proste indoktrynowanie, że to są elementy antysocjalistyczne nie dawało rezultatu.

Po ukończeniu studiów na wydziale prawa na Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1977 roku, rozpocząłem pracę w Wydziale Dochodzeniowym w Komendzie Dzielnicowej Kraków-Śródmieście. Startowałem jako referent dochodzeniowy, później awansowałem z posterunkowego na starszego posterunkowego. Prowadziłem postępowania przygotowawcze w tych drobniejszych i mniej ważnych sprawach, wyłączając zabójstwa, kradzieże, znęcania, pobicia itp. Kiedy wszedłem do służby, byłem czwartą osobą na 30, która była absolwentem wyższej uczelni. W ciągu 2 lat to się tak zmieniło. Odsetek osób z wyższym wykształceniem wzrósł do 60 procent – było 17 osób nowo przyjętych, a pozostali rozpoczęli studia zaoczne, więc też starali się rozwijać. Wydaje mi się, że wielkie wrażenie na milicji w Krakowie wywarła pielgrzymka Jana Pawła II. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy, jaki jest stopień samoorganizacji społeczeństwa. Był to 1979 rok, nawet pochody pierwszomajowe trzeba było obstawiać, żeby nie dochodziło do wybryków (ktoś popił, ktoś kogoś pobił itp.), a tu przez jedną noc wchodzi do Krakowa 1,5 mln ludzi. Oni się samoorganizują, bo milicji na Błoniach nie było, i nie dochodzi do żadnego incydentu. Nie ma przypadków losowych, zasłabnięć itp. To robiło ogromne wrażenie. Oglądaliśmy to po części od środka. Ta olbrzymia samodyscyplina i samoorganizacja społeczna do tej pory jest niewyobrażalna.

Problem w milicji zaczął narastać mniej więcej we wrześniu-październiku 1980 roku. Prawdopodobnie rozpoczęto już wtedy przygotowania do jakiegoś stanu wyjątkowego i wybrano formułę, która bardzo im zaszkodziła – rozmowy w jednostkach z całością osób pełniących służbę w postaci otwartych zebrań partyjnych. Wbrew pozorom

w dużych miastach to upartyjnienie nie było takie wysokie. Ja do końca nie należałem do PZPR i tam, gdzie pracowałem, mniej więcej 56–70 procent milicjantów należało do partii. Reszta była bezpartyjna. Nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Nakłaniano ludzi, żeby wstąpili, ale odpowiadali, że są jeszcze nie dojrzali i przechodzono nad tym do porządku dziennego. Inaczej to wyglądało w jednostkach organizacyjnych wyższego szczebla, np. w komendzie wojewódzkiej. Z resztą nawet i w komendzie dzielnicowej, gdybym chciał iść na szkołę oficerską, musiałbym się stać członkiem partii, bo innych nie posyłano. Słyszałem, ale nie znam przypadku, że jakiś sprytny kolega wstąpił do Zjednoczonego Stronnictwa Ludoweg (bo przecież zakazu nie było). ZSL interweniowało i natychmiast go wysłali na szkołę oficerską. Ale to był jeden jedyny taki przypadek i nikomu już się tego nie udało powtórzyć. Rozpoczęły się otwarte zebrania partyjne. Pamiętam, że spędzili nas na dużą salę. Jednostka, w której służyłem liczyła 350 osób. Przybył znany nam prokurator, instruktor, sekretarz Komitetu Wojewódzkiego i wystąpił z tezami należnymi w takiej sytuacji, że istnieje zagrożenie:

– „Zagrożony jest wasz byt i waszych rodzin. Być może będziecie się musieli na to przygotować i będziecie musieli strzelać w obronie własnej".

Dwa dni wcześniej przeżyłem pewnego rodzaju traumę. Zdawałem sobie sprawę z tego, gdzie służę. Mieliśmy pistolety P64 sześciostrzałowe. Wchodząc do pracy zawsze przechodziłem koło dyżurki, czyli koło zamkniętych, żelaznych drzwi, obitych blachą. Te drzwi były otwarte, w środku znajdowała się masa broni, wyglądającej jak demobil z II wojny światowej. Widać było stare pepesze i kałasznikowy, ale między nimi były erkaemy i ciężki karabin maszynowy. Jak zdałem sobie sprawę, że za chwilę ta broń może zostać użyta, zrobiło to na mnie wrażenie. Co innego strzelać do bandyty z pistoletu, a co innego użyć karabin maszynowy. Widziałem też osoby zastrzelone, ale to byli samobójcy. Odważyłem się i wystąpiłem:

– „My wcale nie czujemy się zagrożeni, a nie wiadomo, w którą stronę będziemy strzelać".

Zgodziłem się w duchu, że już popłynę. Tymczasem stała się rzecz dziwna, jakby nastąpiło pęknięcie i to wśród milicjantów starszych wiekiem, z których znaczna część to byli chłopomilicjanci. Ulały im się ich własne żale. Chłopomilicjanci służyli najczęściej w kompanii patrolowej. Cierpieli z tego powodu, że z całej rodziny było trzech synów: jeden poszedł do wojska, drugi do straży pożarnej, trzeci do milicji. Wszyscy byli ludźmi wierzącymi. Ten w straży pożarnej stał przy Grobie Pańskim, wieś go czciła i honorowała. A temu nie wolno było nawet iść do kościoła, bo zaraz był wzywany na rozmowę i dostawał służby. Wbrew pozorom wśród tych prostych milicjantów był problem. Kolejny problem był taki, że prawo było równe, ale nie dla wszystkich jednakowo. Jeżeli któryś był po wielokroć nagradzany za to, że zatrzymał wywrotkę z materiałami budowlanymi, to uważał, że tak powinno być, ale miał pecha i zatrzymał wywrotkę należącą do sekretarza Komitetu Wojewódzkiego. Tu, o dziwo, nie nagrodzono go, tylko ściągnięto do kompanii patrolowej. W każdym razie skończyło się na użalaniach na praworządność itp. Niektórzy pamiętali jeszcze czasy interwencji w sprawie krzyża nowohuckiego. Pojawiło się pierwsze hasło, że partia nie może rozwiązywać problemów społecznych za pomocą milicji.

Mniej więcej na wiosnę 1981 roku zacząłem się dowiadywać, że milicjanci z Nowej Huty (którzy mieli najbliższy kontakt z robotnikami, jeden z sekretariatu mieścił się prawie na terenie Nowej Huty) organizują się w jakąś formułę związków zawodowych. Coś przygotowują. Dalej jednak na ten temat było cicho. Raptem dostajemy informację, że milicja ma się przygotować w ramach operacji „Lato" do ćwiczeń alarmowych. Zaczęli umacniać budynki, zapoznawać nas z planami obrony, wyznaczać stanowiska ogniowe, wydobywano broń palną. Uzasadniano to wtedy zagrożeniem ze strony Solidarności, która miałaby się szykować na atak na jednostki MO, ale również na funkcjonariuszy i ich rodziny. Ludzie tego nie zaakceptowali. Z tego, co zdołałem ustalić, pierwsze zebrania, na których milicjanci postanowili się zorganizować, zaczęły się wiosną 1981 roku.

Jak to czasami bywa, stało się to pod wpływem wydarzenia w jednej z komend na Śląsku, bodajże w Szopienicach, gdzie dzielnicowi

zatrzymali górnika pracującego w hotelu robotniczym, sprowadzili do aresztu i pobili go na śmierć. Solidarność zareagowała, zażądała podjęcia czynności w tej sprawie i ci milicjanci zostali aresztowani. Reszta poczuła się zagrożona i odbyło się spotkanie. Zjechali się milicjanci z wielu jednostek z kraju, głównie z południa i postanowili powołać ruch związkowy w obronie swoich interesów. Był marzec 1981 roku.

Drugim impulsem do wprowadzenia próby organizacyjnej był tzw. ruch partyjnych „poziomek". Upartyjnienie było dość wysokie, więc pojawiła się odmiana „poziomek" milicyjnych, m.in. w Bydgoszczy, w Łodzi (gdzie jeden z przyszłych organizatorów związków zawodowych pełnił bardzo wysoką funkcję członka komisji rewizyjnej Komitetu Wojewódzkiego partii). To był młody oficer. Kiedy wszystkich nas zwalniali, jego nie mogli zwolnić z przyczyn proceduralnych i on jeszcze w naszych protestach brał udział w mundurze.

Z początkiem maja 1981 roku poinformowano mnie, pracującego w gabinecie, że będzie zebranie partyjne i że muszę na nim być. Otwarte zebrania partyjne nie odbywały się częściej niż raz na 2 lata. Poprzednie było we wrześniu 1980 roku, więc krótko wcześniej. Zaszedłem na miejsce. Wszyscy już się zebrali. Okazało się, że na apel kolegów z Nowej Huty, chcą wybrać delegatów na zjazd założycielski związków zawodowych w sposób formalny, zorganizowany. Ma być 5 delegatów. Pasowałoby opracować jakieś postulaty. Jako prawnik miałem łatwość formułowania na piśmie oczekiwań od osób, które się tam zebrały. Pomogłem im spisać te postulaty. Pierwszy postulat zaczynał się od słowa: „Żądamy niewykorzystywania milicji do rozwiązywania konfliktów społecznych", za którym szły dalsze oczekiwania z socjalnymi włącznie. Wszystko działo się na wzór postulatów ze Stoczni Gdańskiej. Mając 3 lata i 6 miesięcy służby zostałem wybrany przez starszą kadrę jako jeden z pięciu delegatów na zjazd wojewódzki.

Po tygodniu pojechaliśmy do Nowej Huty. Nie było jasne, czy ten zjazd jest akceptowany przez kierownictwo służbowe, czy nie. Ale obywał się pod egidą komitetu zakładowego partii. Wtedy się okazało, że województwo jest świetnie zorganizowane, bo na zjeździe są delegaci z wszystkich jednostek. Formalnie wybrani, z listami obecności, ilością

zebranych głosów, mandatami. Dokumentacyjnie wyglądało to w ten sposób, że była to reprezentacja całego garnizonu krakowskiego. Jak się o tym dowiedział Komendant Wojewódzki, przybył na miejsce i zjazd toczył się dalej za aprobatą przełożonych. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy o tym (dowiedziałem się dopiero po 30 latach z archiwów), że zrobił się bardzo poważny problem w skali kraju, który był dyskutowany w Komitecie Wojewódzkim partii w Krakowie. Tam były też osoby o zapędach reformatorskich, a poza tym cała Polska czytała słynną „Gazetę Krakowską", której naczelny był członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego. Zaowocowało to tym, że do Krakowa przybył ówczesny Minister Spraw Wewnętrznych Generał Pożoga – bardzo wysokiej rangi i do specjalnych poruczeń. Teraz dopiero okazuje się, bo są protokoły wskazujące na to, że doszło do bardzo poważnego sporu. Komitet Wojewódzki zaakceptował tę inicjatywę partyjnych milicjantów krakowskich, podczas gdy Pożoga żądał rozpędzenia go i likwidacji.

W Warszawie w sposób zorganizowany wybrano władze, 17 osób z terenu województwa z różnych jednostek. Przewagę mieli milicjanci ze służby patrolowej i służby prewencji, a więc nie z tych intelektualnych wydziałów. Mieliśmy poczucie – na czym się przejechaliśmy – że na przewodniczącego trzeba wybrać człowieka z ludu. Został wybrany sierżant z kompanii patrolowej z Nowej Huty. Ale w tej grupie 17 osób większość stanowili absolwenci studiów dziennych, nawet było 2 oficerów, którzy ukończyli Akademię Ekonomiczną (jeden z nich był asystentem, a drugi jego uczniem). Było też kilku prawników i 3 oficerów z dłuższym stażem służby, około 20 lat – w kategorii „upadłych naczelników". Jeden z nich (kpt. Edward Szybka) pełnił funkcję zastępcy Naczelnika Wydziału Komendy Wojewódzkiej i był odpowiedzialny za odbiór żony Edwarda Gierka z lotniska, ale spóźnili się 5 minut, za co został odwołany i skierowany jako inspektor do spraw nieletnich do jakiejś jednostki. On był bardzo cenny, bo ja, będąc nikim, tj. referentem dochodzeniowym, starszym szeregowym, nie miałem zielonego pojęcia, jak ta instytucja tak naprawdę działa. Miałem trochę doświadczenia i kontaktów, bo mieszkałem w hotelu milicyjnym i miałem kontakt z bardzo różnymi ludźmi różnych jednostek.

Zaczęliśmy się organizować. Praca u podstaw, postulaty, świadczenia socjalne... Przynależność do tych wszystkich organizacji spowodowała, że staliśmy się partnerem dla komendanta. W pewnym momencie usiłowano przerwać kontakt między województwami i wstrzymano wszystkie przesyłane przez nas informacje. Ale ponieważ przynależał do nas również wydział łączności, natychmiast te informacje były radiowozami przerzucane na taśmy perforowane do granicy województwa. Z granicy odbierało tamto województwo. Poczuliśmy siłę, bo przeszło 60 procent zadeklarowało gotowość do przystąpienia do związku. Część nawet zapłaciła składki i milicjanci nie tylko wykonywali rozkazy komendanta, ale również ustalenia Komitetu Założycielskiego, co dawało nam pewną siłę.

Wtedy otrzymaliśmy 2 komunikaty, że szykuje się ogólnopolski zjazd założycielski związków zawodowych. Jeden – 1 czerwca w Warszawie, a drugi – 1 czerwca w Katowicach. Ponieważ nie mieliśmy jasności, który z nich jest Komitetem realnym, a który próbą rozłamu, nasz Komitet ustalił, że do Katowic pojadę ja z kolegą jako delegaci naszego województwa, a trzyosobowa delegacja bardziej doświadczonych funkcjonariuszy wyjedzie do Warszawy.

Moja przygoda w Katowicach napełniła mnie butą. W wyznaczonym terminie wsiedliśmy do pociągu, przyjechaliśmy. Jako miejsce zjazdu założycielskiego ustalono jednostkę PO-ZOMO – bo tak się to nazywało – w Katowicach. Problem polegał na tym, że te jednostki tworzyli ci milicjanci, którzy odsługiwali służbę wojskową. One nie podlegały nawet komendantowi wojewódzkiemu, tylko bezpośrednio ministrowi spraw wewnętrznych. Były traktowane w trybie wojskowym. Wejście tam wydawało mi się mało prawdopodobne. W owym czasie zastępcą komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach był płk Marian Okrutny. Pułkownik stanął przed tym garnizonem, w którym było przeszło 2,5 tys. młodych ludzi z PO-ZOMO, mówiąc, że on nie wyraża zgody. Odpowiedziałem, że sprawa nie podlega negocjacjom i oczywiście idziemy. Nie weszlibyśmy, gdyby nie to, że tamci się zbuntowali, otworzyli bramę, mówiąc, że nas zapraszają i odstępują nam swój obiad, byśmy mogli spokojnie przeprowadzić obrady. Tak zebrało się 168 delegatów.

Obrady były gorące. Ustalono, że zakładamy związki i nie pozwolimy się wykorzystywać do tłumienia konfliktów społecznych. Ja byłem przewodniczącym tych obrad i na szczęście zachowało się nagranie magnetofonowe z tego zjazdu. Różni ludzie to nagrywali, my nie stosowaliśmy technik audiowizualnych, tylko dokumentowaliśmy na piśmie. Oczywiście SB to stosowała...

Ja jeszcze wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że agenci SB znajdują się również wśród milicjantów. Tak, jak było ograniczenie, co do możliwości werbunku w stosunku do członków partii, to wydawało mi się w ogóle niepotrzebne, aby werbować milicjanta, bo my z urzędu mieliśmy obowiązek współpracy. Najczęściej byli to agenci bezpieki, którzy gdzieś służyli jako studenci, a potem podejmowali pracę w milicji. Oni ich formalnie wyrejestrowywali, ale dalej utrzymywali z nimi kontakt.

Co innego oburzyło mnie już w wolnej Polsce. W komunie trzymali ich za pysk i żaden kapuś nie awansował powyżej kapitana. Taka była zasada. Choćby nie wiem jak się starał, w papierach był maksimum kapitanem na stanowisku kierownika sekcji. Nie został nawet zastępcą naczelnika. I dopiero gdy po PRL nastała wolna Polska, bardzo wielu z nich zrobiło błyskotliwe kariery. Tak to jest, kiedy upada jedna kultura, a druga nie wypracuje jeszcze modeli, które umożliwiłyby blokowanie pewnych rzeczy.

Zjazd w Katowicach zakończył się sukcesem, aplauzem. Uchwaliliśmy założenie związków, postulaty i rejestracje. Ale zrobiliśmy to warunkowo – jeżeli zjazd warszawski nie wyjdzie. Moim przewodniczącym był Florek Widera (powstała bardzo mocna organizacja w Dąbrowie Górniczej. Ówczesny komendant wyleciał, bo w czasie akcji protestacyjnej budynek komendy był najbardziej oklejony transparentami i hasłami protestu). Rozmawiałem kiedyś z Florkiem, jakimi byliśmy nieudacznikami, jeśli chodzi o zasoby archiwalne bezpieki. Zasoby archiwalne bezpieki Huty Katowice zostały przecież w tej komendzie. Florek wyznał, że gdyby to wiedział, wszystko by zabezpieczył.

Uzyskujemy informację, że odbywa się zjazd w Warszawie. Komenda Główna i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nawiązały kontakt

ze związkowcami w Warszawie i zaproponowało im rozmowy. Rozwiązaliśmy zjazd katowicki i delegacja udała się na zjazd warszawski. Zajechałem do Warszawy po godzinie 1.00. Oni byli już po podstawowych obradach, to znaczy wybrali władze, uchwalili powołanie związku, konieczność rejestracji, Komitet Założycielski. Byli po pierwszych rozmowach z komisją rządową. Z tego, co mi opowiadano, osobiście przyjechał Komendant Główny i kilku dyrektorów Departamentu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ten zjazd odbywał się w hali garażowej Batalionu Patrolowego. Oni wchodzili po tym podjeździe, gdzie wjeżdżają samochody. Pech chciał, że akurat przemawiający kolejny delegat – a delegaci milicyjni nie byli inni niż delegaci Solidarności i też mówili w sposób porywający – akurat ryczał: – „Dłużej nie damy się manipulować i rządzić tym leśnym dziadkom!". W tym momencie oni wchodzą. – „...I nie pozwolimy, żeby wysyłano przeciw nam…". Podobno delegacja zawróciła z powrotem. Przysłano delegata. Było już po 2 rozmowach. Byli z delegacją przedstawiciele tego komitetu, do którego ja zostałem dołączony jako delegat katowicki. Ale te rozmowy jeszcze nie dały rezultatu.

Działy się wtedy już różne dziwne rzeczy, m.in. padło hasło: „Skoro z nami nie rozmawiają, idziemy na Belweder"! Zastanawiałem się, jak gruba to była prowokacja. Było tam ok. 800 milicjantów i być może 200 sztuk broni P64, bo niektórzy przyjechali ze służby. Wyprowadzenie tego na ulice i próba marszu na Belweder z czterema karabinami maszynowymi, jedną tankietką, to byłaby nieprawdopodobna afera. Ja się wtedy sprzeciwiłem temu pomysłowi, który na szczęście nie był forsowany większością głosów.

Jednostkę zaczęły natomiast mocno oblegać media, głównie międzynarodowe. Ale ktoś wpadł na pomysł, że dopóki nie rozmawiają z nami, my też nie będziemy się pokazywać, bo już te delegacje jeżdżące straszono (być może słusznie), że Związek Radziecki nigdy się na coś takiego nie zgodzi, bo w żadnym „demoludzie" nigdy do takiej sytuacji nie doszło.

Przypominało to trochę sytuację z Pragi z 1944 roku, kiedy wojska amerykańskie, które wyzwalały Pragę czeską, dostały pomoc od

czeskich policjantów w służbie niemieckiej, którzy posiadali broń, zbuntowali się i rozwalili Niemców od środka.

Wtedy też po raz pierwszy usłyszałem nazwisko – jeszcze całkiem nieznane – Ministra Spraw Wewnętrznych Milewskiego. Nastąpiła zmiana po Kowalczyku – sekretarzu partii. A to był stary ubek, co to zaczynał karierę od obierania ziemniaków przy jednostkach NKWD, znany jako twardogłowy. Ja w Krakowie za bardzo o nim nie słyszałem, bo on był od Służby Bezpieczeństwa, ale ci z dłuższym stażem już coś o nim wiedzieli.

Dowiedzieliśmy się, że zostaną podjęte z nami rozmowy. Zostaliśmy zaproszeni na rozmowy rano na godzinę 9.00 na ul. Oczki, gdzie mieścił się Zarząd II Kontrwywiadu Wojskowego, ponieważ miała z nami rozmawiać komisja parlamentarno-rządowa. Przewodniczącym Komisji był wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Ładu i Praworządności gen. Czesław Kiszczak.

Wytrwaliśmy do rana bez jedzenia i picia. Miałem pieniądze związkowe, bo zebraliśmy składki. Rano poszliśmy na Dworzec Centralny na jajecznicę, skąd pomaszerowaliśmy na Oczki.

Zastanawialiśmy się, czemu nas tam w ogóle wpuszczają, bo był to obiekt objęty systemem tajemnicy. Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Widocznie zaczęła się już wtedy gra pozbywania się Milewskiego i wprowadzenia Kiszczaka. Publicznie pierwszy raz padło wtedy nazwisko Kiszczaka.

Mieliśmy 7-osobową delegację, ja byłem sekretarzem tej delegacji i miałem sporządzać dokumenty. Przewodniczącym był porucznik, też prawnik z Warszawy Wiktor Mikusiński. Jego zastępcą był kpt. Edward Szybka, z wykształcenia pedagog z Krakowa i 2 oficerów: Leszek Marcinek z Krakowa – prawnik zaoczny i Julian Sekuła z Lublina, który potem blisko współpracował z lubelską KPN. Był plutonowy Żmudziak i ja o najbardziej nikczemnym stopniu starszego szeregowego, co burzyło pewną hierarchię, bo np. sekretarka była w stopniu majora.

Siadamy przy prostokątnym, długim stole. Wchodzi minister Kiszczak (którego nazwisko pierwszy raz w życiu usłyszałem, podobnie

jak wielu Polaków) i jego delegacja, składająca się z: wiceministra sprawiedliwości Tadeusza Skóry, wiceprokuratora generalnego Żyty, Komendanta Głównego MO Stanisława Zaczkowskiego, Dyrektora Departamentu III Ministerstwa Spraw Wewnętrznych generała Ciastonia i Komendanta Wojewódzkiego MO Ćwieka, który potem został szefem Głównego Urzędu Ceł i to on był najbardziej pryncypialny.

Zaczynamy być poważnie traktowani. Komisja wysłuchuje naszych postulatów. Jedne uznają za słuszne, inne mniej. Spór zaczyna się od jednego i to jest warunek brzegowy: nie może powstać struktura o nazwie związki. Z tego jeszcze byliśmy skłonni ustąpić. Miały być rady milicyjne. Po drugie chcieliśmy struktury ogólnokrajowej, od posterunku komisariatu po komendę główną. Tymczasem oni nauczeni doświadczeniem Solidarności powiedzieli, że to absolutnie nie wchodzi w rachubę i można tylko do szczebla komendy wojewódzkiej, bardzo proszę i wszystkie wasze postulatu realizujemy. Zaczęły się rozmowy, przepychanki. Kiszczak prowadził to w bardzo surowy sposób, ale w naszym odczuciu uczciwy. Agresywny w stosunku do nas był komendant stołeczny. W przerwie w kuluarach mówił do nas, że powinno się nas pozamykać, straszył, że nas wywiozą itp. Zarówno Kiszczak, Ciastoń, jak i obaj ministrowie zachowywali się w sposób przyzwoity i kompetentny.

W trakcie rozmów wyszedł problem, że poza wspomnianą jajecznicą od 2 dni nic nie jedliśmy. Kiszczak zaordynował przerwę i żołnierski obiad, odbyło się typowe skracanie dystansu. Kiedy chciałem zadzwonić do żony do Krakowa, Kiszczak zaprowadził mnie do własnego gabinetu i osobiście połączył mnie z zakładem pracy, gdzie żona była referentem. Te drobne przysługi wytworzyły więź i szacunek.

Niestety miałem przygodę innego rodzaju, co też mi zostało wybaczone. Było to związane z generałem Zaczkowskim – potężnym, wysokim chłopem z kryminalnej, który występuje w filmie „Rozmowy kontrolowane"; potem trafił jako ambasador do Mongolii, gdzie wywołał skandal, gdyż polecił zastrzelić psa, który mu wył pod oknem – niestety okazało się, że to był święty pies dla Mongołów. Ponieważ mi, jako sekretarzowi, przypadło przeczytanie tych postulatów, z których

każdy zaczynał się od słowa „żądamy", więc zacząłem odczytywać z dykcją i emfazą. On nie wytrzymał. Kiedy poszedłem do toalety, on bez pardonu wpadł za mną, w generalskim mundurze i zaczął się na mnie drzeć:

– Towarzyszu Durek, tylko nie: „żądamy!".

Z zimnym, oszczędnym spokojem, a może trochę z głupotą odparłem:

– Bardzo pana przepraszam, ale po pierwsze nie towarzyszu, bo jestem bezpartyjny, po drugie nie zwykłem prowadzić rozmów oddając mocz.

Patrzę, a facet się osuwa. Zabrała go karetka na sygnale. Na następne spotkanie przyszedł jego zastępca. Bardzo to mądrze wymyślili, bo to był facet po doktoracie. Nas było trzech z delegacji z Krakowa. On mnie nie znał, bo byłem za nisko, ale dwaj koledzy byli wyżej w hierarchii i znał ich, a on był zastępcą komendanta wojewódzkiego w Krakowie. Mieli już miękkie miejsce. Pierwsze rozmowy zakończyły się podpisaniem wspólnego komunikatu, w którym przyjęliśmy do wiadomości, że oni się nie zgadzają na powołanie związków, tylko mają być rady i do szczebla komendy wojewódzkiej. My byliśmy reprezentantami opcji związkowej.

Termin następnego spotkania przełożono na czwartego lub piątego. Byliśmy więc traktowani poważnie. Wtedy zaczęły się pierwsze przecieki prasowe. Zaczęło być o nas głośno. Wróciliśmy do jednostek. Zdali relacje, zaczęli udawać, że pracujemy, bo zobowiązaliśmy się wykonywać dalej czynności służbowe. Ja wykonywałem 70 postępowań kwartalnie. Wiadomo, że koledzy podzielili się moją robotą, ale co przyjechałem, to coś trzeba było odrobić.

Wpadliśmy wtedy na pomysł, może nieco dziwny, ale wynikał z zapału młodości. Podjęliśmy uchwałę, że my, członkowie Komitetu Założycielskiego, żeby być *au courant*, nie działamy we własnym interesie i nie będziemy pełnić żadnych funkcji w przyszłych związkach, jeżeli takie powstaną. To się potem odbiło, bo spowodowało, że część w ogóle zaprzestała działalności. Na zasadzie: skoro nic mi to nie da, po co się będę narażał? Zdaję sobie sprawę, że z naszej strony to był błąd.

Mieliśmy już rozeznanie, na ile jesteśmy mocni, więc ruch związkowy wystąpił w 40 garnizonach (na 49) i objął 439 jednostek, w 15 komendach wojewódzkich (mam na myśli jednostkę, nie komendę wojewódzką jako województwo, tylko komendę wojewódzką jako organ tejże), w 89 komendach miejskich, w 18 komendach dzielnicowych, w 146 komisariatach, w 37 komisariatach specjalistycznych, w 104 posterunkach, w 17 jednostkach ZOMO i w 4 jednostkach szkoleniowych. Najbardziej zaangażowane były załogi średniego szczebla, czyli komend miejskich i dzielnicowych (gdzie wstąpienie do związku deklarowało 55 procent załogi) oraz komisariatów (40 procent). O dziwo, wysoki stopień w owym czasie był w jednostkach ZOMO – 30 procent.

Pierwszy postulat: rozdzielenie milicji od bezpieki. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa na nasz zjazd przysłali delegację do Krakowa. To było raczej naturalne, nie wynikało z niechęci do nich, tylko oni po prostu mieli prawo wydawania poleceń. Oprócz własnej roboty, musiałeś jeszcze coś robić dla bezpieki, bo zlecili. To był odruch obronny.

Podobno w bezpiece też pojawił się postulat organizacji związkowej, ale chyba trochę źle zaczęli, bo jednym z pierwszych postulatów było to, żeby przestał obowiązywać przepis wewnętrzny, że na zwerbowanie członka partii trzeba mieć zgodę komitetu. To było duże utrudnienie w ich pracy przy tym masowym upartyjnieniu. Najczęściej omijali to w stosunku do zwykłych ludzi w ten sposób, że nie przypisywali im przynależności do PZPR, ale jak się ujawniło, to mieli kłopoty.

Już wtedy czuliśmy się obserwowani przez Służbę Bezpieczeństwa i dla związkowców SB to był wróg. Było to jasne i zrozumiałe, bo było to narzędzie powołane do tych celów. Nie wpadliśmy na to, że oni użyją przeciwko nam wojskówki, co byłoby dużo prostsze i bezpieczniejsze, bo oni byli dla nas nierozpoznawalni. Bezpieczniaków znaliśmy ze wspólnej stołówki.

Na zachowanych dokumentach komitetów założycielskich widnieją podpisy 7602 milicjantów z imienia i nazwiska, a deklaracje

przystąpienia złożyło około 30–40 tysięcy osób. Ale to była deklaracja. Dalej wydawało się nam, że jesteśmy silni. Oceniliśmy, że było około 800 aktywnych działaczy. MSW oceniało ich liczbę na około 400–500 osób.

A oto charakterystyczne postulaty.

„Uchwała delegatów krakowskich z 28 maja. Wydarzenia 1956–1958, 1970. dochodziło do konfliktów społecznych, w których Milicja Obywatelska była używana do tłumienia słusznych wystąpień narodu przeciwstawiającego się narastającym deformacjom. Występowanie przeciwko społeczeństwu, dla ochrony interesów którego zostaliśmy powołani, stanowi dramat dla nas samych".

Ocena związku zawodowego: „Uchwała. Związek włączy się czynnie w nurt posierpniowej odnowy, podejmuje inicjatywy zmierzające do poprawy ładu, porządku, bezpieczeństwa publicznego".

Po zarejestrowaniu Solidarności władza stała się bardzo ostrożna w powoływaniu normalnych związków. Związki mieli już rolnicy. My liczyliśmy na kontynuację rozmów, które odbyły się 4 czerwca na ul. Oczki. Tym razem atmosfera była już dużo bardziej surowa. Zaczęło się od tego, że generał Beim, który zastąpił Zaczkowskiego, odczytał nam list od towarzyszy radzieckich, ostrzegając, że nasze działanie może spowodować, że będziemy mieli krew ludzi na rękach, jeśli z naszej przyczyny wjadą do Polski czołgi radzieckie. My jednak nadal upieraliśmy się przy swoim. Rozmowy toczyły się dalej. Po 3 godzinach Kiszczak opuścił rozmowy i faktycznie pojawiła się radziecka delegacja: jeden radziecki generał wyższej rangi, dwóch niższej rangi, pięciu pułkowników. Wprowadził ich do gabinetu. Teoretycznie nie ma to żadnego związku z nami, bo on wykonywał zupełnie inne czynności, ale kolejne pokazanie listu i obecność tych generałów spowodowało, że zaczęliśmy odczuwać dyskomfort. Ponieważ zostaliśmy zobowiązani do tego, żeby nie ustąpić i żeby wyegzekwować związki o szczeblu ogólnokrajowym, nastąpiła przepychanka.

Po tej przerwie z generałami ja z kolei zobaczyłem ludzką twarz generała Kiszczaka. To był przypadek. Wpada osiemnastolatka w zwiewnej sukience. On wychodzi, a ona go zaczyna tak opieprzać na tym

korytarzu przy mnie, jak każdego z nas córka by opieprzyła. Ona była przed jakąś uroczystością maturalną, a on miał jej kupić sukienkę, ale nie kupił.

– Obiecałeś! – krzyczała.

On się jej tłumaczył za zamkniętymi drzwiami. Widzisz sfinksa z betonu, który okazuje się być też człowiekiem. I zaczynasz go inaczej odbierać.

Te rozmowy skończyły się niczym i kolejny zjazd delegatów do Warszawy zwołaliśmy na 8 czerwca, żeby delegaci podjęli decyzję, czy godzimy się na te warunki rządowe, czy nie.

W międzyczasie pierwszy raz w życiu byłem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji na ul. Rakowieckiej, ponieważ przygotowywaliśmy projekt statutu związków zawodowych. Razem z delegacją Departamentu Prawnego zostaliśmy przyjęci, ale tylko w sekretariacie ministra Milewskiego. Charakterystyczne, że drzwi się otwarły dla karłów w służbie. On miał niesamowicie długie podłużne biurko, co najmniej długości obszernego pomieszczenia, do przyjmowania gości, a swoje stanowisko na podwyższeniu. Jako facet sporo niski, podczas spotkania górował nad resztą. Nie zostałem dopuszczony do konfidencji. Postaliśmy tam około godziny, dostaliśmy pokreślone dokumenty z jego własnymi adnotacjami i podpisami. O tyle się potem to przydało, że jak oglądałem w IPN dyspozycje odnośnie mojej osoby, to było napisane tą samą ręką i rozpoznałem ten sam charakter pisma. Prawdopodobnie ministerstwo do tej pory prowadziło z nami rozmowy, policzyło siły.

Na zjazd przygotowaliśmy statut do zarejestrowania. W międzyczasie zmienił się u nas przewodniczący. I dokładnie na termin zjazdu 8–9 Komenda Główna ogłosiła stan podniesionej gotowości. Miało być dziewiątego, a oni ogłosili ósmego. Stan podniesionej gotowości oznacza, że wszyscy milicjanci muszą być do dyspozycji w miejscu zamieszkania albo w miejscu pracy. Automatycznie ci, którzy by przyjechali, złamali dyscyplinę służbową.

Zaczyna się dzień zjazdu. Jednostki się zjeżdżają i pojawia się hamletowskie pytanie: „Co robić"? Zaczkowski był chory, więc nasza delegacja

postanowiła dogadać się tylko z Komendą Główną. Jednak na wiadomość, że grozi za to wydalenie ze służby, część zniknęła, zwłaszcza ci z Warszawy. Wybrano mnie i porucznika Marcinka. W Komendzie Głównej przyjął nas generał Beim. Zapewnił, że rozumie, jaka jest sytuacja itp. Mówimy:

– Generale, ogłosiliście ten stan ósmego o 8.00 rano. Część ludzi, chcąc tu dojechać wcześniej i nawiązać kontakt, już była w pociągach, bo np. z Jeleniej Góry jechało się 14 godzin.

On niby się zgodził z porucznikiem Marcinkiem (z którym się znali), zawarli oficerską umowę, że my odwołujemy ten zjazd jako formalny, ale osoby, które tam przybędą nie będą pociągane do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Został podpisany stosowny dokument o odwołaniu zjazdu w tym terminie. Wtedy właśnie sekretariat nie mógł się pogodzić, że jestem starszym szeregowym, bo na dokumencie widnieję jako sierżant. Stało się to później przedmiotem domysłów i manipulacji, że mnie awansowali od razu o 5 stopni itp. Ale ja nie byłem sierżantem...

Wróciliśmy nieco zdesperowani, podjęliśmy decyzje, że nie prowadzimy dalszych rozmów, rejestrujemy związki. Mieliśmy przygotowany statut. Okazało się, że nie mamy dostatecznej liczby ludzi do zebrania podpisów, to znaczy zebranych podpisów spośród członków władz związku. Część nie dojechała. W 48 godzin objechaliśmy fiatem całą Polskę wzdłuż i wszerz, zebraliśmy podpisy, złożyliśmy statut i udaliśmy się do swoich własnych jednostek. W międzyczasie składaliśmy protesty do profesora Szczepańskiego, do Sejmu, podejmowaliśmy różne próby wywierania nacisku. Niektórzy proponowali, żeby się zwrócić do Solidarności, ale z badań sondażowych wynikało, że ta współpraca, która jest, czyli Huta im. Lenina na poziomie KRH (Komisja Robotnicza Hutników), na tym etapie jest absolutnie wystarczająca i o żadnych kontaktach wyżej nie może być mowy.

Wróciliśmy do swoich jednostek. Podjęto decyzję o akcji protestacyjnej przeciwko braku zgody na rejestrację związków, w postaci założenia opasek. Ta akcja się odbyła i to też pozwoliło policzyć, ilu te opaski założyło. Okazało się, że mniej więcej połowa, więc poczuli się bezpieczniejsi.

W pewnym momencie ktoś podjął decyzję o zwolnieniach, dla dobra służby (nie dyscyplinarnie). Był taki artykuł, który dawał prawo ministrowi bez uzasadnienia zwolnić najbardziej aktywnych działaczy na rzecz związku, dla dobra służby.

Ja również zostałem „uhonorowany". Naczelnik wysłał mnie na jakieś oględziny powieszonego w zakładzie karnym na Montelupich. Kiedy pojechałem na miejsce, okazało się, że nie ma żadnego powieszonego, gdyż od razu go odratowali. Takie rzeczy się zdarzały. Zaczęło się siedzenie, gadanie, spisywanie dokumentów. Przyjechał po mnie zastępca komendanta. Zrobiło się już ciemno. Wieczorem około godziny 22.00 ja i pięciu innych działaczy związkowych spotkaliśmy się przed drzwiami gabinetu komendanta wojewódzkiego. Okazało się, że przyjechała delegacja rządowa z ministrem Pożogą, generałem Bonifacym Jedynakiem (ten, który dwadzieścia parę lat wcześniej osławił się przywleczeniem do Wrocławia czarnej ospy) i przedstawicielami kadr. Po kolei zaczęli nas wzywać po dwóch na rozmowy, żądając złożenia deklaracji. Sam Bonifacy Jedynak z Departamentu Kadr z nami rozmawiał. Bo zazwyczaj ze mną rozmawiał zastępca naczelnika dzielnicy, bo Komendanta Wojewódzkiego człowiek widywał teoretycznie. Kiedy wszedłem z kolegą, była już 24.00 w nocy. Byłem już bardzo zmęczony. Zdawałem sobie sprawę, jak się to skończy. Tymczasem ten skurwiel wziął statut i zaczął dyskutować z Jedynakiem o słuszności bądź niesłuszności poszczególnych punktów zapisu. Doszli nawet do części socjalnej w sprawie kolonii, mieszkań itp. Zeszło prawie 2 godziny. Wyprosili nas. Za chwilę wyszedł Komendant Wojewódzki i wygłosił formułkę:

– Proszę oddać legitymacje, z dniem dzisiejszym jesteście zwolnieni na podstawie art...

Zwolnili nas sześciu. Była już 2.00 w nocy. Pojechaliśmy do mnie, do hotelu obalić jakąś flaszkę. Ktoś poszedł na melinę (nie będę ukrywać, że wiedzieliśmy, gdzie te meliny były) i za chwilę dołączył siódmy.

Natychmiast po zwolnieniu ukazał się szyfrogram wysłany do wszystkich, że „zostali zwolnieni działacze i komitet został rozwiązany", na co pomocnik oficera dyżurnego w Nowej Hucie usiadł i wysłał do

wszystkich telegram: „W związku ze zwolnieniem tych sześciu, ja, plutonowy Leszek Posyniak przejmuję obowiązki Komitetu". Nie upłynęło 20 minut, jak podjechał pod niego radiowóz. Długo nie rozmawiali. O godzinie 3.15 dołączył do naszej grupy.

Zostaliśmy wydaleni ze służby, ale uważaliśmy, że dalej mamy obowiązek działać na rzecz utworzenia związku, bo nikt nam mandatu nie odebrał.

Znalazłem się w sytuacji dyskomfortowej. Okazało się bowiem, że w komitecie dzielnicowym partii zaczęli mieć wyrzuty sumienia. Ja byłem bezpartyjny. Byłem ich delegatem, oni mnie wytypowali, abym utworzył związki, a potem mnie wywalili. Komitet dzielnicowy partii w jednostce Śródmieście podjął uchwałę o złożeniu legitymacji partyjnych, jeżeli nie zostanę przywrócony do służby. Zrobił się poważny problem polityczny. Ponieważ byłem jedynym delegatem z tej jednostki, a inni byli z innych jednostek, więc oni nie stanęli w obronie innych, tylko mnie. Zadzwonił do mnie naczelnik kadr. Zapytałem go, jakie będą konsekwencje dla tych ludzi, jeśli złożę legitymację. Odpowiedział, że decyzja jest już podjęta. Pokazał mi rozkaz rozwiązania jednostki. Zapytałem, co to oznacza. Odpowiedział, że każdy funkcjonariusz rozwiązanej jednostki musi podjąć przydział w jednostce, do której zostanie skierowany, albo zostaje zwolniony ze służby. Mechanizm miał być prosty. Szczecin, Przemyśl itp. Poszedłem na to otwarte zebranie partyjne, tym razem otwarte dla mnie. Bardzo podziękowałem za tę postawę, ale poprosiłem, aby odstąpili od tej uchwały, co też zrobili. Sprawa się zamknęła. Trudno mi powiedzieć, czy zrobiłem dobrze. Trup by się nie posypał, tylko byłby skandal. Dlatego może należało zrobić inaczej.

Potem podejmowaliśmy kolejne czynności, ale było już coraz trudniej. Brakowało środków finansowych. Te były składkowe. Byliśmy zwolnieni, trzeba się było zakręcić za robotą. Dostaliśmy odprawę, która starczyła na jakiś czas.

Dalej działaliśmy na rzecz utworzenia związków, spotykaliśmy się. Kraków został oklejony plakatem „Milicja ze społeczeństwem". Wydrukowało nam to KRH. Oplakatowaliśmy to radiowozami, bo milicjanci

dalej utrzymywali z nami kontakt i nam pomagali. Później były akcje w Warszawie.

Dosyć głośna była okupacja Hali Gwardii z udziałem Zarządu Regionu, gdzie jeszcze ci zwolnieni oraz część jeszcze nie wyłapana i nie zwolniona z przyczyn formalnych, tak jak nie mogli zwolnić tego członka egzekutywy, tj. Komisji Rewizyjnych Komitetu Wojewódzkiego. Oni wtedy dobrowolnie wyszli z tej Hali, ale już był skandal, bo przyszły media, milicjanci byli w mundurach, a część cywili była otoczona przez dwie kompanie ZOMO. To się rzucało w oczy.

Nawiązaliśmy kontakty z Zarządem Regionu, do czego wydelegowany został Stefan Jurczak. A Stefciu, jak to Stefciu i tak, i nie. Szkaradek załatwił nam wizytę u Lecha Wałęsy. Nakombinowaliśmy się, trzech z Krakowa, jeden z Nowego Sącza. Nie urwiemy się pociągiem, ani samochodem, bo byliśmy obserwowani, zostało najprostsze rozwiązanie: samolot. Mieliśmy jeszcze układy na lotnisku. Powsadzali nas w samoloty. Leciałem do Poznania, w Poznaniu przesiadłem się do Gdańska. Zaszliśmy do Lecha. Spotkanie było w cztery oczy. Miał być Lechu, Celiński i nas czterech. Szkaradka nie było. Próbujemy przedstawić sytuację, a Lechu zaczyna od tego:

– Składki płacicie?

Rozumiem go, prawdopodobnie była to 17. delegacja, którą przyjmował. Celiński wyglądał na przytomnego, ale on też potem powiedział:

– Nie za bardzo możemy wam po cichu pomóc.

Zadzwoniłem w jakiejś sprawie do kolegi do Warszawy, a ten do mnie:

– Głupi, po coś ty do tego Gdańska pojechał?

Tak nasza tajemnica się utrzymała, że po 30 minutach już wszystko wiedział średniej rangi funkcjonariusz. Czy zawiodła technika, która była na miejscu, czy cokolwiek innego, trudno powiedzieć. Wróciliśmy spokojnie pociągiem.

Potem były apele do Sejmu, spotkania, ale już zaczęło pachnieć stanem wojennym. Już była akcja „Pierścień I", „Pierścień II" – w zasadzie ćwiczenia, czyli zatrzymywanie w przypadku zagrożenia społecznego

niebezpiecznych kryminalistów, ale to już była operacja dokonywana na 30 tys. policjantów i 5-6 tys. osób do zatrzymania. Zaczęło się to rzucać w oczy. Próbowaliśmy przekazywać te informacje bezpośrednio przyjaciołom z Solidarności. Ostatni raz 4 grudnia 1981 roku w kopalni Rozbark nasz przewodniczący oficjalnie zaproszony przez prymasa Glempa rozmawiał z nim. Rozmawialiśmy z tą częścią wierchuszki Solidarności, która przyjechała wtedy z Radomia, co się skończyło, jak to u górników bywa, wielkim piciem i jedzeniem kaszanki.

Nie wspomniałem, że wcześniej nasz wniosek trafił do sądu. Sławny sędzia Kościelniak jeszcze przed stanem wojennym zawiesił postępowanie. Nie mogli nam odmówić tej rejestracji, bo mieliśmy mandat – to zwrócił się do ministerstwa pracy o ustalenie, czy funkcjonariusz to jest pracownik. Pod tym pretekstem było zawieszenie i pod tym pretekstem była cała nasza działalność.

* * *

Między 4 a 13 grudnia i poza Krakowem nie miałem już żadnych kontaktów ogólnopolskich. 12 grudnia 1981 roku pojechałem do mamy do Kielc, bo były imieniny Otylii. Zaczął padać śnieg i szły pociągi z wojskiem. Rano na imieninach okazało się, że jest stan wojenny. Szybko się spakowałem i wróciłem do Krakowa. Na dworcu spotkał mnie kumpel z Komisariatu Kolejowego i mówi:

– Krzysiek, ale uważaj, bo byli po ciebie.

– Gdzie byli? – pytam.

Musiało to być przygotowane wcześniej, bo do momentu zwolnienia mieszkałem w hotelu milicyjnym w pokoju 2-osobowym nad komendą. 13 grudnia wjechali do tego pokoju, gdzie mieszkał dzielnicowy w Huty z ciężarna żoną, bo ja już tam nie mieszkałem od 6 miesięcy. Być może to była inercja w celu ukrycia danych.

Wróciłem do domu. Dnia 16 grudnia dzwonek do drzwi. Otwieram, a tu moja mama, prawie się osuwa z pytaniem:

– To ty jesteś?

– No, jestem, a co się stało?

– To ja musiałam brać zaświadczenie z pracy na wyjazd!

Rodzice mieszkali w domu jednorodzinnym. W nocy z 14 na 15 ojciec był w pracy, bo chyba Iskra Kielce wtedy nie strajkowała, a siostra z matką „zostały dojechane" około godziny 24.00. Obstawili drzwi, okna:

– Gdzie syn?

– No to szukajcie. Nie ma, przecież pojechał do Krakowa.

Uspokoili się, a przerażona mama przyjechała. Tam były trzy kolejne ulice: Mieszka, Bolesława Chrobrego i Działkowa z jednakowymi domami. Okazało się, że oni przyjechali później niż o 22.00, bo wcześniej wjechali na ulicę do takiego samego domu. Tamta kobieta miała trzech synów. Zanim się wyjaśniło, że to nie ich szukali, upłynęło trochę czasu. Takie rzeczy się działy.

Po wizycie mamy już faktycznie się zmydliłem do początku lutego 1982 roku, ponieważ miałem do odebrania wynagrodzenie w kasie, a wezwanie przyszło do komendy do wydziału administrującego budynkami mieszkalnymi, tylko że pieczątka miała inny numer. Numer pieczątki był kadrowy, a wezwanie było do działu gospodarki materiałowo-technicznej. Wziąłem tę resztę pieniędzy z kasy i 4 września wstawiłem się na wezwanie. Okazało się, że byłem tylko ja i jeden kolega. Wszyscy pozostali zostali zatrzymani. Jeden Genek Koł został internowany, reszta po podpisaniu tego oświadczenia, że nie będą działać na rzecz… została wypuszczona.

Po odwołaniu poprzedniego Komendanta Wojewódzkiego był już nowy – Trzybiński z Poznania. Kazał mi usiąść, sam miał zdjętego buta i trzymał nogę w kolorowej skarpetce na krześle. To był stary ubek słynący z takich głupich, niekonwencjonalnych działań. Kiedy został Komendantem Wojewódzkim, pierwszą rzeczą, jaką zarządził to zauważył, że mnóstwo ludzi przychodzi do komendy, szczególnie do Wydziału Ruchu Drogowego i Dochodzeniowo-Śledczego. Zawezwał zastępców, pytając, co to za ludzie kręcą się po komendzie.

– Świadkowie.

– Nie, kochani. Ze świadkami spotykamy się na mieście.

Żaden zastępca nie śmiał mu powiedzieć, że taka jest procedura. Facet był tego poziomu aczkolwiek zasłużony. Ta noga na krześle okazała się potem nie tyle znakiem lekceważenia, ale był to początek Buergera.

Ja o tym nie wiedziałem, ale to spowodowało, że atmosfera nie była sztywna. Podał mi wydrukowaną lojalkę do podpisania. Odpowiedziałem na to:

– Panie komendancie pułkowniku, pan mnie obraża! Ja jestem prawnikiem z wykształcenia, wiem, że prawo trzeba przestrzegać, znam przepisy i je przestrzegam. Gdybym ja to podpisał, to daję panu dowód na to, że ja nie przestrzegam przepisów.

No to wezwał Naczelnika Kadr i do mnie:

– Zostaniecie internowani.

– Z jakiego tytułu?

– Bo się ukrywaliście.

– Ale co pan opowiada? Przecież pierwszego byłem w kasie, brałem pieniądze!

Naczelnik Kadr poleciał, przyniósł listę:

– Rzeczywiście, był!

Zostało to skomentowane w ten sposób, że Naczelnik Kadr powiedział:

– No wie pan oni go tak szukali, to on się ukrywał.

Myślę, że odpuścili mi dlatego, że to, czego potrzebowali, to już mieli. Być może nie chcieli wywoływać, być może mieli jakieś inne plany. Byłem zatrzymany jeszcze 3-4 razy przy okolicznościach 30 kwietnia, 28 sierpnia i tylko raz złożono mi propozycję współpracy. To zresztą z mojej własnej winy, bo dałem wtedy dupy, ale ponieważ zdecydowanie odmówiłem, więcej mi tych propozycji nie składali.

Po latach okazało się, że nas, czynnych dalej w stanie wojennym z siedmiu zostało trzech. Dwóch, czyli Kocha i Zborowskiego zdążyli uagenturnić. Mieć organizację składającą się z trzech agentów, to lekka przesada. Eugeniusz Koch, późniejszy TW „Biały" w tej grupie był przewodniczącym naszego związku. Myśmy go wybrali jako sierżanta z ludu, a on potrafił bardzo łatwo opętywać ludzi. Ja ograniczyłem z nim kontakty, bo nie wierzę w cuda.

A wyglądało to w ten sposób, że jest manifestacja, jesteśmy na manifestacji, kordon ZOMO, Geniu mówi:

– Idziemy tędy.

Idziemy, a oni lecą za nami. Mur, ale jest drabina. Przechodzimy po drabinie przez ten mur. Nie może być za dużo takiego ciągłego szczęścia.

Idę do pracy, spotykam dzielnicowego, który mówi:

– Uważaj, Genek przed chwilą zgarnął już 5000 egzemplarzy „Montinowca".

On to wszystko robił ostentacyjnie, oficjalnie i bezkarnie. Nie wydawało mi się to możliwe i prawdopodobne. On potrafił oszukać nawet najbliższą osobę, nawet kobietę.

Skutek naszej działalności był taki, że 13 grudnia trzy osoby z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Głównej Wojewódzkiej, w tym dwóch moich kolegów z roku, oficerów, odmówiło wykonania poleceń. Trzecia osoba była trochę starsza, też prawniczka (Baśka Wilczak), którą zwolnili dyscyplinarnie, bo gdy się zwalniało sierżanta, nie trzeba było powiadamiać ministra. Oni byli oficerami i trzeba było powiadomić ministra, że miał miejsce taki fakt. Jeden z nich był ułożony partyjnie, bo ojciec był wpływowym działaczem partyjnym w Hucie, więc on poszedł do psychiatry i po roku został zwolniony z uwagi na stan zdrowia. Drugiego przekonali, żeby się wycofał, z tym że przenieśli go na komisariat i tam go dopiero zwolnili pod jakimś pretekstem, ale umowę z nim mieli taką, że po 3 latach przyjęli go z powrotem do służby. Jak wróciłem, on był już z powrotem.

Większych protestów ze strony milicjantów biorących udział w stanie wojennym niewątpliwie nie było. Na pewno część tych kolegów, którzy byli aktywnymi działaczami związku protestowała, potem jakby próbowała się wykazać wobec kierownictwa. Część była bierna, współpracowała z nami, ale w sposób niesłychanie ostrożny. Może to i lepiej.

Posiadam dokument, na którym widnieje mój podpis i podpis Kiszczaka, Nic mi ta znajomość nie pomogła. Myślę też, że nie zaszkodziła, bo to jednak była osobista znajomość. Myślę, że po wielokroć nie dochodziło do pewnych brutalności z tego względu.

Miałem kiedyś taką sytuację przy zatrzymaniu, że jeden uderzył mnie w twarz. Na komendach były popielniczki na dziesiątkach, tj. na grubym, żebrowanym drucie. Złapałem jedną i mówię:

– Zaraz ci zapierdolę. Wiem, że wy mnie zatłuczecie, ale nikt wam nie pomoże, jak będziecie kalekami, pójdziecie na rentę. Renta ci się zdewaluuje i będziesz dziadem.

No i się uspokoił. Tak podejrzewam, że nie doszło do pewnych brutalności działań.

Ciekawą sytuację mieli ci z Pomorza Zachodniego, bo w trakcie internowania zostali pobici łącznie z połamaniem żeber, rąk. To była głośna sprawa. Kiedy wróciłem do służby, oczywiście sprawę umorzono. Pierwszą rzecz, jaką zrobiłem, to ściągnąłem postanowienie o umorzeniu. To było przepiękne, bo prokurator to umorzył z takim uzasadnieniem, że co prawda doszło do naruszenia – tu wymienione zostały wszystkie części ciała, które są ścigane z urzędu powyżej 7 dni (były połamane żebra, złamany obojczyk, jednemu prawie wypłynęło oko) – ale było to wynikiem „różnicy zdań" na tematy polityczne, jaka występowała między funkcjonariuszami straży więziennej a byłymi zwolnionymi funkcjonariuszami. Czegoś takiego nie widziałem nigdy w życiu! Proces został wznowiony, ale skończył się na niczym, bo zastosowano przedawnienie, ktoś zmarł itd.

Po tych internowaniach praca zamarła. Mieliśmy osobiste kontakty z ludźmi podziemia, gdzie interweniowaliśmy. Kiedy wyszli z internatu, zaczęło się wydawnictwo, ale to już nie było nasze wydawnictwo, my tylko dostarczaliśmy artykuły.

Jeszcze spotykaliśmy się w czynnych ośrodkach: Warszawa, Katowice, Śląsk, Kraków.

Szczecin nie spotykał się z nami, był osobno. Tam zdarzyła się inna historia związana ze stanem wojennym. Tam, przed ogłoszeniem stanu wojennego nawiązali kontakt i rozpoczęli głodówkę protestacyjną przeciwko odmowie rejestracji związku. W trakcie tej głodówki w stoczni Warskiego, w której brali udział ludzie z Lublina, Katowic i z Pomorza, wzięli udział w zjeździe Solidarności. Zachowały się przemówienia naszych związkowców, bardzo przychylnie przyjęte. Już Solidarność zaczęła z nami rozmawiać, zaczęła nas akceptować i zauważyła, że warto współpracować. Wrócili do stoczni i w trakcie głodówki zastał ich stan

wojenny. Pierwsza propozycja była taka, że przerzucą ich na szwedzkie trawlery itp., ale to nie przeszło. Wkracza ZOMO do stoczni i kolega porucznik Julian Sekuła w momencie, gdy szli zomowcy (jeszcze Milczanowski się nim opiekował), wyszedł i stanął naprzeciwko tego kordonu, który szedł na stocznię, mówiąc:

– Ja jestem zwolniony funkcjonariusz MO, por. Julian Sekuła, wasz kolegą. Jak możecie, jak będziecie…

Kordon się zatrzymał. To się cofnęło. Potem były rozmowy. Skończyło się też dziwnie, bo po zakończeniu strajku w stoczni ich wszystkich wypuszczono. Żaden nie został zatrzymany. Wrócili do miejsc zamieszkania i dopiero tam ich wyłapali i część trafiła do internatu.

Nasza działalność związkowa wygasła około 1985 roku z powodu wyjazdu części osób internowanych za granicę. Większość z nich wyjechała do Szwecji, Kanady, Niemiec. My *de facto* utraciliśmy kontakt z tymi ostatnimi milicjantami, z którymi jeszcze mieliśmy kontakty. Byliśmy bardzo ostrożni, bo za kontakty z nami zwalniali czy prowadzili dyscyplinarki. Przestaliśmy rozwozić gazetki „Godność", pisać artykuły, bo tak naprawdę to na tym to już tylko polegało. Ci, co pozostali, prowadzili osobiste kontakty z podziemiem i mieli różny w tym udział. Były organizacje, do których nie wstąpiłem, np. w Krakowie była taka organizacja, gdzie trzeba było złożyć ślubowanie w nocy i przypieczętować własną krwią z serdecznego palca.

* * *

Przywrócono nas do służby. Każdy musiał złożyć wniosek indywidualny. Po roku rządów Mazowieckiego zmieniono ogólnie obowiązującą ustawę, która nas wykluczała, co dało nam prawo powrotu do służby. Wróciłem do służby jako starszy szeregowy (nie jako sierżant) i skończyłem w stopniu młodszego aspiranta. W stosunku do mojej osoby zastosowali bardzo prostą blokadę. Ja byłem z wykształcenia prawnikiem, pozostali mieli wykształcenie średnie i mimo że niektórzy byli po zawałach, zostali przyjęci bezwarunkowo. Mnie natomiast przyjęto do służby z ograniczeniami. Wyłączało mnie to z możliwości pójścia na służbę

oficerską. Ale nie przeszkodziło – a służyłem jeszcze 18 lat – być przez 9 lat kierownikiem Wydziału Zabójstw i Napadów. Tę funkcję mogłem pełnić, ale już szkoły oficerskiej nie mogłem skończyć. Prowadziło to do patologii, bo wśród podwładnych miałem 2 majorów, 5 kapitanów na 16 osób. Odszedłem na emeryturę w 2009 roku.

DYSKUSJA

Andrzej Chyłek: Z twojej opowieści wynika, że wasza współpraca z Solidarnością pojawia się dosyć późno. Jak Solidarność w ogóle do was podchodziła, czy były z jej strony jakieś próby nawiązania kontaktów?

Krzysztof Durek: Tak jak mówiłem, bardzo dobrze układały się kontakty Kocha z KRH. Drukowali nam bez żadnych umów o współpracę itd. Trudności były różnego rodzaju, np. pojawiła się pretensja dzielnicowych, że w tej Solidarności przewodniczącymi zostają nasi klienci – znani z tego, że się awanturują, leją baby, nie płacą alimentów. Taki był ogląd tej drugiej strony. Nawet, gdy się ułożyła współpraca bezpośrednia, bo Jurczak nam pomógł, udzielając kredytu 30 tysięcy, też za bardzo nie wychodziła. Najprostsza rzecz: oni chcieli, żebyśmy im pomogli, bo są infiltrowani. Kumpel pojechał do Bochni na zebranie. A tam występuje kandydat na przewodniczącego. Po tonie głosu widać, że zostanie wybrany. Wiadomo, że tam był delegat z Zarządu Regionu i ten mu mówi, że facet jest karany. Prowadziliśmy mu sprawę o pobicie. Zapytał go:

– Byliście karani za pobicie?

– Tak, dałem w mordę milicjantowi.

Dlatego technicznie ta współpraca nie zawsze wychodziła. Myślę, że może i słusznie Solidarność miała do nas dystans, bo po pierwsze nie było wiadomo, czy to nie prowokacja. Ja zakładam, że być może samo to powołanie związków było jakąś prowokacją, w sensie stworzenia struktury przeciwstawnej Solidarności. Tylko jak zwykle, kiedy się powoła masy, to pewne rzeczy wymykają się spod kontroli. Kto inny miał być przewodniczącym, kto inny miał być delegatem, kto inny miał być sekretarzem i nawet później ten przewodniczący i (późniejszy agent) Koch nie wystarczył. Nie wystarczy mieć przewodniczącego,

żeby manipulować organizacją, która liczy kilka tysięcy członków. Trzeba pamiętać, że ludzie byli przytomni i bardzo się angażowali. Dlatego nie dziwię się dystansowi. On zaczął zanikać, ale to już na końcówce mniej więcej od listopada-grudnia. Co nie znaczy, że potem było lepiej. Ja po roku wreszcie znalazłem pracę. W służbie zdrowia. Najprzód pracowałem jako rejestratorka medyczna, potem jako pracownik socjalny. Pracowałem z ludźmi pewnej kultury, a kolega trafił do „Montinu" jako spawacz. Mimo, że wiedzieli, kim on jest i tę robotę miał załatwioną przez podziemie, często miał szafkę wysmarowaną gównem.

Andrzej Chyłek: Czy to znaczy, że na samym początku mieliście taktykę, że nie chcieliście robić Solidarności kłopotu?

Krzysztof Durek: Nie, na początku mieliśmy taktykę, by się nie nagłaśniać. To był błąd. Nie było kontaktów z prasą, kiedy byli najbardziej zainteresowani w pierwszym okresie. Jednak ta groźba interwencji radzieckiej, jakby tu coś powstało, co się wymyka spod kontroli, też była za naszymi plecami. Później zwróciliśmy się do Solidarności o pomoc, była wcześniejsza współpraca, ale to nie były kontakty mierzone. A Solidarność dawała do zrozumienia, że nie chce żadnych kontaktów. Ja ich rozumiem, bo mieli dosyć swoich problemów, żeby im jeszcze stawiali zarzuty. Pierwszy zarzut był taki: „chcecie władzy". Najprostszy. Chcecie władzy, bo zakładacie związki wśród milicjantów. Odbieracie nam narzędzie pracy.

Andrzej Anusz: Czy ktoś z wojska próbował z wami nawiązać kontakty?

Krzysztof Durek: Nie. Próbowaliśmy, ale nie było mowy. Ja o żadnej wojskowej organizacji nie słyszałem, mimo że powstało potem szereg legendarnych. Pierwsze informacje, które mieliśmy z kontaktów z Zarządem Regionu pochodzą od agenta wojskówki i wojsko nas pilnowało. Ja też nie wiem, czy my nie zostaliśmy użyci jako narządzie w wewnętrznej rozgrywce. Kiszczak chciał wywalić starego ubeka Milewskiego.

Andrzej Anusz: To już była faza, kiedy wojsko przejmowało kontrolę nad MSW.

Krzysztof Durek: Jeszcze wtedy nie. Jeszcze wszystko opierało się niby na partii, na milicji. Ale pierwszy raz zobaczyłem wojskowych w akcji. On potem został szefem MSW i rozprowadzał nim jak chciał, bo „ja mam kontakty". Pewne sprawy ustawił dobrze, inne postawił zupełnie na głowie, bo inny jest system pracy wojska, a inny system pracy policji.

Andrzej Anusz: Nie wykluczasz, że zostaliście w coś wplątani? Bo jako związek zawodowy byliście kłopotem dla Milewskiego.

Krzysztof Durek: ...który nie dawał sobie rady, a on nas rozpracował i być może on wykorzystał okazję.

Andrzej Anusz: Czyli nie wykluczasz, że taki mógł być scenariusz?

Krzysztof Durek: Nie wykluczam. Wysoką cenę zapłacił też Komendant Wojewódzki w Krakowie, bo go odwołali. Toczyła się dyskusja. Byliśmy najsilniejszą zorganizowaną strukturą w Polsce. U nas każdy z każdej jednostki się zadeklarował na 100 procent W czterech, w pięciu innych jednostkach należało dziesięciu, siedemnastu... Sytuacja niejasna. Myśmy mieli spotkanie, wybory, składki, delegacje, pełnomocnictwa. Nie wykluczam, że to była w ogóle manipulacja, bo gdyby chcieli to w zarodku udusić, to by to w zarodku udusili, tylko mogło im się to wymknąć spod kontroli. Chcieli mieć konkret. Ale, moim zdaniem, bezpieczniej było im to zrobić w oparciu o organizacje partyjne. Czemu robili te otwarte zebrania? U nas było 20–30 procent bezpartyjnych, ale w innych jednostkach upartyjnienie sięgało rzędu 100 procent Kiedyś przyjechałem do rodzinnego miasta Kielce. Wszedłem do zastępcy Komendanta Wojewódzkiego i mówię kulturalnie:

– Dzień dobry, proszę pana.

A on ryczy na mnie:

– Wy się nie meldujecie! I jest takie słowo – „Towarzyszu”!

Ja nie byłem do tego przyzwyczajony i tak się witałem z szefem czy z przełożonym. To była inna kultura bycia. Wielkie miasta za Gierka dużo bardziej się zmieniły. Myślę, że w terenie dużo dłużej panowało jeszcze komunistyczne średniowiecze.

Zbyszek Adamczyk: Cieszę się, że mogłem poznać relację osoby będącej formalnie po „tamtej” stronie, która podejmowała działania współpracy z tą stroną, po której ja byłem. Rzadko można wymienić takie spostrzeżenia i historie. Żałuję, że twoje środowisko jest tak skryte w tej sprawie.

Wspomniany został przez ciebie Wiktor Mikusiński. Miałem okazję poznać go wiele lat temu, razem kandydowaliśmy jeszcze z listy AWS i tego samego dnia dostaliśmy odznaczenie Krzyża Wolności i Solidarności albo inne, nie pamiętam. Nieraz się z nim spotykałem i rozmawiałem. Nie jestem z nim na stopie jakiegoś wielkiego koleżeńskiego zbliżenia, tylko znajomości. Nigdy jednak nie wspomniał mi o tym, że działał w strukturach próbujących powołać związek. To był bardzo skromny człowiek.

Krzysztof Durek: Mam jego książkę, którą chętnie udostępnię. Ale on – skromny? Nie znam większego egotyka!

Zbyszek Adamczyk: Może to zależy od otoczenia, w którym aktualnie się znajduje… Ja go znam jako człowieka skromnego i misternego, który był Komendantem Stołecznym Policji, co nie było byle jaką funkcją.

Krzysztof Durek: Obaj jesteśmy prawnikami. On jest po Uniwersytecie Warszawskim, ja po UJ. Ja skończyłem jako młodszy aspirant, a on przyszedł na półtora roku na Komendanta Wojewódzkiego i odszedł na emeryturę.

Zbyszek Adamczyk: W każdym razie, jeśli go spotkam, nie omieszkam mu powiedzieć: – Wiktor, to ja się o tobie muszę dowiadywać od innych?!

Krzysztof Durek: Dam książkę, a ty zażądaj, żeby on się pod nią podpisał.

Zbyszek Adamczyk: Zainteresował mnie wątek ospy wrocławskiej i roli generała w jej transmisji.

Krzysztof Durek: Mówiłem przy tej okazji o roli generała Bonifacego Jedynaka, ale ponieważ nie ma to żadnego związku z moją historią, traktuję to jako wątek poboczny. Zresztą media rozpisywały się o tym, że pułkownik Bonifacy Jedynak wrócił z Algierii i był pacjentem zero, który przywiózł czarną ospę. Wiadomo, jaka to mogła być misja – on był w MSWiA…

Ja odniosłem dziwne wrażenie o MSWiA, kiedy tam bywałem kilka razy przez miesiąc. Padały tam wtedy hasła, że pułkownika czy generała „niosą". Z komentarzy wielu osób pełniących funkcję zorientowałem się, że to byli starzy partyzanci, o których mówiło się, że leją pod siebie bez wódki. Jedni byli bardziej wykształceni, inni mniej, ale większość egzystowała w tej pracy dajmy na to jako starszy inspektor w wydziale. Taki inspektor uzupełniał swoje 4-klasowe wykształcenie i był pułkownikiem. Oni byli utrzymywani w tej pracy. Rzuciło mi się to w oczy i trudno było mi w to uwierzyć. Trzeba przyznać, że Kiszczak to zmienił i ich powywalał.

Odpowiem jeszcze, czemu o tym wszystkim jest tak cicho. Setkę zwolnili, część została za granicą, zostało pięćdziesięciu, do służby wróciło czterdziestu, a potem – jak w każdej organizacji – pożarli się między sobą. Było dwóch kolejnych przewodniczących. Jeden (Sierański) był w ZMS, a drugi (Wiktor) w PZPR. Ja już nawet twierdziłem, że żarli się jak organizacja młodzieżowa z organizacją partyjną. Jest taka tendencja – i u nas też ona się pojawiła – „który z nas był ważniejszy?". Ja tego tak nie odczułem, bo jako sekretarz brałem udział we wszystkim. Byłem osobą drugiego planu, która czasami musiała być na pierwszym planie. Widziałem z ich strony akty odwagi, świadomość intelektualną, ale widziałem też dziadostwo. Nikt z nas nie jest cały czas na pełnym powerze i na 100 procent. To przykre, ale u Wiktora pojawił się

silny egotyzm. Został tym Komendantem Wojewódzkim. On się piął po Gabrielu Janowskim. Siedzieli razem w internacie w Kielcach, jeszcze z Ryśkiem Bocianem. Ponieważ był w sztabie Kuronia, to z jego poręki błyskawicznie został tym komendantem, ale funkcję pełnił bardzo krótko, bo nie był najlepszy. Natomiast pierwszą rzecz, jaką zrobił po objęciu funkcji, to zerwał wszelkie kontakty ze wszystkimi kolegami. Ja utrzymywałem z nim kontakty, ale potem, jak go wyrzucili, po półtora roku przerwy.

Pytane z sali: Powiedziałeś, że po przełomie, zostałeś przywrócony do służby na statusie ograniczonym.

Krzysztof Durek: Nie, zostałem przywrócony na to samo stanowisko, które zajmowałem. Ale potem były przeprowadzane badania lekarskie i to status tych badań ograniczył mi zdolność.

Pytanie z sali: Czyli nie była to sytuacja, że sztucznie zablokowano ci awans?

Krzysztof Durek: Sztucznie, tylko metodą „na lekarza" i nie awans, tylko możliwość awansu. Większość, która wróciła do służby, bardzo szybko się pozwalniała. Kiedy wróciłem do służby, miałem już pozycję z firmie cywilnej i gdybym wtedy powiedział w kadrach: „Wypierdalać"! to większość by wstała i posłusznie wypierdoliła, bo oni wiedzieli, że ja wiem. Ale to było nie dłużej niż może rok. Powiedziałem im:

– Jak zwolniliście mnie w nocy, tak w nocy 26 czerwca mnie przyjmijcie.

To był błąd, bo przyjmują pierwszego i piętnastego. We wrześniu były wybory do nowych związków. One był częściowo podrasowane przez kadrę. Byłem już 2 miesiące z powrotem. Większość ludzi mnie nie znała, przepracowałem niecałe 24 lata, 9 lat mnie nie było. Ja w tych wyborach przegrałem pięcioma głosami. Na zebranych trzystu delegatów dostałem 148–153 z tym kandydatem typowanym i to jeszcze z takim mechanizmem, że jak się miały zacząć wybory,

zrobiono przerwę, podczas której kadry wzięły delegatów z wojewódzkiej i z nimi porozmawiały. Widać, jaka była presja na zmiany, nawet wśród tych milicjantów, z których większość nie miała o mnie zielonego pojęcia.

Głos z sali: To był bardzo dobry wynik w sumie.

Krzysztof Durek: W życiu już takiego dobrego nie osiągnąłem.

Głos z sali: Właściwie już odpowiedziałeś na moje pytanie. Dotyczyło ono Wiktora Mikusińskiego. Częściowo współpracowaliśmy z nim i nawet lekko próbowaliśmy mu pomóc w awansie na komendanta. Ale mam pytanie, czy on ci nie mógł wtedy pomóc. Sam odpowiedziałeś, że zerwał kontakty.

Krzysztof Durek: Tak, ale ja bym tego nie oczekiwał. To musiałoby odbywać się na takich układach, jakie zwykle się odbywają. Jeśli masz kumpli, jesteś na szkole na jednej sali, to się nawzajem potem ciągnięcie. Ja bym musiał przenieść się do Warszawy. Jak wracałem, domyślałem się, że szybko zmiany tam nie nastąpią i będę trudno akceptowalny na zasadzie, że wiem, co wiem, a poza tym zdaję sobie sprawę, że mam ciężki charakter. Zaplanowałem sobie, że wrócę na 14 miesięcy, bo tyle brakowało mi do nowego wieku emerytalnego. Miałem wyrobioną pozycję, mogłem wrócić do pracy pomocy społecznej. Tylko oni postanowili mnie wyrzucić. To ja się uniosłem honorem, przerobiłem jeszcze 18 lat i żaden nie doczekał mojej emerytury.

Głos z sali: Drugie pytanie. Kiedy słuchałem historii o tych otwartych zebraniach partyjnych, które zaczęto robić w związku z pojawianiem się inicjatywy założenia związków w milicji, na co się nałożyła sytuacja Milewskiego i Kiszczaka wchodzącego spoza resortu, zrodziło mi się pytanie, jak ty to interpretujesz. Czy można to czytać w ten sposób, że Kiszczak spróbował użyć tego do rozgrywki.

Krzysztof Durek: Nie ulega co do tego wątpliwości. Chodzi tylko o to, czy te związki były od początku wykreowane, czy nie. Ale wątpię tu w sprawność Kiszczaka, bo brakuje tu koincydencji czasowej, bo związki narastały, a on się pojawił dopiero, gdy pojawiła się groźba, że Polska jest zburzona i chcą powstać centralne z Warszawy. I on jest wtedy rycerzem, który sobie z nimi radzi. Inaczej nie mogło być, to musiało się tak skończyć.

Głos z sali: Czyli Milewski sobie nie radził z tymi związkami, a Kiszczak wjechał na białym koniu?

Krzysztof Durek: Podejrzewam, że to był pretekst do tych przesunięć. Ale to są moje podejrzenia. Nikt tego nie powiedział, a poza wszystkim tych związków w ogóle nie było.

Czesław Jakubowicz: Okiem historyka. Istnieją bardzo dobrze zachowane papiery z otwartych zebrań partyjnych z 1956 roku z Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Takiego nawalania na bezpiekę nie było przez całe czterdziestolecie. Przypuszczam, że wtedy był bardzo podobny mechanizm. Organizacja partyjna była tą jedyną organizacją, która nie była ujęta w ramach normalnych struktur służbowych. (Chociaż wiadomo, że tam też był przydział funkcji itd.). Chodzi mi o to, że to była organizacja społeczna, poza hierarchią służbową.

Krzysztof Durek: ...co miało świadczyć o tym, że partia nią kieruje.

Głos z sali: I teraz tylko na tym forum mogły się ujawnić wszystkie bolączki, które tych funkcjonariuszy nurtowały. Myślę, że ten nurt związkowy narodził się rzeczywiście spontanicznie. Natomiast potem to już mogło być kierowane.

Krzysztof Durek: Co ciekawe, zebrania były zamknięte. Wcześniej przez 3 lata nikt nie kazał mi tam przychodzić, chyba że była jakaś uroczystość. Tymczasem w sytuacji kryzysu nasilają się zebrania

otwarte. Nie tak otwarte, że możesz przyjść. One było otwarte – „Macie być!".

Głos z sali: Obowiązkowo otwarte. Po prostu formuła spotkań była taka, że były to spotkania otwarte wewnętrzne.

Krzysztof Durek: Formuła polegała na tym, że mogły być bezpartyjne. Ja podejrzewam, że w MSW w latach pięćdziesiątych nie było bezpartyjnych.

Czesław Jakubowicz: Historia waszych związków zawodowych w służbach mundurowych jest dokładnie znana. Ja miałem kontakt z ludźmi wywodzącymi się z tego środowiska. Czy znałeś Andrzeja Radzickiego i Krzysztofa Wroszczykowskiego?

Krzysztof Durek: Znałem bardzo dobrze, po imieniu. Tam była jeszcze kobieta, której nazwiska nie podam.

Czesław Jakubowicz: Mniejsza o to. Przyjaźniłem się z nimi. Z historią gen. Milewskego spotkałem się w 1977 roku w Augustowie. Mówiło się o nim, że on zna historię obławy augustowskiej. Będąc w województwie podlaskim, składającym się z trzech województw: łomżyńskiego, suwalskiego i białostockiego, jako białostocczanin zamieszkałem w Augustowie i potem jeszcze 12 lat mieszkałem w Suwałkach. Kiedy w 1989 roku powołałem KPN, pierwsi pogratulowali mi policjanci. Powstała już policja. Z wojskiem nie było szans. Wojsko było do bardzo długich lat murem za. Pamiętam jeszcze, gdy wyjeżdżałem w 1991 roku (te osoby są związane już po 1989–1990 roku), kiedy koledzy pojawili się na scenie. Andrzeja bardzo ceniłem. Kiedy zostałem wójtem w Juchnowcu, pewnego dnia sekretarka mi mówi, że przyjechało 2 panów spotkać się ze mną, którzy twierdzą, że są moimi przyjaciółmi. Otwieram – Andrzej i Krzysztof (obaj już nie żyją). Zaprosiłem na kawę, zaczęła się rozmowa. Szukałem odpowiedzi, bo za mną szła informacja, że ja jestem współpracownikiem. Najpierw niby byłem porucznikiem

ze Szczecina, a potem awansowałem do majora. I śp. Andrzej razem z Krzyśkiem wstają i mnie przepraszają:

– Wróciliśmy kilka dni temu ze Szczecina, stwierdziliśmy, że nie jesteś agentem.

To był już 2006 roku Dlatego potem miałem zawsze dziwne historie w wyborach, które były fałszowane. Czy ty później miałeś z nim kontakt, już po stanie wojennym, po odzyskaniu niepodległości?

Krzysztof Durek: W stanie wojennym oni nie zostali internowani, tylko skazani, bo to byli działacze związkowi, za zdradę tajemnicy służbowej, bo podali Zarządowi Regionu listę dzielnicowych i ich rewiry. Kompletny absurd. Jeden chyba dostał półtora, drugi dwa i pół roku. Była jeszcze dziewczyna. Odsiedzieli swoje. Po pewnym czasie Krzysiek wyjechał do Stanów Zjednoczonych i był tam w CIA. Potem spotykaliśmy się okazjonalnie. On szybko odszedł ze służby. Kolega Radzicki był bardziej aktywny, brał udział we wszystkim. Tylko że spotkało go potem nieszczęście w postaci raka gardła. Mieliśmy kontakt, ale to był kontakt rodzaju kombatanckiego. I nie sprawdzali cię u mnie na pewno, musieli tylko w Szczecinie. Mieli kontakt na Szczecin, bo brali udział w strajku głodowym w 1981 roku, gdzie ich zastał stan wojenny.

Czesław Jakubowicz: Obydwu bardzo szanuje i śmiałem się z tej historii, ale ciągnie się pytanie, skąd pojawił się taki wątek, który mi bardzo przeszkadzał.

Krzysztof Durek: Bez wątpienia miłe to nie było, ale świadectwo moralności w końcu ci wystawili.

Czesław Jakubowicz: Niedawno było święto policji i wspominali ich, zostali wpisani w historię.

Krzysztof Durka: Ja chyba nawet z Krzyśkiem odbierałem Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski.

Zbigniew Jackiewicz

ASPEKTY PRAWNE STANU WOJENNEGO

Jest mi bardzo miło, że mogę wystąpić na konferencji, która poświęcona jest wydarzeniu sprzed 40 lat. Mariusz Olszewski, zapowiadając mój referat, przytoczył tytuł roboczy, który od razu chciałbym skorygować. Bardzo mi zależy na tym, żeby przy okazji mojego wystąpienia, nie padły potoczne słowa określające wydarzenia, których kulminacją jest 13 Grudnia, ponieważ – z prawniczego punktu widzenia – nie mieliśmy do czynienia ze stanem wojennym.

Przygotowując się do konferencji, sięgałem do różnych materiałów, które ukazały się po 13 Grudnia. Zauważalną cechą literatury podziemnej jest fakt, że to określenie nie było używane w podejściach politologicznych, socjologicznych, w opisach przeżyć bezpośrednich. Różnie nazywano to, co się wtedy stało w Polsce, ale tego określenia nie używano. Chciałbym przekonać, jak bardzo mylące jest to potoczne określenie.

Z prawniczego punktu widzenia do sprawy trzeba podejść zupełnie inaczej. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 16 marca 2011 roku ma sentencje bardzo wyraźnie mówiące, że działania politycznych władz PRL w tamtym czasie były niezgodne z konstytucją. W języku potocznym mówi się, że stan wojenny wprowadzono nielegalnie. Jak się dobrze zastanowić nad tym określeniem, okazuje się, że ono jest pozbawione sensu. Z prawniczego punktu widzenia ono jest bez sensu, ponieważ w sposób nielegalny nie można wprowadzić instytucji prawa publicznego. Na gruncie prawa to jest kwestia pewnych teorii, czynności konwencjonalnych, konstrukcyjnych itd. Nie da się osiągnąć takiej sytuacji. To tak, jakby o kradzieży powiedzieć: „Nabycie rzeczy niezgodne z prawem". Brzmi pięknie, ale ukrywa to, co najważniejsze. Dlatego nie będę tego określenia używał. Często podczas rozmów w Instytucie mówię „tak zwany stan wojenny", co relacjonuje funkcjonowanie tego określenia w obiegu publicznym, ale z prawniczego punktu widzenia jest ono bezsensowne.

W takim razie rodzi się pytanie, co się stało w tym czasie, którego kulminacja jest 13 Grudnia? Z prawniczego punktu widzenia da się określić, co się stało. Zacytuję sentencję wyroku z 12 stycznia 2012 roku Przybliża ona w sposób bardzo ogólny to, co się stało, z prawniczego punktu widzenia.

„Dopuszczono się zbrodni komunistycznej w ten sposób, że działając w zorganizowanym związku przestępczym o charakterze zbrojnym mającym na celu popełnianie przestępstw polegających na pozbawianiu wolności poprzez internowanie i wykonywanie kar pozbawienia wolności orzeczonych za czyny wcześniej niekaralne oraz innych przestępstw przeciwko wolności, a nadto naruszaniu nietykalności

cielesnej, tajemnicy korespondencji oraz praw pracowniczych obywateli polskich, głównie skupionych w ruchu społecznym związanym z NSZZ »Solidarność«".

Trzymając się reguł i logiki myślenia prawniczego, trzeba powiedzieć, że to, co się stało 13 Grudnia, jest tutaj datą wywoławczą. Trzeba się odnieść do całego ciągu wydarzeń i zgodnie z tym orzeczeniem sądowym, przestępstwo zaczęło się dużo wcześniej – mamy do czynienia ze zorganizowanym związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym, który dopuszcza się przestępstw. Tak to określamy. Dlaczego? Pozwolę sobie przybliżyć wybrane elementy treści tego orzeczenia sądowego, które jest pokazem prawniczego myślenia. Unika ono języka potocznego i potocznej analizy zjawisk, a posługuje się metodologią prawniczą. Będzie to po części opis sytuacji faktycznej tak jak został on przyjęty w ramach tego postępowania. Postępowanie toczyło się 4 lata. Było bardzo dokładne. To orzeczenie w części opisującej stan faktyczny, który sąd uznał za wiarygodny, jest bardzo ciekawym materiałem historycznym. Wiele się z niego można dowiedzieć.

Zacznę od pewnej sprawy.

„Dnia 16 sierpnia 1980 roku ówczesny minister spraw wewnętrznych generał S. K. (to taki zwyczaj, że dane osobowe w publikowanych orzeczeniach są zaszyfrowane, ale uważny czytelnik nie będzie miał problemów, żeby te inicjały rozszyfrować) wydał dyrektywę dotyczącą działalności jednostek resortu spraw wewnętrznych na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa i porządku publicznego prowokacyjną działalnością grup antysocjalistycznych i żywiołowych wystąpień. Wskazano, że wystąpienia robotnicze m.in. na W. mają charakter antysocjalistyczny, a więc skierowane są przeciwko ustrojowi PRL. Wówczas określono szczegółowe zadania resortu Spraw Wewnętrznych przeciwko zagrożeniom bezpieczeństwa publicznego państwa".

Należy szczególnie zapamiętać tę datę oraz fakt, że służby PRL podejmują pierwsze działania i to, że jest mowa o zagrożeniu bezpieczeństwa wewnętrznego. W kontekście całej sytuacji to rozróżnienie między zagrożeniem zewnętrznym a wewnętrznym ma znaczenie.

A teraz odwołanie się do innej okoliczności.

„W dniu 16 lutego 1981 roku w siedzibie Inspektoratu Obrony Terytorialnej doszło do spotkania zwanego grą decyzyjną, w której uczestniczyli przedstawiciele: MSW, MON, Sekretariatu KOK, Wydziału Propagandy KC PZPR. Uczestniczyli w niej: gen. T. T., gen. T. H., gen. F. S., gen. J. B., gen. M. M., płk. C. W. i płk. roku K. Spotkanie poświęcone było przygotowaniu do stanu wojennego w różnych wariantach. Wykonano zaplanowane zadania. Ustalono, że wprowadzenie stanu wojennego będzie działaniem ustatycznym. Uzgodniono akty prawne służące wprowadzeniu stanu wojennego, jak uchwały rady państwa, dekrety, a także uchwały sejmu. Na tym etapie dopuszczono wydanie decyzji przez sejm, w przypadku, gdyby trwała sesja. Przygotowano też uchwały innych aktów wykonawczych wydawanych przez Radę Ministrów i Komitet Obrony Kraju".

To bardzo ważna okoliczność, kto zajmuje się tzw. działalnością legislacyjną w tym czasie.

Kolejne ustalenie tego postępowania sądowego.

„W marcu 1981 roku grupa najwyższych dowódców Ludowego Wojska Polskiego weszła w porozumienie dotyczące tego, aby sytuacją polityczną w kraju, zaistniałą na skutek powstania ruchu społecznego skupionego wokół […] [tutaj trzeba sobie dopowiedzieć], rozwiązać poprzez zlikwidowanie tego ruchu za pomocą nielegalnego wprowadzenia stanu wojennego. Porozumienie to zawiązane zostało po wydarzeniu zwanym lutową grą decyzyjną. W związku z wynikami analiz prawnych prowadzonych w Komitecie Obrony Kraju jeszcze w 1980 roku przez gen. T. T. i zastępcę szefa sekretariatu KOK płk. T. M., uczestnicy tego tajnego porozumienia mieli pełną świadomość, że wprowadzenie stanu wojennego z wykorzystaniem usprawnień Rady Państwa do wydawania dekretów z mocą ustawy w czasie trwającej sesji sejmu będzie nielegalne. Oznaczało oto, że mieli pełną świadomość, że stosowanie rygorów stanu wojennego na podstawie dekretów uchwalonych przez Radę Państwa związanych z ograniczeniem praw i wolności obywatelskich – zwłaszcza wolności – będzie realizować znamiona czynów zabronionych, polegających – jak to zarzuca akt oskarżenia – na pozbawianiu wolności poprzez internowanie i wykonanie kar pozbawienia

wolności orzeczonych za czyny niekaralne w czasie ich popełnienia oraz innych przestępstw przeciwko wolności, a nadto naruszeniu nietykalności cielesnej, tajemnicy korespondencji, praw pracowniczych obywateli polskich, głównie skupionych w ruchu społecznym związanym z NSZZ »Solidarność«. Istota ich porozumienia [cały czas mowa o związku przestępczym o charakterze zbrojnym] i podjętych w jego następstwie działań sprowadzała się do wykorzystania w związku z piastowanymi funkcjami aparatu państwa, w tym również wojska i milicji do nielegalnego wprowadzenia stanu wojennego poprzez działania przygotowawcze prowadzone w tajemnicy. W tym celu uczestnicy tego porozumienia obsadzali w międzyczasie kolejne funkcje w aparacie państwa i partii".

Wszyscy znamy te wydarzenia i historie. Niektórzy będą to komentowali jako zmiany w funkcjonujących strukturach państwa i tylko tyle. Jest to bardzo złudna interpretacja tych faktów, ponieważ w przypadku tych kolejnych obsad, z którymi mieliśmy do czynienia w 1985 roku, mieliśmy do czynienia z przemyślaną działalnością zorganizowanej grupy przestępczej, która potrzebowała obsadzenia tych funkcji w aparacie państwa dla zrealizowania swojego porozumienia.

Następne ustalenia.

„Powyższe porozumienie grup najwyższych Ludowego Wojska Polskiego stanowiło związek przestępczy o charakterze zbrojnym".

Jest to komentarz podsumowujący faktyczny bieg zdarzeń.

Te materiały są publicznie dostępne, ale są też bardzo długie, poruszają różne kwestie procesowe, które dla wyjaśnienia kwalifikacji prawnych, prawnego odniesienia się do tych wydarzeń, nie są istotne. Ja komentuję wyrok wydany przez Sąd Okręgowy w Warszawie VIII Wydział Karny wydany 12 stycznia 2012 roku, który ma sygnaturę VIII K. 24/08.

Dalsze ustalenia. Opis sytuacji z kwietnia 1981 roku.

„Przygotowanie dokumentów przez stronę polską było obserwowane przez oficerów radzieckich, którzy często przebywali w Sztabie Generalnym Pierwszym Zarządzie Operacyjnym. W dniu 9 kwietnia 1981 roku, przetłumaczone na język rosyjski dokumenty stanu wojennego

zostały przekazane z Pierwszego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego generałowi o inicjałach A. G. – naczelnikowi Sztabu Połączonych Sił Zbrojnych, pierwszego zastępcy głównodowodzącego połączonych sił zbrojnych Układu Warszawskiego".

Wygląda na to, że owa grupa przestępcza o charakterze zbrojnym miała bardzo wyraźne powiązania międzynarodowe.

Czerwiec 1981 roku.

„W dniu 19 czerwca odbyło się posiedzenie KOK. Uczestniczyli w nim wymienieni z inicjałów generałowie. Omawiano rozwiązania prawne, militarne, logistyczne, dotyczące wprowadzenia stanu wojennego. Na tym posiedzeniu gen. T. poinformował, że z przygotowanymi dokumentami zapoznano zespoły MSW i MON, zaś oryginały tych dokumentów znajdują się w sztabie generalnym Wojska Polskiego, zaś kopie w MSW i sekretariacie KOK. Gen. T. H. Wskazał na potrzebę ujednolicenia wykładni art. 33 ust. 3 Konstytucji PRL. Interpretacja, jaką należało przyjąć to taka, że Rada Państwa, mając uprawnienia do wprowadzenia stanu wojennego, ma także uprawnienia określenia skutków jej wprowadzenia w każdym czasie, także w czasie trwania sesji sejmu".

Członek owego związku przestępczego o kwalifikacjach wojskowych wydaje jasną dyspozycję, jak od tej pory należy interpretować konstytucję, żeby wszystko poszło w kierunku zaplanowanym przez ową grupę.

Jesteśmy już w opisie sytuacji w sierpniu.

„W dniu 13 sierpnia 1981 roku w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego przygotowana została informacja o stanie przygotowań państwa na wypadek konieczności wprowadzenia stanu wojennego oraz zasadniczych skutkach tego przedsięwzięcia. Dokument opisywał stan zaawansowania prac nad stanem wojennym w resortach siłowych. Przygotowano także komplet aktów prawnych oraz szczegółowe plany i harmonogramy działań wszystkich organów władzy i administracji państwowej od szczebla centralnego do podstawowych ogniw wykonawczych. Z dokumentu wynika, że obwieszczenie zawierające najważniejsze postanowienia dekretu Rady Państwa o stanie wojennym

oraz wezwanie obywateli do bezwzględnego przestrzegania praw stanu wojennego zostały przygotowane w zakładach poligraficznych ZSRR z wyraźnym ich wskazaniem. W sierpniu doszło na K. do kolejnego spotkania. Osoby spoza kręgów wojskowych o inicjałach S. K. i gen. W. J. z osobą o inicjałach L. B., w trakcie którego zapewniono B. o zaawansowanym stanie przygotowań do kontrnatarcia. W dniu 11 września 1981 roku płk T. M. sporządził informacje o stanie przygotowań normatywno-organizacyjnych związanych z wprowadzeniem stanu wojennego oraz przedsięwzięć w zakresie militaryzacji i obrony cywilnej".

Sięgam do opisów sytuacji we wrześniu.

„W dniu 15 września odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC KPZR. NSZZ »Solidarność« uznano jako siłę polityczną o charakterze antysocjalistycznym, skupiającym wokół siebie całą opozycję. Minister Spraw Wewnętrznych C. K. zapewnił, że w razie rozkazu wojsko użyje broni: »W sprawie strzelania wojska jest rozpoznanie, jeśli rozkaz będzie, to będą strzelać«".

Teraz coś z października.

„W dniu 13 października 1981 roku komendant główny przesłał ministrowi spraw wewnętrznych zbiorcze zestawienie siły środków MO. Wynikało z niego, że przewidziano do działań na terenach miejskich ponad 90 tys. funkcjonariuszy różnych podległych formacji MSW".

Listopad.

„W dniu 19 listopada 1981 roku generał J. S., zastępca Szefa Sztabu Generalnego WP ds. Operacyjnych przesłał zastępcy Naczelnika Głównego Zarządu Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR generałowi N. przetłumaczone na język rosyjski, wcześniej skonsultowane ze stroną rosyjską następujące dokumenty: Uchwałę RP o stanie wojennym, syntezę Dekretu o stanie wojennym, koncepcję zmiany w planie ulepszenia operacyjnego położenia wojsk. W dniach 18–19 listopada w Sztabie Generalnym WP odbyła się kolejna konsultacja z przedstawicielami Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR oraz Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Uczestnicy zapoznali się ze stanem przygotowań do stanu wojennego i dokonanych zmian

i ulepszeń tak w sferze planistycznej, jak i praktycznych przygotowań. W okresie poprzedzającym stan wojenny płk Z. M. otrzymał polecenie od gen. M. D. wylotu do M. z przedstawicielem MSW, płk S., który miał z M. przywieźć druki obwieszczeń o stanie wojennym w PRL".

Jest to kontynuacja wcześniej podawanych informacji.

„W tych obwieszczeniach miała być uchwała Rady Państwa i przepisy dekretów o stanie wojennym. Wszystkie sprawy załatwiał płk S. Wrócili samolotem z paczkami zawierającymi druki. Po przylocie do W. rozpakowali je żołnierze z MSW i zapakowali na samochody. Dokumenty te zostały zdeponowane w komendach wojewódzkich Milicji Obywatelskiej do czasu stanu wojennego. Zadania dla dowódców dywizji i komendantów wojewódzkich MO znajdowały się w zalakowanych kopertach i w sejfie".

Wskazany tu jest okres poprzedzający stan wojenny, nie ma ustaleń daty. Z przebiegu opisu możemy sądzić, że jest to listopad 1981 roku Są tu odnośniki do materiału dowodowego, który jest w aktach sprawy. Polegając na tych odnośnikach, pewnie da się ustalić bardzo precyzyjne informacje.

Dochodzimy do kulminacyjnych momentów.

„W dniu 12 grudnia 1981 roku w godzinach rannych generał T. T. otrzymał polecenie od premiera generała J. przekazane przez Szefa Urzędu Rady Ministrów generała J. dostarczenia wytworzonej w Komitecie Obrony Kraju dokumentacji zawierającej projekty aktów prawnych dotyczących stanu wojennego, przewodniczącemu Rady Państwa. Ten podjął decyzję o konieczności posiedzenia, które wyznaczył na godzinę 1.00 już w dniu 13 grudnia, a jego organizację powierzył szefowi Biura Rady Państwa, płk B. i generałowi D. W dniu 12 grudnia 1981 roku w późnych godzinach wieczornych do miejsc zamieszkania członków Rady Państwa udali się oficerowie LWP, którzy po przybyciu i upewnieniu się, że rozmawiają z właściwymi członkami Rady Państwa, okazali im wezwanie lub informowali o jego treści, odmawiając doręczenia. Następnie zażądano od owych członków udania się wraz z nimi samochodami służbowymi do siedziby przewodniczącego Rady Państwa – do B., wykluczając możliwość samodzielnego wstawiennictwa".

Tak osoby służące owej grupie przestępczej traktowały przedstawicieli władzy PRL.

„Wezwani członkowie Rady Państwa na miejsce przybyli około północy. Posiedzenie zarządzone było na godzinę 1.00 dnia 13 grudnia. Co najmniej o godz. 22.30 służby MSW przystąpiły do realizacji zadań wstępnych wynikających z wprowadzenia stanu wojennego. Dokonano takich czynności jak blokada przejść granicznych czy zabezpieczenie obiektów radia i telewizji".

My z Jurkiem [Iwaszkiewiczem] mamy kontakt z osobami, które tego dnia pracowały właśnie w centrum telekomunikacji, które jest na rogu ul. Nowogrodzkiej i Poznańskiej. Z tych relacji wiemy, jak wyglądało to wydarzenie i wiemy, że to się odbyło nawet przed godziną 23.00. Akurat w tym miejscu wejście przestępczych sił zbrojnych odbyło się przed 23.00. Z resztą w „Nocy generała" jest to opisane. Początek tej relacji podaje godzinę 22.00.

„O godzinie 1.00 rozpoczęło się nadzwyczajne posiedzenie Rady Państwa".

Nie będzie to czytelne, ale z inicjałów będą wymienieni wszyscy, którzy wzięli w nim udział.

„Nieobecny z powodu niemożności skomunikowania się byli: z-ca przewodniczącego T. M., sekretarz Rady Państwa E. D. oraz członkowie J. M., H. S., S. W., natomiast z-ca przewodniczącego Rady Państwa J. Z. nie stawił się z powodu choroby. Oprócz członków Rady Państwa [to bardzo ważne!] na posiedzeniu obecni byli: Szef Kancelarii Rady Państwa, Sekretarz Komitetu Obrony Kraju gen. T. T., Szef Sekretariatu KOK gen. M. D., Naczelny Prokurator Wojskowy generał J. S., Prezes Izby Wojskowej Sądu Najwyższego generał K. E., Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości generał T. S. oraz płk T. M. z Sekretariatu KOK. Przed każdym z członków Rady Państwa leżały maszynopisy zawierające treść aktów prawnych, które miały być uchwalone. Posiedzenie otworzył przewodniczący Rady Państwa H. J. i zapoznał Radę Państwa z pismem Prezesa Rady Ministrów generała W. J., który powołując się na treść art. 33 ust. 2 Konstytucji, wnosił o podjęcie uchwały w sprawie wprowadzenia stanu wojennego i 4 dekretów

dotyczących stanu wojennego. Następnie przewodniczący oddał głos generałowi T. T. Gen. T. T. przedstawił argumenty dotyczące sytuacji wewnętrznej – polityczne, społeczne, gospodarcze. Oświadczył, że Polsce grozi anarchia, powrót do państwa burżuazyjnego, kontrrewolucja, co powoduje potrzebę przywrócenia ładu i porządku w państwie. Sposobem na to ma być uchwalenie uchwały i dekretów wprowadzających stan wojenny. Ogólnie zrelacjonował treść tych dokumentów. W następnej kolejności wyjaśnień udzielili T. S. i J. S., odnośnie pozostałych dekretów. Członkowie Rady Państwa próbowali przeczytać przedstawione im dokumenty, lecz nie zdołali dokładnie zapoznać się z uwagi na zbyt krótki czas. W toku posiedzenia nikt publicznie nie podnosił groźby zewnętrznej interwencji. Nikt też nie podnosił kwestii trwania sesji Sejmu PRL VIII kadencji".

Dalszy opis przebiegu wydarzeń z 13 grudnia.

„W dniu 13 grudnia Przewodniczący Rady Państwa zarządził publikację dekretów i uchwały w Dzienniku Ustaw. Podpisane akty prawne zostały przekazane do Biura Urzędu Rady Ministrów. W dniu 14 grudnia 1981 roku rano na polecenie Dyrektora Biura K. S. legislatorzy otrzymali otrzymali teksty celem przejrzenia ich i zaopiniowania. Stwierdzili oni na wstępie, że w świetle obowiązującej konstytucji wobec trwania jesiennej sesji sejmu nie ma podstaw prawnych do wydania przez Radę Państwa dekretów mocą ustawy. Projekty te, zdaniem legislatorów, zawierały błędy stylistyczne i językowe. Dyrektor Biura K. S. zobowiązał ich do poprawy tych projektów. Legislatorzy nadali tym projektom tekst legislacyjny, czyli dokonali poprawek o charakterze redakcyjnym, nie wkraczając w sferę merytoryczną. Poprawki czynione były na maszynopisach. Uwagi merytoryczne zgłoszone zostały ustnie. Oba akty zostały przekazane do Dziennika Ustaw, zaś opublikowane zostały 17 grudnia 1981 roku Publikacji dokonano w Dzienniku Ustaw nr 29, z 1981 roku, noszącym datę 14 grudnia, który ukazał się 17 grudnia".

Tyle opisów stanu faktycznego, który sąd w świetle zebranych materiałów uznał za wiarygodny.

Podam jeszcze parę fragmentów.

„Analiza materiału dowodowego i wynikających z niego faktów nie pozwala na uznanie za wiarygodne przedstawionych przez oskarżonego – tu jest odniesienie do wyjaśnień oskarżonego generała C. K. – motywów jego działania w dużym uproszczeniu określanych jako przeciwdziałanie interwencji militarnej sił zbrojnych Układu Warszawskiego. Przeczą temu kolejne działania podejmowane w celu sfinalizowania działań planistycznych zmierzających do wprowadzenia stanu wojennego. Przeczą temu także działania podejmowane do czasu wprowadzenia stanu wojennego aż do jego zawieszenia. W toku prac planistycznych ani w czasie podejmowania decyzji na różnych etapach nikt także tej okoliczności nie podnosił. Celem przygotowania działań planistycznych była normalizacja życia społeczno-politycznego rozumiana jako wyeliminowanie z życia publicznego opozycji skupionej wokół NSZZ »Solidarność«. Wszystkie dokumenty, począwszy od myśli przewodniej, a skończywszy na uchwalonych dekretach i uchwale wskazują, że jedynym powodem wprowadzenia stanu wojennego była sytuacja wewnętrzna Polski i przywrócenie stanu poprzedniego, czyli sprzed okresu powstania wolnych związków zawodowych".

Jeden fakt, gdyby ktoś miał wątpliwości, co do znaczenia tej Rady.

„Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego rozpoczęła swoją działalność w dniu 14 grudnia o godzinie 16.00".

Odniosę się jeszcze do jej nazwy, bo taka perfidna ironia nas jest charakterystyczna dla działań komunistycznych. Przypominacie sobie Związek Patriotów Polskich – to zdrajcy narodu, przeselekcjonowani w sposób szczególny przez tych, którzy byli wrogami narodu polskiego. Organizacji wojskowej o charakterze zbrojnym nadano miano Rady Ocalenia Narodowego! Dla języka komunistycznego owa perfidna ironia nazw jest rzeczą charakterystyczną.

Podam parę ocen wynikających z analizy prawnej dokonanej przez sąd.

„Regulacja dekretu o stanie wojennym zawarta w art. 1 ust. 2 dotycząca uwarunkowań wprowadzenia stanu wojennego na całym bądź części terytorium państwa stanowi modyfikację reguły konstytutywnej ujętej w art. 33 ust. 2 Konstytucji z 1952 roku Regulacja ta zawarta

w dekrecie, a stanowiąca podstawę prawną wydania uchwały oraz fakt obciążania owego dekretu deliktem konstytucyjnym w postaci wydania go w czasie sesji sejmu wskazuje, że również wydanie uchwały przez Radę Państwa było nielegalne. Zważywszy na cytowane wyżej zapisy preambuły Uchwały ws. wprowadzenia stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa, oczywistym jest wniosek, że podstawą prawną tej uchwały był Dekret o stanie wojennym. Uchwalenie tego dekretu poprzedzało opisywaną uchwałę. Takie działanie wskazuje na próbę legalizacji dekretu, co jednocześnie implikuje świadomość ich nielegalnego wydania".

To bardzo ważna konstatacja dokonana przez sąd, mająca też znaczenie dla ustalenia winy w rozumieniu prawa karnego.

„Na uwagę zasługuje fakt, iż Dekret o stanie wojennym nie wskazuje uchwały jako podstawy prawnej do wydania, jak to czyniła Uchwała w stosunku do Dekretu, którego przepis stanowił podstawę prawną jej wydania. Analiza treści obu aktów prawnych wskazuje, że kolejność uchwalania dekretów i uchwały nie jest przypadkowa. Treść wymienionych aktów wskazuje, iż przyczyną wprowadzenia stanu wojennego nie był wzgląd na kwestie obcej interwencji. W ocenie Sądu Okręgowego nielegalne było także podjęcie przez Radę Państwa w dniu 13 grudnia Uchwały w sprawie wprowadzenia stanu wojennego. Do takiego wniosku jednoznacznie prowadzi analiza podstawy prawnej tej uchwały określonej w jej preambule w postaci przepisu art. 1 ust. 2. Skoro więc podstawą prawną uchwały stanowi przepis wydany nielegalnie niekonstytucyjny Dekret o stanie wojennym, to w konsekwencji tego niewątpliwie nielegalne i niezgodne z prawem było podjęcie Uchwały w sprawie wprowadzenia stanu wojennego. W ocenie sądu chodziło o stworzenie umocowania prawnego dla działań organów realizujących stan wojenny w Polsce. Złamano jedną z podstawowych zasad prawa *lex retro non agit* nakazującą, aby prawo nie działało wstecz".

Tu sąd powraca też do oceny, że bezpośrednim powodem wprowadzenia stanu wojennego była sytuacja wewnętrzna w kraju, a to dlatego, że na gruncie przepisów konstytucji nie ma żadnych wątpliwości, że przepisy konstytucyjne instytucje stanu wojennego odnosiły

wyłącznie do sprawy zagrożenia zewnętrznego, a nie wewnętrznego. W związku z wynikami analiz prawnych prowadzonych w Komitecie Obrony Kraju jeszcze w 1980 roku przez gen. T. T. i z-cę Szefa Sekretariatu KOK płk T. M., uczestnicy tego tajnego porozumienia mieli pełną świadomość, że wprowadzanie stanu wojennego z wykorzystaniem uprawnień Rady Państwa do wydawania dekretów z mocą ustawy w trakcie trwającej sesji sejmu będzie nielegalne. Oznacza to, że mieli również pełną świadomość, że stosowanie rygorów stanu wojennego na podstawie dekretów uchwalonych przez Radę Państwa związanych z ograniczeniem praw i wolności obywatelskich [zwłaszcza wolności], będą realizować znamiona czynów zabronionych, polegających – jak zarzuca to akt oskarżenia – na pozbawieniu wolności przez internowanie i wykonanie kar pozbawienia wolności orzeczonych za czyny niekaralne w czasie ich popełnienia oraz innych przestępstw przeciwko wolności, a nadto naruszaniu nietykalności cielesnej, tajemnicy korespondencji oraz spraw pracowniczych obywateli polskich skupionych w ruchu społecznym związanym z NSZZ »Solidarność«. Wskazane analizy prawne dokonane przez wymienione osoby jak płk M, gen. T., a potem także przez gen. H. wskazywały na konieczność podjęcia prac legislacyjnych w kierunku zmiany Konstytucji PRL. Ostatecznie ustalono jednak przyjęcie na przyszły użytek propagandowej, oczywiście błędnej wykładni konstytucji, że jedynie Rada Państwa posiada uprawnienia do wprowadzenia stanu wojennego i dekretów wykonawczych. Mimo tej świadomości uczestnicy owego porozumienia brali udział w opracowaniu aktów normatywnych, planów działań organów władzy, mediów publicznych dotyczących nielegalnego wprowadzenia stanu wojennego, następnie doprowadzili do nielegalnego wydania dekretów. Uczestnicy tego tajnego porozumienia mając na celu, mówiąc w uproszczeniu, wprowadzenie nielegalnego stanu wojennego piastowali wysokie funkcje we władzach państwowych i partyjnych i wykorzystywali w swoich działaniach aparat państwa, w tym również wojsko i milicję. Nie oznacza to jednak, że ich działanie było legalne ani że przez fakt pełnienia funkcji w rożnych strukturach państwa oraz posiadanych w związku z tym uprawnień

ich porozumienie nie może być ocenione jako zawiązanie związku przestępczego o charakterze zbrojnym. Istota ich porozumienia i podjętych w jego następstwie działań sprowadzała się do wykorzystania w zawiązku z wykorzystanymi funkcjami aparatu państwa, w tym również wojska i milicji do nielegalnego wprowadzenia stanu wojennego poprzez działania przygotowywane i prowadzone w tajemnicy. W tym celu uczestnicy tego porozumienia obsadzali w międzyczasie kolejne funkcje w aparacie państwa i partii. Cechą działań w tym okresie było podejmowanie faktycznych decyzji poza organami konstytucyjnymi. Uczestnicy związku przestępczego, będąc najwyższymi dowódcami LWP i pełniąc wysokie funkcje w państwie i w partii, nie musieli tworzyć odrębnych, rozbudowanych struktur związku przestępczego, gdyż mogli dla swoich celów przestępczych wykorzystywać istniejące struktury państwowe, zwłaszcza uzbrojone formacje podległe MON i MSW. Jedynym celem wprowadzenia stanu wojennego jest odtworzenie naruszonego prawa konstytucyjnego, w tym głównie przywrócenie normalnego rytmu pracy, porządku wewnętrznego, niezbędnego zaopatrzenia ludności itd.".

To uzasadnienie, które padało i do niego sąd się odnosił.

„Zauważyć należy, że członkowie związku weszli w porozumienie mające na celu nielegalne wprowadzenie stanu wojennego najpóźniej w marcu 1981 roku, a więc sama działalność przestępcza zgodnie z ustaleniami sądu zaczęła się najpóźniej w marcu 1981. Za datę początkową uznano datę podpisania dokumentów określających kierunek prac nad stanem wojennym zainicjowanym przez członków związku [przestępczego]. Faktycznym motywem działania członków związku przestępczego mającego na celu nielegalne wprowadzenie stanu wojennego było zachowanie obowiązującego systemu ustrojowego i osobistej pozycji w hierarchii aparatu państwa i partii. Tym bardziej, że z materiału dowodowego zebranego w niniejszej sprawie wynika, że władze państw Układu Warszawskiego, a w szczególności Związku Radzieckiego oczekiwały uspokojenia sytuacji w Polsce polskimi rękoma i dla osiągnięcia tego podejmowały również działania zmierzające do zmian personalnych

w polskich władzach partyjnych oraz państwowych i wprowadzenia na najwyższe stanowiska konkurentów politycznych ekipy gen. W. J.".

Myślę, że zorientowałem was w najważniejszych elementach treści orzeczenia sądowego. To orzeczenie jest wskazaniem, że reguły myślenia prawniczego pozwalają na dość dobrą analizę sytuacji faktycznych pozwalającą unikać błędów, fałszów, pozorów itd. Na pytanie, czy mamy do czynienia ze zjawiskiem szczególnym, moim zdaniem trzeba powiedzieć, że absolutnie nie. Przecież PRL od początku swego istnienia był państwem, które w ujęciu teoretycznym można co najwyżej nazwać władcą pozornie praworządnym, a państwem praworządnym nigdy nie był.

Co ciekawe, jeśli odwołuję się do koncepcji władcy pozornie praworządnego, to mówię o koncepcji państwa autorstwa Stanisława Ossowskiego powstałej na wiele lat przed wydarzeniami lat 80. Ossowski był znakomitym polskim socjologiem. Jego koncepcja władcy pozornie praworządnego świetnie tłumaczy historię PRL, czy sięgniemy do lat 40., 50., 70., czy 80. Jego teoria identyfikuje narzędzia stwarzania pozorów praworządności. Stanisława Ossowski to świetny popis tego, jak teoretyczne wnioskowania mogą być źródłem wiedzy i poznania. Mówił o tym, że władca pozornie praworządny stwarza owe pozory praworządności, posługując się następującymi technikami:

1) argumentem wyjątkowej sytuacji,
2) argumentem dobra społecznego,
3) praktyką niesystematyczności naruszeń praworządności tego samego typu i
4) specyficznym rytuałem działań.

Gdyby tak zanalizować przebieg wydarzeń roku 1980 i 1981, znajdziemy tu właśnie tłumaczenie niepraworządności wyższym dobrem społecznym albo wyjątkową sytuacją, mamy specyficzny rytuał działań oraz dbałość o to, aby naruszenia nie miały charakteru systematycznego, a więc nie stawały się tak ewidentne. Stosując reguły myślenia prawniczego trzeba tak widzieć wydarzenia w Polsce w 1981 roku i następnym, i nie dać się zwieźć mniemaniom, złudom, fałszom itd. To

zresztą jest w ogóle problem poznania, czy mówimy o naukach prawniczych, czy naukach socjologicznych. Błędem jest przekonanie, że widzimy, co widzimy, wiemy, co widzimy, i rozumiemy, co wiemy. To jest świadomość naiwna. Metodologia nauk społecznych polega właśnie na tym, że tworzy się bardzo precyzyjne narzędzia poznania i bardzo starannie określa się sposób ich wykorzystania po to, żeby w sposób prawidłowy określać rzeczywistość, a nie tworzyć dowolne zlepki wydarzeń i opisywać sobie historię wedle swego widzimisię. W związku z tym, jeśli chodzi o wydarzenia, których kulminacją jest data 13 grudnia, warto skorzystać z dobrej wiedzy prawniczej, by zrozumieć, że mieliśmy do czynienia z wydarzeniami, w których grupa przestępcza o charakterze zbrojnym, zawłaszczając aparat państwowy, aparat przemocy, dokonywała bezprawnych działań, które można rożnie nazywać, ale pierwszym krokiem do błędnych interpretacji jest nazywanie tych wydarzeń stanem wojennym. Sąd, mimo że używa tego określenia, zastrzegł w pewnym momencie, że jest to określenie skrótowe, względne i trzeba je dobrze rozumieć.

DYSKUSJA

Głos z sali: Jedno pytanie do Zbyszka, bo obiecał, że powie o prawomocności.

Zbyszek: Trzeba rozumieć mechanizm prawa, żeby oddzielić kwestie procesowe i problemy orzekania o wydarzeniach 1980 roku w roku 2008 i 2012 itd. Nie jest problemem kwestia tego biegu procesowego. Bardziej namawiałbym na zwrócenie uwagi na to, w jaki sposób prawniczo weryfikuje się bieg zdarzeń, opowieści o nich. Ja świadomie pominąłem wyjaśnienia, które składali oskarżeni w procesie karnym czy jak relacjonowali te wydarzenia świadkowie. Cenne poznawczo jest to, że stosując owe metody procesowe dokonuje się bardzo rzetelnej kwalifikacji zdarzeń. Kwalifikacja taka bardzo ładnie identyfikuje pozory i fałsze, odmawiając im wiarygodności oraz mocy opisu sytuacji faktycznej. W publicystyce, ale również w opisach mających rangę naukowych, a w rzeczywistości pseudonaukowych, bardzo często takich narzędzi nie ma. Tworzy się dowolne zlepki, konstrukcje i opisy, interpretacje dochodzące do momentu sprzeczności z rzeczywistością. Zawsze, kiedy naprawdę chcemy się dowiedzieć, jak było, musimy sobie zadać pytanie, jakie mamy źródła wiedzy w jaki sposób tę wiedzę weryfikujemy. Inaczej jesteśmy skazani na dowolne, często bardzo mylące opisy i interpretacje. Dzisiaj można tworzyć dowolne narracje w stosunku do określonych faktów.

Michał Janiszewski: Chciałbym nie tyle zadać pytanie, co wyrazić konkluzję. Byłem 2 razy skazany w stanie wojennym. Był dekret, był przepis, wszystko jasne. Każda ze stron wiedziała, o co chodzi. Trafił się radca prawny, który wypisując uzasadnienie do wyrzucenia mnie z pracy, napisał że nie mogę być zatrudniony na stanowisku jako człowiek

z takim nastawieniem o poglądach antysocjalistycznych. Moim zdaniem po 1989 roku trwa zacieranie śladów działalności tej grupy przestępczej i wszystkich pomagierów. W 2002 roku, nie prosząc o to, dostałem nomen omen od Włodzimierza Cimoszewicza, ówczesnego ministra sprawiedliwości, uniewinnienie wyroku i uznanie go za niebyły. Nie prosiłem o to, oni sami czyszczą po sobie swoje postępowanie. Ten wyrok pokazuje także grę z Kościołem. Okazuje się, że ten dekret był dawno wydrukowany, a z Kościołem prowadzono grę, że tam są inne zapisy. To też by to wyjaśniało.

Zbigniew Jackiewicz: Podzielam twoje zdanie. Byłoby zafałszowaniem rzeczywistości, gdyby się powiedziało, że zorganizowana grupa przestępcza używała tylko aparatu z ministerstwa spraw wewnętrznych i MON. Nie, używała również aparatu sądu i prokuratury, Ministerstwa Sprawiedliwości, agentury i wszystkich służb, które tworzyły aparat przemocy PRL. Co robi władca pozornie praworządny? Oczywiście, że zaciera ślady na rożne sposoby. Deprawowanie myśli prawniczej w PRL miało gigantyczne rozmiary. Jest to historia państw takich jak PRL, ZSRR, gdzie do stosowania prawa desygnowano funkcjonariuszy, którzy myśleli w kategoriach instrumentalnego traktowania prawa, a nie stosowania reguł myślenia prawniczego. To były prawnicze głąby. W aparacie państwowym PRL były głąby tego samego rodzaju.

Mogę przytoczyć tu dobrze znaną mi historię Adama Łopatki. Był to funkcjonariusz, który pojawiał się w każdym miejscu. Gdy trzeba było być pierwszym prezesem Sądu Najwyższego – to był. Gdy trzeba było być szefem Urzędu ds. Wyznań – był, a kiedy trzeba było być prezesem Instytutu Państwa i Prawa – to był (Małgorzata Gersdorf to taki Adam Łopatka w innej rzeczywistości – też obskakuje wszystkie funkcje, które są potrzebne grupie, która deprawuje całą dziedzinę stosowania prawa). Problem polega na tym, że ci ludzie są jeszcze czynni zawodowo. Mało tego, przy normalnym biegu spraw zajmują wysokie pozycje. Bardzo dbali, żeby tam się znaleźć i do dzisiaj o to dbają, ponieważ mają do wykonania cały szereg zadań polegających na niewyegzekwowaniu odpowiedzialności wobec całej tej grupy.

Mirosław Lewandowski: Nie będę mówił o rzeczach, z którymi się zgadzam. Powiem o tym, z czym się nie zgadzam.

Pierwsza rzecz. Skoro mówimy o analizie prawnej, zabrakło mi wzmianki o wniosku wstępnym Konfederacji Polski Niepodległej z 1991 roku dotyczącego postawienia przed Trybunałem Stanu twórców stanu wojennego, to znaczy wszystkich członków Rady Państwa i wszystkich członków Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego za dekret o stanie wojennym. Upominam się o to, gdyż była to pierwsza próba, podjęta 20 lat przed wyrokiem z 2012 roku, i 30 lat licząc od dziś. Wniosek opierał się na tych przesłankach, o których mówił Zbyszek [Jackiewicz], to znaczy, że dekret o wprowadzeniu stanu wojennego był dekretem nielegalnym, ponieważ został podjęty w okresie trwania sesji sejmu.

Parlament w PRL obradował w trybie sesyjnym, inaczej niż dzisiaj. Dzisiaj po prostu są posiedzenia i Marszałek Sejmu może zwołać posiedzenie, kiedy chce, jeżeli się rozpoczęła kadencja i nie zakończyła. Za PRL tryb parlamentu był sesyjny. Były 2 sesje w ciągu roku: wiosenna i jesienna, a marszałek sejmu mógł zwołać posiedzenie sejmu tylko wtedy, kiedy trwała sesja. Przewodniczący Rady Państwa otwierał sesję. Sesja sejmu trwała 6 miesięcy w ciągu roku kalendarzowego: 3 miesiące wiosną i 3 miesiące jesienią. W okresie, kiedy nie było sesji sejmu i nie można było zwołać parlamentu, dekrety wydawała Rada Państwa.

Nielegalność stanu wojennego, taka najbardziej ewidentna i oczywista, o której mówił Zbyszek i na co zwracaliśmy uwagę w KPN, polegała na tym, że Rada Państwa podjęła dekret o wprowadzeniu stanu wojennego w momencie, kiedy trwała sesja Sejmu. Jak trwała sesja Sejmu, to powinno być zwołane posiedzenie Sejmu przez marszałka, co oni w lutym bądź w marcu brali pod uwagę. Skoro trwała sesja Sejmu, Rada Państwa nie mogła wydawać żadnych dekretów. Problem polegał na tym, że gdyby trzeba było zwołać posiedzenie Sejmu i uchwalić ustawę, nie dałoby się tego zrobić „z zaskoczenia". A Zbyszek [Jackiewicz] cytował, że oni przyjechali w nocy, nie pokazywali im dokumentów, zawieźli ich samochodem itd.

Zbigniew Jackiewicz: Temat jest szerszy. Deliktów konstytucyjnych w tych działaniach jest więcej niż jeden, ale ten jeden jest ewidentny. On jest wyraźnie opisany w tym wyroku Trybunały Konstytucyjnego z 16 marca 2011 roku Wszyscy wiedzieli, że tzw. stan wojenny jest nielegalny, bo ten delikt, o którym mówisz i który jest opisany, to jest wiedza z zakresu prawa konstytucyjnego na poziomie studenta I roku. To w ogóle nie stanowi żadnego problemu prawniczego. To jest urzędowe kłamstwo. W historii PRL było wiele urzędowych kłamstw. To kłamstwo polegało na tym, że racje polityczne, propagandowe, indoktrynacyjne stawiano wyżej niż poszanowanie prawa. Wkładano ludziom do głowy, że pierwszym materiałem o stanie wojennym było przemówienie generała zaczynające się od słów: „Rada Państwa, zgodnie z postanowieniami konstytucji…". Wszyscy o tym wiedzieli. Mamy to w tym opisie sytuacji faktycznej. Od 1980 roku prawnicy zaangażowani w ową grupę przestępczą o charakterze zbrojnym doskonale wiedzieli, że to jest prawnicza nieprawda i utrzymywali to kłamstwo. Byliśmy karmieni tym kłamstwem nie tylko w okresie PRL, ale przez długi czas III RP. Ja dopiero ostatnio zanotowałem praktyki, że gdy TVP opowiada o 13 Grudnia, omija ten fragment i puszcza inny fragment przemówienia, albo pojawia się komentarz. Jest skandalem, że takie orzeczenia mamy tak późno. Słusznie przypominasz historię inicjatyw KPN. Jeśli chodzi o praworządność III RP, skandalem jest, że to są wyroki z 2011 i 2012 roku, bo to znaczy, że przez 20 lat skutecznie utrzymywano kłamstwo propagandowe. Przestępstwa nie był ścigane, a ludzie byli karmieni fałszywą propagandą PRL. Oczywiście były publikacje odnoszące się do tej sprawy, ale edukacja społeczna była oparta na fałszu.

Mirosław Lewandowski: Dzisiaj sprawa, o której mówi Zbyszek [Jackiewicz], jest prawniczo oczywista. Gdybyśmy sięgnęli do prasy z 1991 roku, do tego, co wtedy pisała „Gazeta Wyborcza", która miała dominującą pozycję, to wniosek Konfederacji Polski Niepodległej, żeby twórców stanu wojennego postawić przed Trybunałem Stanu za dekret o stanie wojennym – to była po prostu rewolucja. Badania opinii

publicznej mówiły wtedy, że ponad połowa społeczeństwa akceptowała wprowadzenie stanu wojennego.

Upominam się o to, dlatego że ten wniosek ja osobiście pisałem. Złożyliśmy ten wniosek 8 grudnia 1991 roku, tj. 4 dni przed upływem terminu przedawnienia (zgodnie z ustawą o Trybunale Stanu) dla twórców stanu wojennego. Gdybyśmy spóźnili się 4 dni ze złożeniem tego wniosku, to Trybunał Stanu nie byłby w stanie go rozpatrywać. Sprawa była istotna, ponieważ Konfederacja Polski Niepodległej nie tworzyła nigdy rządu, nigdy nie wchodziła do rządu i Trybunał Stanu to było jedyne narzędzie dla nas, pozostających cały czas w opozycji, żeby można było tego typu postępowanie uruchomić przeciwko Jaruzelskiemu, Kiszczakowi i innym. Gdybyśmy nie złożyli tego wniosku, wszystko byłoby pod kontrolą i w rękach rządu. A jak podkreślił Zbyszek, od 1989 roku aż do momentu, o którym mówimy, żaden rząd nie odważył się wyważyć drzwi, które w sposób oczywisty były otwarte dla każdego prawnika, że dekret o stanie wojennym był nielegalny.

Ustawa o Trybunale Stanu w tamtym brzmieniu mówiła, że wstępny wniosek, który pozwala uruchomić tę procedurę, potrzebuje podpisu 50 posłów. A Klub Parlamentarny Konfederacji Polski Niepodległej liczył 51 członków. Było „na styk".

Pamiętam, jak rozmawiałem z Zygmuntem Berdychowskim, który należał do jakiegoś chłopskiego ugrupowania Solidarności. Zygmunt Berdychowski powiedział, że oni byli zupełnie czym innym zainteresowani i nie było żadnych szans, żeby jakiś inny klub (nie wiem, jak zachowałoby się PC) poparł nasz wniosek.

Wniosek przewidywał pociągnięcie tych osób do odpowiedzialności konstytucyjnej i karnej.

Michał Janiszewski był wiceprzewodniczącym w Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Trafił tam dlatego, że klub liczył, że nie będzie tam żadnej roboty, a Michał miał dużo pracy w KPN. Po czym, w wyniku wstępnego wniosku złożonego przez posłów KPN Michał był jednym z najbardziej zapracowanych posłów I kadencji.

Oni potem zażądali, żebyśmy my przedłożyli, jaka jest kwalifikacja karna tego zarzutu. Z tego, co czytałeś, oni mówią, że skoro dekret był

nielegalny, to naruszono wolności, prawa obywatelskie itd. Kwalifikacja prawna, którą myśmy podali, była zupełnie inna. Art. 123 kk to jest zdrada stanu, zagrożona – wedle ówczesnych przepisów – do kary śmierci włącznie. Kiedy śp. Andrzej Mazurkiewicz powiedział o tym zagrożeniu w Sejmie, zrobiła się cisza jak makiem zasiał. Oni kombinowali jakieś 2 lata w zawieszeniu....

Czemu Andrzej Mazurkiewicz występował w sejmie? Bo my złożyliśmy ten wniosek. Oni stawali na rzęsach, aby go formalnie „uwalić" pod zarzutem, że wniosek nie spełnia wymogów formalnych. Spełniał. Postępowanie zostało rozpoczęte, ale było przewlekane. Minęło 10 miesięcy, nie przesłuchali nikogo. Złożyliśmy zatem wniosek o przyspieszenie prac i dopiero wtedy przesłuchania w sejmie I kadencji ruszyły. Zofia Kuratowska z Unii Demokratycznej zwaliła całą winę za przewlekanie sprawy na Michała Janiszewskiego – że to niby z jego powodu nie ma przesłuchań, bo on jest z KPN, jest członkiem Komisji (jeden na kilkunastu) i to przez niego Komisja nie przesłuchała do tej pory nikogo. Oni uznali też, że nasz wniosek o przyspieszenie pracy sejmu jest skandalem, bo narusza praworządność, narusza prawo Jaruzelskiego do obrony. Oni przez 10 miesięcy nikogo nie przysłuchali, a jak powiedzieliśmy im, żeby się wzięli do pracy, to orzekli, że naruszamy Jaruzelskiemu prawo do obrony, że to jest bolszewia, sowietyzm.

Równocześnie Sejm I kadencji na wniosek posła Marka Markiewicza z Solidarności przygotował projekt uchwały o uznaniu decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego za nielegalną. Debata nad tym projektem odbyła się nazajutrz po odrzuceniu przez Sejm w pierwszym czytaniu naszego projektu ustawy o Restytucji Niepodległości (bo jeszcze to było). To pokazuje, jak mocno weszliśmy do tego Sejmu: pociągnięcie Jaruzelskiego i reszty do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu, Restytucja Niepodległości i jeszcze debata nad uchwałą Solidarności. To w tej debacie Moczulski powiedział słynne zdanie: „Płatni zdrajcy, pachołki Rosji".

Podszedłem wtedy do Markiewicza, tłumacząc mu, że to jest źle zredagowany projekt. Tam było napisane o uznaniu decyzji za nielegalną, a z punktu widzenia pociągnięcia całej grupy przestępczej

do odpowiedzialności karnej powinno być napisane, że Sejm uznaje uchwałę i dekret za nielegalny, a nie decyzję. Decyzja nielegalna to nie jest pojęcie prawne. Nalegałem, żeby to zmienili, w miejsce decyzji wstawili uchwałę i dekret, bo to nam ułatwi pociągnięcie do odpowiedzialności karnej tych gości.

Co zrobił Markiewicz? Nic nie zrobił. Po prostu wszyscy się bali. Już nie powiem, co zrobił rząd Olszewskiego i Suchockiej, żeby pociągnąć Jaruzelskiego do odpowiedzialności karnej...

Kiedy się za to wzięli? Nabrali odwagi, gdy Jaruzelski umarł. I wtedy oskarżonym był już tylko Kiszczak. W 2012 roku Jaruzelskiego już nie było.

Głosy z sali: Jaruzelski jeszcze wtedy żył![17]

Mirosław Lewandowski: Żeby skończyć ten temat z wnioskiem Konfederacji Polski Niepodległej. Była to jedyna udana próba, żeby tych ludzi pociągnąć do odpowiedzialności karnej. Jedyna udana. Wdrożono procedurę. Wprawdzie Sejm I kadencji został rozwiązany, ale nie było zasady dyskontynuacji, więc musieli się tym zająć. Dopiero Sejm II kadencji, w którym dominowały ugrupowania postpeerelowskie, umorzył postępowanie w 1995 roku Ale to był wynik wyborów w 1993 roku. Taka była sytuacja. Gdyby nie rozwiązano Sejmu I kadencji, być może to by się udało.

Potem IPN czy prokuratura, już w XXI w., ponownie wniosła akt oskarżenia ws. Jaruzelskiego. I co się stało? Sąd uznał, że akt oskarżenia jest niewłaściwie przygotowany i sprawę cofnął.

Tak więc jedynym skutecznym uruchomieniem procedury, żeby ich pociągnąć do odpowiedzialności karnej, był wniosek KPN. Był też podjęty najwcześniej. To był najwcześniejszy wniosek i jedyny skuteczny do momentu, dopóki od nas to zależało.

---

[17] W marcu 2011 zdiagnozowano u Jaruzelskiego nowotwór złośliwy, a latem tr. biegli uznali, że jest on niezdolny do udziału w procesie. Jaruzelski zmarł 25.05.2014.

Zbigniew Jackiewicz: Byłbym niekoleżeński, gdybym ci się nie odwdzięczył polemiką. Kiedy mówisz, że ten wniosek był udany i skuteczny, masz swoistą definicję działań udanych i skutecznych.

Mirosław Lewandowski: No, wszczęto postępowanie, które trwało 4 lata. Nikomu się to nie udało. IPN, który w XXI wieku wniósł akt oskarżenia, nie udało się wznieść sprawy przed sąd, bo sąd cofnął akt oskarżenia. Nasza próba była jedynym udanym wszczęciem procedury. A co robiły inne kluby, PC, ZChN, Solidarność?

Zbigniew Jackiewicz: Ale ten wyrok zapadł.

Mirosław Lewandowski: I jest prawomocny? Nie!

Zbigniew Jackiewicz: A dlaczego nie?

Mirosław Lewandowski: Po pierwsze oskarżonym nie jest Jaruzelski i cała reszta zorganizowanej grupy przestępczej, tylko Kiszczak. Po drugie Kiszczak nie został skazany[18]. To nie jest wyrok prawomocny. To ma kluczowe znaczenie.

Głos z sali: Kiszczak został skazany.

Mirosław Lewandowski: Za Dekret o stanie wojennym? I czy to jest wyrok prawomocny? Mówimy o rozliczeniu stanu wojennego. Jedyna

[18] 12.01.2012 Sąd Okręgowy w Warszawie uznał winę Czesława Kiszczaka z tytułu członkostwa w związku przestępczym o charakterze zbrojnym (art. 258 § 2 Kodeksu karnego), wymierzając mu karę 4 lat pozbawienia wolności, łagodząc ją jednak na podstawie amnestii z 1989 o połowę, tj. do 2 lat oraz warunkowo zawieszając z uwagi na wiek i stan zdrowia oskarżonego, na okres 5 lat. 5.06.2013 sąd apelacyjny zawiesił proces z powodu stanu zdrowia oskarżonego. W lipcu 2014 sąd apelacyjny uznał, że Czesław Kiszczak może uczestniczyć w procesach sądowych. 15.06.2015 apelacja została oddalona, a wyrok (2 lata w zawieszeniu) stał się prawomocny. Kiszczak zmarł 5.11.2015.

udana próba wszczęcia tej procedury była podjęta w wyniku działań KPN. Michał Janiszewski zwrócił uwagę, że mamy tu odpowiedź na to, o czym mówił wczoraj Andrzej Anusz, to znaczy, że w dekrecie o stanie wojennym nie było stalinowskich przepisów dotyczących obsady stanowisk kościelnych. Z tego, co mówił wczoraj ksiądz profesor wynikałoby, że były to luźne gadki, którymi oni próbowali szantażować Kościół. Skoro te dokumenty były wydrukowane w ZSRR, to nie było możliwości już niczego usunąć.

Głos z sali: Wszystko było rozlepione na murach.

Mirosław Lewandowski: To, co oni negocjowali z Kościołem i gdy Kościół się postawił, usunięto zapisy o obsadzie stanowisk kościelnych przejęte z czasów stalinowskich, to – jak mówił wczoraj ksiądz profesor – były tylko luźne kartki, a nie dekret wydrukowany w ZSRR.

Zbigniew Jackiewicz: To nie dekret był rozlepiany na murach.

Andrzej Anusz: To były wykonawcze dyrektywy.

Mirosław Lewandowski: Jakżeż?! Dekret był wywieszony na murach!

Głos z sali: Dekret jest czymś w rodzaju ustawy. Mogło być tak, że te materie, które dotyczyły np. obsadzania stanowisk kościelnych, nie znajdowały się w samym dekrecie, tylko w notatkach służbowych.

Mirosław Lewandowski: Ostatnia rzecz. Z tego, co mówił Zbyszek [Jackiewicz], Kukliński brał udział w przygotowaniach związanych z wprowadzeniem stanu wojennego w tej zorganizowanej grupie przestępczej w lutym 1981 roku Należy zatem domniemywać, że Amerykanie w lutym-marcu 1981 roku wiedzieli o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego. Wracam do pytania, dlaczego nie została uprzedzona Solidarność, dlaczego nie został uprzedzony Jan Paweł II o planach wprowadzenia stanu wojennego?

III DZIEŃ (29 MAJA 2022 ROKU)

Dr Bohdan Urbankowski

STAN WOJENNY W GÓRACH ŚWIĘTOKRZYSKICH

Naszym tematem są wspomnienia, przeszłość i od tego tematu powinienem zacząć. Wigilię 1981 roku przeżywałem już w stanie wojennym. Napisałem wówczas wiersz:

To nie krew na śniegu tak płonie –
Noc jak usta oniemiałe w krzyku.
Ponad miastem krążą czerwone –
krwawe, krwawe gwiazdy koksowników.

Za oknami chrzęści krok patrolu.
Strach jak knebel rośnie nam w gardłach.
I brak siły aby wyjść z domu,
Brak odwagi by mówić o zmarłych.

Niech tak leżą w sinych świateł błyskach,
Całunami brudnych gazet przykryci.
Niech czekają – może wyjdzie do nich Chrystus,
Może On odważy się krzyczeć...

Nam brak sił. I tylko drżąca ręka
Z trudem świeczkę zapala na oknie.
W każdym domu jest teraz cmentarz.
W całej Polsce – coraz samotniej.

Tak odbieraliśmy tamten czas. Koksowniki, błyski lamp, ranni na ulicach. To wszystko jakby niezależenie ode mnie znalazło się w tym wierszu. Nie ma tylko jednej rzeczy. Jest słowo Wigilia – ten obyczaj długo kultywowaliśmy, nawet w poprzednim roku w grudniu. Gdy z córką wyszedłem na balkon, mimo chłodu, zauważyłem, iż na siedmiu parapetach płonęły świeczki. Na 140-tysięczny Ursynów przynajmniej 14 osób pamiętało. To symboliczna, reprezentacyjna cyfra.

Wspomniałem o tym, co jest, ale warto zastanowić się nad tym, czego nie ma. Nie ma hasła: „wprowadzenie stanu wojennego", który to temat przyświecał naszym wcześniejszym dyskusjom. Dlaczego? Ponieważ byłoby to ugięcie się przed językiem wroga. To oni mówili o wprowadzeniu, tak jakby musieli to zrobić, a my jakoby byliśmy winni. Mieszanie kata z ofiarą jest cechą tego systemu, zresztą do dzisiaj.

Potem Solidarność zaczęła się odbudowywać. Warto się zastanowić, czy odbudowała się do końca oraz wspomnieć, skąd się wzięło hasło „solidarność" i co ono oznacza.

* * *

Jest to rzecz historycznie mało znana, ale hasło „solidarność" jako hasło klasy robotniczej pojawiło się w czasach „Wielkiego Proletariatu". Grupa „Solidarność" częściowo przekształciła się w „Proletariat", a potem w PPS. Była to jedna z tradycji polskiej działalności wspólnotowej. Tak jak w Wielkopolsce powstawały zakładane przez księży kasy wzajemnej pomocy czy Abramowski i Żeromski zakładali spółdzielnie (od słowa: działać wspólnie). Czy ludzi w tamtych czasach, używających tej nazwy i ludzi współczesnych coś łączyło? Wydaje się, że jest to pewnego rodzaju mit. Modne słowo, które nagle zaczęło płynąć przez Europę i w innych krajach też zaczęto go używać, chociaż niemal na każdym podwórku znaczyło co innego.

Słowo „solidarność" w czasach Ewangelii oznaczało małą wspólnotę, później wspólnotę narodową, potem kulturową... Są to pojęcia nie sprowadzalne do wspólnego mianownika.

* * *

Problem, czy ta Solidarność zaczęła się rozsypywać po wojnie jaruzelsko-polskiej, czy nie? Wydawałoby się, że tak, ale było coś, co łączyło te wszystkie nurty i potem połączyło nawet i naszą Solidarność.

We wczorajszej dyskusji była mowa o tym, że był to ruch rozproszony, niemal anarchizujący. Można było do niego zaliczyć na dobrą sprawę zarówno działalność grup robotniczych, jak i poziomek partyjnych czy wspólnot akademickich, które przelotnie połączyły studentów z pracownikami naukowymi (potem to się oczywiście rozeszło). Jest chyba rzecz, która ich wszystkich łączyła i pozwalała do tej wspólnoty dorosnąć. Do Solidarności po prostu trzeba było dorosnąć. Nikt nie rodził się członkiem wspólnoty o nazwie Solidarność.

To dorastanie oznaczało odbudowę elit polskich. Mieliśmy elity w I RP, w II RP, ale zostały one wytrzebione przez obu kolejnych zaborców. Musiały upłynąć co najmniej dwa pokolenia, żeby młodzież zaczęła sięgać do przeszłości, do tradycji literackiej, filozoficznej, żeby dorosnąć do narodowości. Bo do narodowości trzeba dorosnąć. Człowiek różni się od zwierzęcia głównie kulturą, ale kultura dzieli się na kultury narodowe, bo ostatnio widzimy, jak wygląda kultura ogólnoludzka.

Bezradność ONZ, spółdzielnia lekarzy cwaniaków WHO, to są eksperymenty na skalę globalną, które nie wyszły. Jak dotąd (nie wiem, jak to będzie w przyszłości) najbardziej udawał się eksperyment zwany wspólnotą narodową, oparty na kulturze, tradycji, na kodzie kulturowym przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

* * *

Nie przypadkiem mówiłem o dorastaniu, gdyż obiecałem wspomnieć o mojej działalności. Żeby siebie zbytnio nie lansować, chcę podkreślić, że byłem tylko jednym z szeregowych. Przyświeca mi wiersz Herberta, który pisał, że chce być tylko pomocnikiem wolności, natomiast nie od niego to zbudowanie wolności zależy.

Wychowałem się na Śląsku. Kiedy jeździliśmy po Górach Świętokrzyskich, przypomniałem sobie, że tu byłem. Kiedy matka uciekła ze mną z obozu w Pruszkowie, przez pewien czas błąkaliśmy się właśnie tu, w końcu znajdując gościnę po drugiej stronie Gór, w miejscowości Bieliny, w kościele. Był to jeden z bardzo wielu przykładów opieki Kościoła i duchowieństwa nad ludźmi pokrzywdzonymi przez los i, wydaje mi się, że jest to pewnego rodzaju tradycja.

Wspominam Pruszków, dlatego, że to było pierwsze zdarzenie, który mną wstrząsnęło. Dopiero po latach zrozumiałem cały kontekst, kiedy mama opowiadała mi, jak uciekała z obozu. W ucieczkach pomagała doktor Dzierzgowska. Należy się jej to wspomnienie. Ona nie tylko opiekowała się więźniami. Byliśmy pierwszym rzutem z Powstania Warszawskiego. Na Starówce skończyło się wcześniej, już pod koniec sierpnia. Ojca zabrali wtedy do obozu w Oświęcimiu, a mama ze mną została zamknięta w Pruszkowie. Miała szczęście, że poznała doktor Dzierzgowską, która pomagała w ucieczkach. Ucieczki odbywały się w sposób bardzo ryzykowny. W momencie, kiedy wjeżdżał pociąg na teren obozu (jeszcze bardzo zaimprowizowanego obozu, ogrodzonego tylko z zewnątrz), było jedno miejsce nie ogrodzone: pod pociągiem. Tędy wyszliśmy wraz z kilkoma innymi osobami. Pani Dzierzgowska doprowadziła nas do najbliższych zabudowań, które odpowiadały na hasło i były jakoś związane

z Armią Krajową. Mama chce wejść do budynku, Dzierzgowska puszcza ją przodem, ale nie wchodzi. Mama pyta Dzierzgowską

– A pani?

– Nie, ja nie mogę. Jestem lekarzem, muszę wrócić do obozu.

To był przykład pięknej, ludzkiej solidarności. Dzięki Bogu dr Dzierzgowska przeżyła, odwiedzała nas później w Bytomiu. To była spontaniczna solidarność, w małych grupach ludzkich, wynikająca z poczucia powinności. Tak się postępuje, jak należy i w tym momencie przemawiał przez nas ten kod kulturowy wieków. Po prostu odruchowo wiemy, jak w tej sytuacji postąpić, nie robimy dyskusji na ten temat (bo, nie daj Boże, wyszedłby z tego nasz parlament).

W każdym razie ten moment niejako wyprzedził moją młodość, aczkolwiek racje miał Bismarck, mówiąc, że Polacy rodzą się z genetyczną zdolnością do konspirowania.

Zaczęliśmy konspirować już w szkole według reguł „3": Konspiracja, Kamuflaż, Kłamstwo. Oczywiście nie wobec samych siebie – tu obowiązywały dwa „S" – szczerość i solidarność. Poza szkołą najważniejsza była wojna dwóch band – banda śląska Maliny, a my Banda Białego Orła my byliśmy „gorole", czyli przyjezdni, aczkolwiek do gorali zaliczano i nas, z Warszawy i osoby wygnane ze Lwowa i w ogóle z Kresów, ponieważ nie wszyscy kojarzyli takie małe miasta jak Czortków, Stanisławów. Kiedy więc mówili: – „Jestem ze Lwowa", to wiadomo było, kto to jest, co przeżył, że można mu zaufać, a może będzie okazja do wspólnego śpiewu. I tak było.

Wiele lat później śpiewaliśmy te lwowskie kawałki z Herbertem. Zestawiliśmy wówczas stoły w kawiarni „Krokodyl" i namówiliśmy obsługę, by śpiewała razem z nami. Nie bardzo im wychodziło, Herbert ich trochę douczał, ale jakoś wyszło. Lwowiacy po prostu mieli w sobie coś takiego i to też była ta solidarność. W zupełnie innym wymiarze, bardzo piękna, ale była.

Wspomniałem o bandach ulicznych. Potem to się zatarło – byliśmy mieszkańcami tego samego prasłowiańskiego grodu należącego nawet w czasach niemieckich do diecezji krakowskiej.

A potem kończyliśmy Liceum Smolenia – ja też kończyłem i dużo zawdzięczam swoim nauczycielom – dawnego liceum polskiego w Niemczech i nauczycielom ze Lwowa. Tam się po prostu zaczęła konspiracja. Kłótnie poszły na bok, aczkolwiek Ślązacy co jakiś czas wypominali nam:

– Wy mieliście tyko jedno powstanie, a my aż trzy.

Mało tego, ostatnie im się udało wygrać. Rozmawiałem o tym z mamą wiele razy i ona stwierdziła, że właściwie to, co było do wygrania, to myśmy wygrali, bo Warszawa żyła przez 63 dni jako wolne państwo. Niewielkie, porównywalne do San Marino czy do Andory, ale tak czy inaczej ci ludzie oddychali wolnością i ta wartość wszystkich łączyła. Warszawa wtedy stała się wspólnotą tak dalece, że w pewnym momencie nie można było odróżnić powstańców od ludności cywilnej. Wszyscy brali udział w Powstaniu. Oczywiście były wydzielone oddziały chłopaków po podchorążówce jak mój ojciec, ale w momencie ataku wszyscy wybiegali na ulice, zwykłe kobiety z sąsiedztwa okazywały się sanitariuszkami, wychodziły pod ogień, przenosiły rannych i potrzebujących. Warszawa stała się jedną wspólnotą, która potem rozproszyła się po całej Polsce. Część mojej rodziny np. wyjechała do Elbląga, część do Krakowa. Wtedy w Warszawie oprócz gruzów było UB, które zajmowało się głównie aresztowaniem byłych Akowców. Zmusiło to prawdziwych Warszawiaków do rozsypania się po całej Polsce.

Zacząłem mówić o grupach w naszej szkole. Były to grupy z różnych miast. Bytom nazywany był wówczas małym Lwowem ze względu na to, że była tam większość przyjezdnych, a właściwie przygnanych, głównie z Kresów. Było to miasto wymiany historii między sobą. Oni opowiadali, co przeżyli, nasi rodzice opowiadali, co sami przeżyli i w ten sposób wychowywaliśmy się jakby w atmosferze pełnej wiedzy o historii i o tych, którzy prześladowali jednych tu, drugich tam. Nie było co do tego złudzeń. Był strach. Ten strach pamiętam już z dzieciństwa. Po Bytomiu łaziło wielu ubeków, którzy mieli namiary na przyjezdne rodziny. Wszyscy mieli jakieś papiery, dowody osobiste itd. Ale to byli tzw. „dobrzy ubecy". Oni nikogo nie aresztowali, tylko mieli przychodzić (odwiedzać). Do nas przychodził młody przystojny pan major,

który potem wyjechał do Izraela. Pamiętam strach rodziny, gdy on miał przyjść. Był popłoch. Każdy wyjmował a to złoty pierścionek, a to złotą monetę wyniesioną jeszcze z Warszawy, babcia poświęciła kolczyki... Widocznie w UB mało płacono. W każdym razie na tej wspólnocie losów, rodziła się również wspólnota strachu, ale i wzajemna pomoc, ratowanie ludzi ukrywających się. Wtedy po raz pierwszy przekonaliśmy się, do czego służą ogrodnicze działki podmiejskie z altanami. Przynajmniej na lato. Te wspólnoty był dla każdego z nas szkołą. Inaczej mówiąc, każdy z nas otrzymywał większą dawkę wiedzy o Polsce, o jej miastach, o tradycji, niż przeciętnie otrzymuje się w swojej własnej rodzinie. To były korepetycje z Polskości. To był powód, dla którego – zgodnie z powiedzeniem Bismarcka – konspirowaliśmy.

Dlaczego? Prawdopodobnie odezwał się kod kulturowy. Wiedzieliśmy o Filomatach, Filaretach, o Piłsudskim, który wraz z bratem Bronisławem też organizował działalność podziemną – w wileńskiej „Spójni". Szliśmy tymi drogami, nie zawsze wiedząc, kto szedł nimi przed nami. Bezwiednie naśladując tamtych, w pewnym momencie zaczęliśmy uzupełniać swoją wiedzę. Okazało się, że nie tylko „Na probostwie w Wyszkowie" Stefana Żeromskiego jest zakazane, ale także „Irydion" Krasińskiego. W programie szkolnym była filozofia – ale bez filozofii polskiej to byłaby dywersja przeciw marksizmowi. Więc uprawialiśmy tę dywersję, robiliśmy to, co czyniła młodzież całe pokolenia przed nami – latająca biblioteka, spotkania, wykłady. W ten sposób powstała pierwsza nasza grupa, która jednocześnie zdołała uruchomić radio. Radio w szkole działało na tej zasadzie, że puszczaliśmy szkolnym radiowęzłem audycje przed lekcjami, a mniej odważni nauczyciele przychodzili na lekcje po prostu na 8.00, „nie wiedząc", co tam wcześniej uczniowie robią. Mieliśmy poparcie dyrektora Stanisława Huka. Łatwo domyśleć się, dlaczego – ponieważ też był z Kresów i działał w nim cały czas ten kod. Naszą szkolną radiostację rozrzuciliśmy trochę po Bytomiu. To były czasy wielkich magnetofonów na taśmy, ale te taśmy można było przenieść np. do innej szkoły. I tak taśmy krążyły. Brakowało nam tylko jednej rzeczy, to znaczy nazwy. Była grupa konspirująca. Nazywano

nas Filomatami, ale to nam nie pasowało. Proszę sobie wyobrazić, że nazwę zorganizowały nam władze. W tamtym czasie dla wspólnoty Warszawiaków wygnanych z rodzinnego miasta zorganizowano czyny odbudowy Warszawy. Dziś patrzy się na to jak na propagandową akcję PRL, ale tak nie było. Po prostu Warszawiacy uważali, że muszą jechać. Mnie też mama woziła. Mam zdjęcie, gdy przekazuję komuś cegłę. To trafiło nawet do prasy. Te cegły nie szły od razu na budowę, ale na furmankach zawożone były na Siekierki. To właśnie z warszawskich gruzów powstał wielki kopiec na Siekierkach.

Mama pokazywała mi swoją młodość, powstanie. Pewnego dnia zaprowadziła mnie na podwórko, w którym na ścianie przedstawione były sylwetki powstańców. Były to postaci, które czasem widać na fotografiach: bardzo mgliście obrysowane ciała chłopców, dziewcząt z bronią w ręku. To mną wstrząsnęło. Opowiedziałem o tym kolegom. Doszliśmy do wniosku, że trzeba zrobić coś podobnego w Bytomiu. Zabraliśmy się do dzieła. Zamiast jednak czynić to z zaplecza i potajemnie kogoś przyprowadzać, od razu zaczęliśmy od frontu placu Słowiańskiego i… na dwóch, trzech sylwetkach się skończyło.

Milicjant mnie złapał. Jako nieletni nie zostałem aresztowany, za to milicjant odprowadził mnie do domu, wymyślając mi po drodze. Mamy złe pojęcie o tych ubekach. Tamten, przychodzący do nas do domu po daninę był wręcz wytworny, a ten – bluzgał. Kiedy skończył, oświadczył nagle poważnie, że „władza ludowa nie zgodzi się, żeby jej kto robił anarchizm na murach". Strasznie mi się to spodobało. Podzieliłem się tą historią z kolegami i wiedzieliśmy już, jak będziemy się nazywać: „Klub Artystów Anarchistów". Wspominam o tym, gdyż często przypisuje się nam wychowanie na Bakuninie – owszem, ale na „Bakuninie" Broniewskiego (poemat bardzo dobry). Potem, ex post, doczytywaliśmy tamtego, także Kropotkina i paru innych, dla szpanu, żeby usprawiedliwić naszą nazwę i inteligentnie umieć się obronić. Tak naprawdę to milicja wymyśliła nam tę nazwę.

Klub działał nawet wówczas, kiedy już wyszliśmy ze szkoły. Znowu zadziałał kod kulturowy i próbowałem założyć taki sam klub w akademiku przy ul. Kickiego w Warszawie, ale początkowo studenci trochę

się bali. Główna ekipa, która przychodziła, jątrzyła i podgryzała – przyjeżdżała z Bytomia, chyba, że ktoś był na studiach na UJ, to dojeżdżał z Krakowa. W końcu akademik się rozruszał. Myślę, że to dlatego, iż na pierwszym roku następowała dziwna selekcja. Na pierwszym roczniku albo się nieprawdopodobnie wkuwało, żeby dostać się wyżej, albo się piło, rozrabiało i korzystało z przepisanych przez Kościół grzechów głównych. Ja jakoś pogodziłem te role, wynalazłem parę nowych grzechów, i następnego roku nadal byłem w akademiku, piętro niżej i nie spaliśmy już w sześcio- czy ośmiołóżkowych pokojach, ale w czteroosobowych. Mieliśmy też trochę więcej czasu dla siebie. Okazało się, że ktoś pisze wiersze, robimy spotkania, zawiązujemy klub. Nie można powiedzieć, że narzucaliśmy ton życiu studenckiemu. Myślę, że ton nadawała sekcja judo prowadzona przez poetę Grzesia Rożka, sekcja szermiercza, którą ja prowadziłem (będąc jednocześnie w Legii Warszawa), była grupa instrumentalna (głównie na mandolinach), był klub taneczny, były zawody w tańcu towarzyskim itd. Nie wszyscy politykowali. Było także wiele możliwości twórczego sprawdzenia się, w których każdy mógł znaleźć sobie miejsce i cel. Politykowały właściwie tylko dwa środowiska. My i miejscowy ZMS. ZMS na Kickiego nie był zbyt wielki. Jeśli ktoś czytał książkę Friszkego na ten temat, uprzedzam, że jest zbudowana przeważnie z kłamstw. Cały ZMS mieścił się w sumie w 2 pokojach na końcu korytarza, za kiblem. Tam się spotykali i od razu zaczęli się kłócić. Podzielili się na frakcje michnikowców i schleicherowców, stąd jeszcze ich było mniej. Nas to po prostu nie interesowało. Oni dostawali pieniądze, mieli gazetkę ścienną umieszczaną na parterze akademika. Doszliśmy do wniosku, że trzeba tę gazetkę „uszlachetnić". Przypinaliśmy na niej różne karykatury, zwłaszcza polityków. Niektórzy ZMS-owcy już wyjeżdżali z rodzicami na Zachód, skąd przywozili pornosy. Można było to odpowiednio wyciąć doklejając np. głowę Gomułki lub innych. To była ogromna radocha.

Wspominam o tym, gdyż to potem rzutowało na całą Solidarność, na cały ruch posolidarnościowy i programy polityczne. Już wtedy, poniżej pokolenia dorosłych ubeków, wyrastało drugie pokolenie UB. W tej chwili jest trzecie, a może już czwarte… Oczywiście używam

tego określenia metaforycznie. Akurat ojciec Owsiaka czy Moniki Olejnik nie byli w UB, tyko w MO, ale to oni i im podobnie wytresowani „następcy tronów" oni w pewnym momencie zaczęli obejmować rząd dusz.

Nazywaliśmy ich następcami tronów. Dziś możemy wyobrażać sobie, że to była tylko nazwa polityczna. Nie. Był zespół muzyczny „Następcy tronów". Mieścił się w Szczecinie przy wspólnocie żydowskiej i był strasznie lansowany na dowód polskiej tolerancji. Robili spływy Odrą pod prąd, bo w stronę Wrocławia. Ta nazwa była bardzo chwytliwa i myślę, że treści polityczne zaczęły dopiero narastać gdzieś w okolicach marca 1968 roku.

Czasem wpisuje się w marzec ekscesy antysemickie. Jest to totalna bzdura, aczkolwiek nie bez podłoża polityczno-socjalnego. Witold Jedlicki napisał książkę „Chamy i Żydy". Rzeczywiście były takie dwie frakcje w partii. Machiawelizm Stalina i jego następców polegał na tym, że napuszczał je na siebie. Najpierw powstał Związek Patriotów Polskich – w większości wedle Jedlickiego Żydy. Ale „wyzwoliciele" mówię to w cudzysłowie, przychodzą do Polski, powstaje zapotrzebowanie na tubylczych komunistów. W lasach znajdują się jacyś AL-owcy czy bandyci poprzebierani za AL-owców, (skądś przecież trzeba brać szeregowych, bo oficerowi już byli, ale trzeba kimś dowodzić) i wtedy powstaje grupa tzw. „chamów", którą od strony polityczno-teoretycznej dowodzi Gomułka (miał „wysokie" wykształcenie, był mistrzem ślusarskim), reszta miała ukończone po 5–6 klas i nie nadawała się na ideologów partii. Była także wojskówka – Moczar i Korczyński dowodzili na Lubelszczyźnie i przez pewien czas w kieleckim. Ta wojskówka usiłowała powoli dojść do władzy. Najpierw dostali po łapach. Był to okres rządów stalinowskich, czyli *de facto* rządów Bermana, Brystygierowej, Fejgina i innych namiestników z frakcji Żydów. Romkowski podobno miał bezpośrednie połączenie z Moskwą, był dość wysoko postawiony. Po śmierci Stalina ta grupa rządzi polską, ale rządzi z nadania Kremla. To nie jest polska ekipa, to są wykonawcy. W końcu Stalin umarł. Chruszczow był takim samym zbrodniarzem, pomagał Stalinowi i Kaganowiczowi w wykończeniu Ukrainy. Ponieważ musiał znaleźć kozła

ofiarnego, wszystko zwalili na Stalina, toteż zaczęto polować na stalinowców. Ci, którzy w tym czasie rządzili, nadawali się na ofiary jak znalazł. Tak zaczął się przewrót 1956 roku.

Książka Jedlickiego to był dopiero 1962 rok. My wcześniej używaliśmy nazwy „politrucy" i „policjanci". To na „p" i to na „p". Ci pierwsi rzeczywiście przyszli z armią Berlinga. Jeżeli nie byli politrukami to tylko dlatego, że się załapali np. na intendenturę, która w Ludowym Wojsku Polskim była najbardziej opłacalna, choć zawód politruka też był dobry. Po upadku stalinowców Gomułka, który nie za bardzo chciał być zależny od Korczyńskiego i Moczara, poszedł na pewnego rodzaju kompromis. Odbyła się komisja Mazura, która wskazała trzech największych przestępców. Fejgina, Romkowskiego i chyba dla parytetu chłopa z pochodzenia Światłowskiego, prezesa Naczelnego Sądu Wojskowego a dla ozdoby „Krwawą Lunę" Brystygierową. Dwóch pierwszych posadzono i wypuszczono. Lunę zdegradowano na dyrektorkę „Nasze Księgarni", nikt nie dostał kary śmierci. Zaczął się kompromis polegający na ukrytym wyścigu po władze. Może moczarowcom zaszkodziła partyzantka, tułaczka po lasach, bo się gorzej rozmnażali, natomiast stalinowcy mieli całą młodzieżówkę. Tworzyli tzw. drużyny walterowskie. Byli przygotowani do władzy i potem po tę władzę sięgnęli. Kiedy dziś przeglądamy nazwiska wielu ludzi, od Michnika począwszy, okazuje się, że są to wychowankowie drużyn walterowskich. To czerwone harcerstwo, stworzono po to, by zatrzeć ślady tradycji Związku Harcerstwa Polskiego, wychowania patriotycznego, junactwa połączonego z chodzeniem na Mszę św. itp. Oni byli przygotowywani do władzy. Tyle tylko, że było ich przymało. Mogli objąć stanowiska ministrów, sekretarzy itd., ale już nie wszystkich. Tymczasem na dole narastał bunt, który jednocześnie był buntem pokoleniowym. Ci starzy, „zasłużeni" – pokolenie Bermana (Borejsza już nie żył) mocno trzymało się stołków. W marcu nałożyły się te dwie fale: walka frakcji partyjnych i walka pokoleniowa. Rusza w górę całe pokolenie niedowartościowanych, niezbyt inteligentnych i próbuje sięgnąć po władze. Częściowo to im się udaje, robią nawet kilka spektakularnych gestów. Studiowałem wtedy filozofię. Po marcu przywrócono nagle

Kołakowskiego, Kotarbińskiego, który przedtem został zesłany na logikę, a najlepiej, żeby był na innym wydziale. W Krakowie był Ingarden. To była czołówka polskiej myśli. Oni zostali przywróceni do łask władzy, oczywiście na pokaz. Było to rzecz jasna grubymi nićmi szyte, ale – pamiętam – pierwsze spotkanie, na które miał przyjść Tatarkiewicz odbyło się w sali Czarnowskiego, na parterze gmachu filozofii. Nie pomieściliśmy się. Trzeba było wynająć największą aulę w „Pekinie", czyli w domu im. Stalina, gdzie odbyły się wykłady.

Przez pewien czas tak to trwało, aż obydwie grupy zaczęły się nawzajem wyniszczać. Przyszedł Gierek, pożyczki zagraniczne, ale cały czas mamy jeszcze następców tronu. Przychodzi początek lat 70-tych i totalny zachwyt nad Gierkiem i ekipą „Ślązaków". Dlaczego? Szkoła niemiecka: pracowici, punktualni, uczciwi. Na takich ludziach budował Gierek. Nie patrzył na to, że Grudzień jest półidiotą, ale na to, że Grudzień wykona odtąd dotąd, co on mu rozkaże. Takich wykonawców ściągał z woj. katowickiego – przykładem świetny fachman i zamordysta – „Krwawy Maciej" Szczepański, który sprawnie i czujnie dowodził telewizją. Najlepszym dowodem jest to, że wyrzucił z niej i mnie, i Królikiewicza. Do pewnego czasu to się trzymało. Gdyby wtedy były wybory (takie jak z lat 90-tych, gdy wygrał Kwaśniewski), wygrałby Gierek, bo ludziom zaczęło się to podobać. Ale nie wszystkim.

Dochodzę tu do wątku, który chwilowo pominąłem, mówiąc o Powstaniu Warszawskim. Byli akowcy, był cały nurt niepodległościowy z którego nasze pokolenie Konfederacji Polski Niepodległej się wywodzi. Mieliśmy do czynienia z przekazywaniem pałeczki sztafetowej. Zmieniliśmy i nazwę, i program, bo przedtem głównie układaliśmy manifesty i pisaliśmy wiersze. Chyba nie było w Polsce drugiej takiej grupy, która by napisała tyle manifestów, tylko, że gdy przyszło do realizacji, spadło na mnie. Zaczęliśmy nawiązywać stosunki ogólnopolskie.

Wyprzedził nas tylko „Ruch" w Łodzi. Była to organizacja niepodległościowa już w 1970 roku. Należał do niej Czuma, a z poetów naszego kręgu (nazywaliśmy się wtedy już Konfederacją Nowego Romantyzmu) był Jacek Bierezin, Andrzej Biskupski i Mirek Kuźniak. To

musiała być Konfederacja, bo Kuźniak był neoklasykiem, Biskupski pisał rozlewnym wierszem jeszcze dłuższymi linijkami od Miłosza, natomiast Bierezin rąbał jak u nas Tomaszkiewicz to znaczy bardzo ostro, wręcz plakatowo. Jak to utrzymać?

Mówię o tym nie bez powodu. Proszę wziąć pod uwagę, że dokładnie na tej samej zasadzie powstawała KPN. Była grupa podlaska, byli socjaliści. Kierownictwo, czyli głównie Leszek Moczulski i Andrzej Szomański, zostawiło ludziom swobodę. Mieliśmy wspólnego wroga i to co nas jednoczyło – solidarność w ideach, wspólny etos. Ta pierwsza prawdziwa partia w PRL jaką była KPN , a potem związek Solidarności stały się czymś, co można nazwać namiastką rządu prawdziwej Rzeczypospolitej czy nawet parlamentu Rzeczypospolitej, dlatego, że były tam prawie wszystkie ugrupowania.

Ja siedziałem w Warszawie. Naszym dyskretnym lecz wymagającym przywódcą był generał Roman Abraham. Abraham wprowadził dyskretny niepodległościowy rytuał ale zwalczał pragnienie rang i urzędów, jak Piłsudski – „Stopni nie wyznaczam, dorobicie się sami w walce". Dla przykładu: odbywały się pół jawne a pół tajne przyjęcia, sens takiej uroczystości znany był tylko wtajemniczonym. Szło się na wyznaczoną wcześniej mszę do katedry Świętego Jana, przy wyjściu generał Abraham podawał prawicę. Potem zaczynała się robota. Abraham wchodził do lokalu w którym akurat knuliśmy i wołał do nas:

– Szrajbujcie, chłopcy, szrajbujcie, bo mam pisemko tu i tam.

Pierwsze spięcia zaczęły się, kiedy chłopcy chcieli od razu wybierać władze (ja miałem być prezesem, od poezji i reszty kultury). Abraham stanowczo się temu sprzeciwiał. Nie chciał żadnych struktur, za które władza mogłaby się ucapić. Rzeczywiście początkowo tak było. Powstał nurt niepodległościowy – pisany małymi literami. Częściowo tworzyli go starzy akowcy, którzy udzielali mieszkań na spotkania, głównie na Żoliborzu, bo to była stara, oficerska dzielnica. Ale przychodziło też mnóstwo ludzi z zewnątrz. Było to już kolejne pokolenie, którego trzeba było uczyć. Myślę, że to tresura komunizmu sprawiła, że oni byli za tym, by utworzyć władze, wyłonić prezesa nurtu niepodległościowego, no i zaczęli pisać Nurt Niepodległościowy wielkimi literami.

Jednemu i drugiemu ugrupowaniu udało się wydać 2, 3 pisemka. Sam do drugiego coś napisałem. Pisaliśmy pod pseudonimami, a także pisaliśmy językiem zbiorowym.

Już wtedy zaczynała się dziwna mitologia, myślę, że miała charakter obronny. Mianowicie przecenialiśmy naszych przeciwników i mówiło się, że w Bydgoszczy jest specjalny oddział SB (już nie UB), gdzie są zatrudnieni także literaci, którzy po stylu potrafią rozpoznać autora. Donosili na kolegów, bo za to były pieniądze. Nie wiem jednak do dziś, czy coś takiego rzeczywiście istniało w Bydgoszczy. Wiem, że w Bydgoszczy odbywały się huczne zjazdy poetów partyjnych, a potem literatów partyjnych. Coś zatem musiało być na rzeczy, jeśli chodzi o kontakty z władzami. Bojąc się, że możemy być kontrolowani, przerabialiśmy sobie nawzajem artykuły. Moja żona do dziś powtarza, że wszędzie pozna moje teksty, ze względu na tzw. „urbanoksiki" – jak je nazwała. Kiedy teksty poprawiał Andrzej Szomański, wszystkie „urbanoksiki" potrafił wyłapać i wykreślić. W efekcie zostawała czysta informacja, czyli to, co w gruncie rzeczy jest najważniejsze.

Popisy stylistyczne, a nawet wiersze, zaczęły się dopiero w okresie ROPCiO, kiedy wydawaliśmy więcej gazetek. Próbowaliśmy wówczas zbudować podziemie ogólnopolskie. Jak wyszło? Między nami jest kilku reprezentantów – tych, którym wyszło. Znakomicie wyszło w Łodzi i na Śląsku, w Bytomiu zaangażowałem ocalałą z okupacji rodzinę, niech raz jeszcze przeżyją młodość, jeszcze lepiej w Krakowie, który z doskoku podtrzymywali na duchu Wojtek Ziembiński i Basia Wachowicz, w mniejszych miastach już nie za bardzo. Tak czy inaczej, te struktury powstawały, najpoważniejszą stał się ROPCiO, którego lwia część – dosłownie i w przenośni stworzyła KPN.

Bardzo ważnym dokumentem z tamtego czasu, który zdążyliśmy wydać tuż przed przyjazdem papieża, była „Rewolucja bez rewolucji" Moczulskiego (odsyłam do specjalnego numeru „Opinii").

Wracając do wcześniejszej dyskusji, w której padło stwierdzenie, że „w opozycji nie było programu", chcę zaznaczyć, że był program i to nie jeden. Korowcy – byli walterowcy mieli program sięgający tzw. finlandyzacji. To był szczyt ich marzeń, przy czym, jeśli ktoś w tamtych

latach był w Finlandii, wiedział, że były tam bazy sowieckie. Tak, jak Wałęsa chciał zrobić u nas w latach 90. Niby Armia Czerwona opuściła Polskę, ale gdzie bazy były, to będą „wspólne firmy" i będą handlować kapciami czy podkradać meble i sprzedawać je po obniżonych cenach a zysk byłby odsyłany do Moskwy, co lepsze kapcie i meble też. Teraz widzimy, jak postępuje armia rosyjska. Ona się nie zmieniła. To są ci sami ludzie. Oni też mają swój kod kulturowy.

Moczulski bywa często przedstawiany jako awanturnik z szabelką: w czołg i na Wilno, Kowno, „Wszystko odbierzemy"! To nie było tak. Rewolucja bez rewolucji jest bardzo dziwnym programem podobnym do dwóch wcześniej wykształconych typów walki – cywilnej i wojskowej.

Ten program sięga aż do postulatów „niepodległości" ekonomicznej Mochnackiego, do rządu moralnego Libelta a z czasów bliższych do amerykańskiej działalności związkowej i, wiem, że to zabrzmi paradoksalnie, do przejmowania władzy przez bolszewików. Wiemy, że pieniądze na nią dali Niemcy, że żołnierzy dostarczyła sama Rosja – Piotrogród był pełen dezerterów – ale nie doceniamy strategii bolszewików polegającej na przechwyceniu władzy po cichu, kiedy nikt nie widzi. W Piotrogrodzie prócz dezerterów były całe pułki, które nie chciały iść na front. Nie chcieli ginąć, tak jak teraz w Rosji nie wszyscy chcą ginąć na wojnie z Ukrainą. Bolszewicy zaczęli tworzyć komitety robotnicze, komitety wojskowe, potem to połączyli i tak zrealizowali hasło: „Cała władza w ręce rad" – rad delegatów robotniczych i żołnierskich. Głównym mistrzem tego był Trocki. To on był architektem rewolucji bolszewickiej. Przyjechał z zagranicy wcześniej od Lenina i od razu zaczął organizować. Trocki był na tyle inteligentny, że zrozumiał, że nie ma co stawiać na mienszewików, ale nie dlatego, że ich było mniej. To był znakomity zabieg propagandowy leninowców, że tych, których było więcej, oni nazwali mniejszością. A bolszewicy to jesteśmy my. I tak zostało. Mienszewików zaczęto wyrzynać, podobnie jak anarchistów. Trocki zdążył się przesiąść na nową szkapę. Trochę zawalił sprawę, bo tak był pewien schedy po Leninie, a odebrali mu nawet Armię Czerwoną. Co prawda Stalinowi nie udało się obsadzić wojska swoim człowiekiem Woroszyłowem, bo Zinowiew z Kamieniewem

wsadzili Frunzego. Ale i na Frunzego znalazł się stary, sowiecki sposób – trzeba go „wyleczyć", czyli wysłać go do kliniki i zrobić mu operację. Podobno zostawili go na stole operacyjnym, poszli załatwiać inne sprawy, a jak wrócili, po Frunzem pozostały tylko resztki. Ten chwyt polityczny warto zapamiętać: dyskretne wchodzenie od tyłu na szczyty władzy, bocznymi ścieżkami a jak trzeba to kopać tunele. Nie co innego robił Stalin. Zaczął od mało istotnego stanowiska sekretarza, potem był sekretarzem generalnym, dobudował sobie sekretariat, w pewnym momencie okazało się, że jest nr 1. I myślę, że i walterowcy i wychowankowie walterowców próbowali to samo. Wspominam o tym, bo wszystkie późniejsze fakty w Polsce mają tam właśnie, swoje precedensy i wzorce. Nic się nie zmieniło. Ani się nie zmieniły charaktery komunistów, ani Rosjan, ani sposób zdobywania władzy, ani terroryzowania i mordowania przeciwników politycznych.

Myślę, że ten okres przygotowań do Solidarności już wyznaczył dalsze nurty polityczne. Z jednej strony mamy ruch niepodległościowy sięgający gdzieś do Krakowa i Łodzi, nawiązujący do tradycji piłsudczykowskich, akowskich. To był najpierw ROPCiO, potem KPN, Moczulski, Szomański, przejściowo Wojtek Ziembiński. Następnie wykształciła się grupa działaczy, którzy się oderwali od PAX-u (choć zaczęli jątrzyć i spiskować jeszcze będąc w PAX-ie). Byli to tacy znakomici chłopcy, jak: Romek Szeremietiew, Tadeusz Stański, Jandziszak. Ja miałem jeszcze szczęście i przyjemność poznać Edka Kirpluka wiele lat się przyjaźnić i kilka lat wspólnie działać w podziemiu.

Stan wojenny przeżyłem daleko od Warszawy. Byłem „potrójnym" działaczem Solidarności. Robiliśmy Solidarność w teatrze w Wałbrzychu, gdzie w nagrodę za zwycięstwo w konkursie na dramat zostałem tzw. dramaturgiem-rezydentem. Wiadomo, że komuniści „brzydzili" się pieniędzmi (zwłaszcza wręczaniem komuś tych pieniędzy), ale nagrodą było to, że można było sobie potem wybrać teatr, w którym się reżyserowało sztukę, stąd epizod wałbrzyski. Nastała epoka polskiego papieża, od którego zaczęła się odnowa moralna. Chodziliśmy po szkołach i innych organizacjach. Pomagały nam siostry z Sobięcina (to jest wzgórze nad Wałbrzychem), udzielając noclegu i karmiąc

przyjeżdżających z Warszawy. W czasach Solidarności znalazła się u nich jedna z siedzib związku. Ale Wałbrzych przegraliśmy. Przysłali Lityńskiego, przysłali całą grupę pseudo robotników rozdających pisemka i w zasadzie ci ludzie przejęli jeśli nie całą wałbrzyską Solidarność to przynajmniej na terenie kopalń, co było istotne, gdyż była to podstawowa gałąź przemysłu. Po jakimś czasie zaczęło się to wyrównywać. Ci, którzy tworzyli KOR, dostali po łapach. Przypominam, że to odbywało się na kilku poziomach. Na najwyższym pierwszą rzeczą jaką korowcy zrobili, to wyrzucili Macierewicza, bo był za dobry. Były jeszcze masy przychodzące z dołu, które nie miały programu i nie znały historii. Użyłem określenia przypisanego Marksowi, że klasa robotnicza sama z siebie dochodzi do trade-unionizmu, do świadomości związkowej. Myślę, że właśnie taki był pierwszy okres Solidarności.

W Wałbrzychu początkowo były co najmniej dwie Solidarności. Solidarność wałbrzyska niescementowanych – osobno działali nauczyciele, osobno aktorzy, dziennikarze itd. Mój wkład polegał na tym, że ta Solidarność powstała w moim pokoju, który im udzieliłem. Nie dlatego, że byłem wyróżniającym się działaczem i chcieli mnie uczcić, tylko że dojeżdżałem do Warszawy więc kwaterowali mnie zazwyczaj na pustej sali ogólnej, takiej dla premierowych gości gdzie miejsca i łóżek było od cholery. A jeśli chcemy zakładać Solidarność, to nie stłoczymy ludzi w małym gabinecie dyrektora. Używaliśmy nazwy „Niezależny Związek", wybraliśmy delegację, ale to jeszcze nie była Solidarność. Niektórzy z tej grupy wyjechali do Sopotu i dali się poznać w innych okolicznościach, np. Buba Zielińska – wiedźma, zielarka z serialu telewizyjnego „Ranczo" była jedną z działaczek. Jej mąż Marek Zieliński był naszym delegatem do Sopotu. Od Marka, z pierwszej ręki dowiedziałem się, że Wałęsa nigdy nie miał zbyt wiele intelektualnego IQ, a jeszcze musiał dzielić się z kolegami.

Ta Solidarność trochę działała, trochę nie. Ja dojeżdżałem z Warszawy i trochę szukałem miejsca. Dostałem nawet propozycję w Płocku. Próbowaliśmy w Wałbrzychu wystawić sztukę o Grocie-Roweckim, nawet powstał z tego film wyemitowany w 1981 roku. Konsultantkami filmu była m.in. córka Grota-Roweckiego, a także jego adiutantka

Elżbieta Prądzyńska (złośliwcy mówili wtedy, że całą Warszawą rządzą 3 baby: Rowecka, Prądzyńska i pani Zofia Idziakowska). Mieliśmy problemy, bo okazało się, że nazwisko Grota było zakazane. Mieliśmy „swojego" człowieka w ministerstwie. Nazywał się Jan Siekiera. Był na studiach razem z Andrzejem Szomańskim i strasznie przeżywał, że Andrzeja zamknęli, a jego nie i potem starał się coś dla nas zrobić. Ponieważ był jedynym fachowcem w tym ministerstwie kultury, podpowiedział nam genialną rzecz. Cenzura zdjęła nam sztukę o Grocie-Roweckim, tymczasem on powiedział, że zdjęto nam tę sztukę nieformalnie, a władza udaje, że przestrzega prawa. Zaproponował, żebyśmy się zgłosili do ministerstwa. W bardzo ugodowym tekście nasz dyrektor napisał, że są otwarci na dyskusję, a sztuka nie jest jeszcze do końca gotowa i wszystkie sugestie zostaną uwzględnione. Siekiera obiecał przysłać jakąś komisję z MKiS sugerując, że może, może mimo wszystko sztuka pójdzie. Do mnie powiedział otwarcie:

– My ci tej sztuki nie puścimy, bo nie możemy – nad nami jest wydział kultury KC, a zakaz wydał osobiście Jaroszewicz, wściekły, że w Wałbrzychu chcesz robić rzecz, za która cię kazał Szczepańskiemu wylać z telewizji – ale możemy dać wam zgodę na 10 prób.

Autokary dowoziły ludzi z Wrocławia a nawet Warszawy. Spraw doglądały trzy damy – Ela Prądzyńska była jedną z bohaterek sztuki. Był to nasz największy sukces, po którym niestety nas wylano. Tyle tylko, że atmosfera się zmieniała. Skotnicki, który pochodził z przedwojennej rodziny oficerskiej załapał się na stypendium do USA. Rzucił teatr w Płocku, który stracił dyrektora.

Ogłosili konkurs, zawiadomili naszego dyrektora, który wygrał i cała nasza ekipa przyjechała do Płocka. M.in. Buba Zielińska, Kazio Tałaj, który potem w Płocku będzie organizował Komitet Obrony Więzionych za Przekonania (który też był jednym ze źródeł zasilających kadrowo KPN). W teatrze w Płocku mieliśmy bazę pod późniejszą działalność polityczną jakby przewiezioną z Wałbrzycha, ale już dobrze wyszkoloną. Zaczęły się strajki.

Wyprowadzenie czołgów i wojska na ulice to była druga klęska Solidarności. Pierwsza klęska to była Bydgoszcz. Był mit powszechnego

strajku, tylko, że nikt z tych, którzy chcieli strajkować, nie zajrzał do historii i nie przekonał się, że nigdy nigdzie strajk generalny się nie udał. Od razu władze wprowadzały wojsko na ulice, znajdowali się łamistrajkowie. Namawianie działaczy Solidarności przez Rulewskiego było trochę księżycowe. To może byli szlachetni ludzie, ale zabrakło im kindersztuby. Nie czytali książek, działali z serca. Podejrzewaliśmy coś, gdy rzucono w Polskę trójki wojskowe (to był pierwszy sygnał). Żołnierze Jaruzelskiego robili to, co bolszewicy – niby chcieli pomagać, sprawdzać zabezpieczenie przed zimą i w ten sposób znakomicie rozpoznawali teren. Łazili nie tylko po podwórkach, ale głównie po zakładach pracy.

Były strajki, które udawały się lokalnie. Tutaj Płock może być dumny. Jak nie strajkowała tam Fabryka Maszyn Żniwnych, to strajkowała rafineria. Jak nie rafineria to Płocka Stocznia Rzeczna. Zawsze jakiś strajk był. Co było największym problemem strajków? Nuda. Większość strajkujących próbowało co nieco przemycić, ale wiadomo było, że to jest środek samobójczy, a władze to podchwycą i zrobią aferę na cały świat. W ramach „Sceny '80" – tak, w naszym teatrze powstała pierwsza w kraju scena Solidarności, utworzyliśmy grupę teatralną, która organizowała wieczory patriotyczne dla strajkujących. Wiersz, który napisałem o strajkach zwiastował już koniec tego procesu, natomiast spektakle zaczynało się od „Ody do młodości", od wierszy romantycznych, trochę było Romanowskiego z czasów Powstania Styczniowego i trochę poezji legionowej. Organizował to głównie Kazio Tałaj, gwiazdą Solidarności była Bożenna Mrówczyńska...

No i tak drogą okrężną dochodzimy do stanu wojennego, do relacji jak ja go przeżyłem czyli do zasadniczego tematu spotkania. Z naszych wielu relacji ułoży się jakaś prawda, która może zainteresować historyków. Oczywiście nie tych współczesnych, ci już napisali ją za nas.

Stan wojenny komuniści wprowadzili przez zaskoczenie, tak, że sam nie zorientowałem się, że już obowiązuje. Skończyła się właśnie impreza zwana „Liść dębu" w dawnym dworku Broniewskich, na tyłach którego rósł słynny dąb płocki (ujęty w jego wierszach). Nie mieliśmy forsy na nagrody, dlatego każdy laureat dostawał pamiątkowy liść

dębu i wszyscy byli szczęśliwi. Teraz liść dębu jest miedziany, wtedy był zielony. Dzień wcześniej, wieczorem zrobiliśmy premierę mojej sztuki „Czarny pierścień" o Piłsudskim. Przedstawienie odbywało się na małej scenie, którą trzeba była zamknąć, bo bractwo nie mieściło się już na podłodze. Główną bohaterką była Bożenna Mrówczyńska, która świetnie zagrała Aleksandrę Piłsudską. Ale to był grudzień, o liście w grudniu było trudno, wynaleźliśmy więc parę innych rzeczy. Zaimprowizowałem nawet nagrodę (trochę taki autoplagiat, bo już wcześniej tak robiłem) w postaci kapelusza prezesa. Podczas innego koncertu poetyckiego „Jesiennej chryzantemy" również nie mieliśmy niczego w zanadrzu, a w pobliżu nie było żadnego kota. Mówię o kotach, bo kiedy robiliśmy konkursy w ramach romantyzmu w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej, zawsze po podwórku łaziło parę kotów. Dlatego wyróżniony poeta dostawał w nagrodę kota. Pierwsza nagroda – największy kot, druga – trochę mniejszy. To były czasy, gdzie pracowało się dla idei. Kto w KPN miał jakiekolwiek pieniądze? Jeśli miał, to dawał na składkę, na biednych itd. Tak to wyglądało. Następnego dnia idziemy na rozdanie nagród i czekamy na Ulkę Ambroziewicz, bardzo dobrą płocką poetką, członka naszego ruchu poetyckiego. Wpada jej matka i oznajmia, że Ulkę w nocy aresztowali. Laureaci, jury zwrócili się do mnie jako do przewodniczącego z pytaniem, co robimy.

– Spieprzać – to było chyba najłagodniejsze słowo, które padło z ust intelektualistów-poetów.

Ja na to:

– Nie! Robimy, co mamy zrobić, tylko dedykujemy całość Ulce Ambroziewicz.

To była pierwsza impreza kulturalna po zamachu Jaruzelskiego. Odbyła się od razu w niedzielę rano. Współpracowała z nami klasa robotnicza. Pani Jona (albo się tak nazywała, albo my ją tak przezywaliśmy) to była pani od wszystkiego. Głównie sprzątała, ale jak trzeba było, robiła i przynosiła dla wszystkich herbatkę. Akurat była na dole, gdy nagle wszedł patrol, informując o stanie wojennym. A ona kijem (na który była naciągnięta szmata) pogoniła go:

– Błocicie mi tu, won!

Wygrała z nimi i było to pierwsze zwycięstwo Solidarności w Płocku. Impreza się odbyła.

Na wszelki wypadek nie wróciłem od razu do Warszawy. Zatrzymaliśmy się z żoną w Wyszogrodzie. Dopiero potem w Warszawie skontaktował się ze mną sąsiad, widząc, że wchodzę do bloku, wybiegł mi naprzeciw:

– Panie Bogusiu, byli po pana!

Wracam do Wyszogrodu. Miałem tam kumpla z bardzo dawnych czasów, który mnie nie meldował ani nigdzie nie wpisywał. Osoby towarzyszącej też nie meldował i w ten sposób można było u niego schować pół Solidarności płockiej, nie meldując. Mieliśmy przesympatyczną przystań do wymiany gazetek.

Wspomniałem Edka Kirpluka i Kazia Tałaja. Kazio Tałaj był świetnym recytatorem, zbierał i układał wiersze z Bożenną Mrówczyńską i chodziliśmy z nimi po fabrykach. Orlen miał swoją filię na Politechnice, więc było parę wykładów, aktorzy recytowali wiersze. Mieliśmy dzięki temu gotową antologię poezji patriotycznej.

Okazało się, że tuż przed świętami Bożego Narodzenia zaczęli niektórych wypuszczać. Nie wiem, jakimi kryteriami się kierowali, ale wypuścili ponad połowę działaczy Solidarności. Ośmielony tym, że wypuścili Ulkę Ambroziewicz, zaryzykowałem i wróciłem do domu. Mój wiersz o „wojennej" Wigilii powstał dokładnie w Wigilię już w Warszawie.

Dwa, trzy dni po świętach przyszedł do mnie Edek Kirpluk (znaliśmy się z widzenia, dlatego, że on też mieszkał na Pięciolinii, tylko na drugim końcu). Edek opowiedział mi:

– Posłuchaj, co nam się udało zrobić! Udało nam się podpieprzyć całą drukarnię i matrycę od „Słowa Powszechnego".

PAX wydawał „Słowo Powszechne". Edek z kolegami od razu wzięli się do dzieła, wykorzystując okazję, nazwali publikacje „Słowo Podziemne", czcionki prawie się zgadzały. Edzio miał wysokie ambicje i to, że wyszła pierwsza antologia poezji stanu wojennego (było ich jeszcze osiem) – „Głosy w ciemności", Zapamiętać to powinniśmy, że ta pierwsza książka stanu wojennego to zasługa Edka Kirpluka. Co ważne,

Edkowi z jego kumplom, udało się „zorganizować" z PAX-u odpowiednią ilość papieru na wydruki.

Pierwsza antologia Edka zaczynała nasze płockie imprezy – od „Ody do Młodości". Rozwoziliśmy ją gdzie się dało, m.in. do Kutna, Gostynina, Sierpca. Nie używaliśmy nazwisk, choć jeden wiersz podpisałem swoim nazwiskiem, bo i tak wiedziałem, że bezpieka wie, kim jestem. Łazili za mną, po latach regularne donosy na mnie znalazłem w 11 teczkach w IPN, mniej regularne – jeszcze w 9-ciu.

Wracając do antologii: myśmy ją stworzyli, ale zaczęła żyć własnym życiem. Pewnego razu jadę, przeglądam sobie wiezione do Łodzi kolejne wydanie antologii, w której był mój wiersz, ale widzę, że i Jurek Tomaszkiewicz coś dodał i to pod nazwiskiem. Przypomniałem sobie, jak Abraham mówił nam, że „trzeba im zawsze dawać coś na pożarcie". Gdy zobaczą, że ktoś jest za czysty, nie uwierzą i będą łazić, a jak tu się podpadnie i wystąpi (byle nie za bardzo, żeby nie zapudłowali), to może tak być. Już w antologii naiwnie zamieszczaliśmy formułę, że drukujemy bez zgody i wiedzy autora. Ta formuła pojawiała się często, np. kiedy w Łodzi pod kierownictwem Andrzeja Ostoja-Owsianego wydrukowali mi książkę o Piłsudskim. Fragmenty tej książki znalazły się w Solidarności, w „Prześwicie" – oczywiście bez zgody i wiedzy autora. Podobną przygodę przeżyłem w Kutnie. Sami pochwalili się, że mają podziemną antologię. Też chciałem ją zobaczyć, żeby zobaczyć czy to ta nasza, czy z innego środowiska i przekonać się, czy w konkurencji politycznych wierszy są lepsi od nas. Była nasza i nie nasza. Kiedy mi pokazali, okazało się, że w antologii nie ma połowy utworów. Tak zaczęli działać, że wyrzucali Brylla, czy Urbankowskiego, a w to miejsce zamieszczali utwory miejscowego działacza, jego żony, córki, słowem każdego, kto był nieleniwy i pisał. Dlatego powiedziałem, że mieliśmy 8 wariantów tej antologii. W każdej miejscowości zawsze był jakiś działacz, który pisze wiersze. Swoją drogą warto zwrócić uwagę, jak wielu ludzi z tamtego pokolenia było literatami! To była taka druga formacja.

I powoli, zbliżając się do końca parę dopowiedzeń. Zatrąciłem o marzec 1968 roku, bo w marcu ukształtowało się pokolenie, które potem robiło politykę. Romek Szeremietiew robił marzec w Legnicy, Kornel

Morawiecki – we Wrocławiu, Gwiazdowie w Gdańsku, Teresa Baranowska w Katowicach Szczęsny i Świegocki w Łodzii. W Warszawie – Macierewicz, Kretkowski i warto pamiętać, że obydwaj Kaczyńscy, którzy byli na pierwszym roku prawa na UW. Byli już sławni ponieważ byli podejrzani o „kradzież księżyca", bezpieka głównie ich fotografowała, choć wszystkim mylili się z racji na podobieństwo. Z całym szacunkiem dla Michnika, który siedział w więzieniu, on nie brał udziału w marcu '68. Potem byłych „walterowców" wylansowano i zrobiono z nich przywódców marca. A było ich ze 20 na 35 tysięcy studentów i drugie tyle robotników.

I już naprawdę kończąc i zarazem podsumowując: było wiele ugrupowań politycznych takich jak nasze. Wspólnym mianownikiem wszystkich było powolne dorastanie do narodowości, awans etyczny, kształtowanie w sobie tego, co nas różni od zwierzęcia: wytwarzanie całego świata wartości ogólnoludzkich, narodowych i indywidualnych. To trwało. Początki Solidarności miały charakter trade-unionistyczny, na czym się wysypał 1976 rok, bo wielu robotników po prostu przekupiono wtedy podwyżkami, dotacjami itd., Tworzyły się liczne grupy ale …walczące głównie o pieniądze. Grupy miały charakter roszczeniowy często ich ambicje nie przekraczały zakładu pracy czy branży. Ruch Solidarności oprze się już na filarach wartości wyższych – narodowych więc automatycznie niepodległościowych – i religijnych – to po pierwsze. Po drugie nastąpiła zmiana jakościowa: inny, obejmujący całą wspólnotę cel, objęcie tymi samymi wartościami cały kraj i prawie wszystkich mieszkańców. Bardziej szczegółowo rzecz ujmując: ruch zaczynający się w roku 1979 mając charakter bardziej wzniosły, uwieńczony wartościami patriotycznymi i religijnymi, dodawał uczestnikom godności i człowieczeństwa, a tym samym odwagi i uporu w realizacji swych wartości. Zapoczątkował go w skali masowej entuzjazm wokół osoby papieża, który uczył nas, jak wstać z kolan. Ten nurt w Solidarności był dominujący. Nastąpiła przebudowa wartości ale i ludzkich charakterów. Zwiększył się obszar objęty nowym etosem, wspólnota nie obejmowała fabryki ale cały naród, całą Polskę jak w roku 1918. Dysydenci komunistyczni (podobnie jak pokolenie wcześniej zetemesowcy – michnikowscy w Marcu '68) zostali zmiecieni na margines.

Podkreślam to raz jeszcze: pokolenie, które dojrzewało w czasach Solidarności to było pokolenie poznające polską historię, polską literaturę, polski kod kulturowy, uczące się polskości. Nie pochlebiam sobie, że nauczyło się tego z naszych wierszy, ulotek czy gazetek, ale był pęd odkrywania innej rzeczywistości. Ci młodzi poczuli, że byli oszukiwani przez lata. To był ogromny ruch. Obserwowałem go w Płocku, gdzie utworzyliśmy bursy dla nauczycieli. To nieprawda, że tylko uczniowie byli głupi (naprawdę głupi uczniowie są dopiero teraz, ale jeszcze głupsi nauczyciele), wtedy nauczyciele nie byli głupi, ale byli niedokształceni. Dlatego zorganizowaliśmy „dokształt" dla nauczycieli z historii, z historii literatury, w tym prawie nieznanej literatury emigracyjnej. Zainteresowanie było tak ogromne, że ¼ sali zajmowali nauczyciele, a pozostali – przychodzili normalni ludzie z Petrochemii czy stoczni z Radziwia. Ci młodzi, fantastyczni ludzie, byli zupełnie inni od robotników z 1970 czy 1976 roku. Nie ujmując tamtym odwagi, determinacji ani nie pomniejszając krzywd, to byli inni Polacy. Ta polskość była sprawą do nauczenia i dlatego mówiłem, że do Solidarności trzeba było dojrzeć, nauczyć się jej, bo nie ma czegoś takiego jak jedna ludzkość. To znaczy jest, ale w sensie biologicznym, zwierzęcym, powiedzmy półdzikim. Do pełni dorasta się poprzez kultury narodowe, inne pomysły jak dotąd nie wypaliły. ONZ okazała się bezsilną, WHO – skorumpowaną, UE przemieniała ambicje ze wspólnotowych, obejmujących kontynent w projekt Grossdeutschland Europa, – na wszelki wypadek pozbyto się Anglii i nie przyjęto Ukrainy. Sprawdziły się tylko wspólnoty narodowe. Więc kto nie chce czy nie potrafi być Polakiem staje się nie Rosjaninem, ale niewolnikiem Rosjanina.

W czasie Solidarności powstało nie tylko nowe pokolenie, ale nowy rodzaj Polaków – właściwie nie tyle nowych, co odnawiających wartości rycerskiej Rzeczypospolitej. Można powiedzieć – to już po trzecie, że to w czasie Solidarności ale i dzięki niepodległościowemu podziemiu, które stało się jej moralną i intelektualną elitą, dokonało się upolitycznienie ruchu związkowego, jego polonizacja (w tym sensie, że stanowił już nie ekonomicznie – internacjonalistyczną mieszaninę grup lecz wspólnotę prawdziwie polską, opartą na wspólnej tradycji i wspólnym

projekcie na przyszłość). W roku 1981 roku ten polski etos promieniował na cały kraj, dogorywał okupacyjny, nieudany kulturowo i gospodarczo eksperyment o nazwie PRL. To umożliwiło nawet przejściowe przejęcie władzy – co sugerował już Moczulski w „Rewolucji bez rewolucji": róbmy na początek dwuwładzę, uchwyćmy związki, a potem może spróbujemy wygrać coś więcej. Solidarność stała się organizacją quasi państwową, jej władze – rzeczywistym rządem. Pointa historyczna i historiozoficzna może być tylko jedna: Solidarność była kolejnym powstaniem narodowym, które dało nam okres niepodległości, krótszy niż Powstanie Listopadowe, dłuższy niż Powstanie Warszawskie, lecz tak samo dające nam wolność i godność jak tamte. Powstanie solidarnościowe różniło się od poprzednich tym, że nie zostało rozbite bezpośrednio przez Rosjan, ale przez ich polskich sługusów.

Na koniec zgodnie z obietnicą jak zacząłem tak i zakończę wierszem. Nosi tytuł wiersz „Fotografia kombatantów" a zadedykowany jest przyjaciołom z KPN i Solidarności.

Obejmijmy się, starzy druhowie
mocno, mocniej, żeby nikt nie upadł
i tak nas coraz mniej.
Starzejemy się ze zdjęcia na zdjęcie
stajemy się coraz bardziej przezroczyści

Starcze uśmiechy z wysiłkiem
próbują wygładzić zmarszczki
nadać rozpadającym się twarzom jakąś wiarę,
a nawet miłość.

Tak zostaniemy na ostatnich fotografiach
posłanych do wglądu Bogu.
Nie młodzi, z płomieniem w oczach
lecz w okularach, wytartych marynarkach
z medalami, które jak czerwone strupy
przebiły się przez lichy materiał.

Dr Bohdan Urbankowski

Na brzegu placu szumiącego papierowymi flagami
Podtrzymujemy się jak na brzegu morza
Na pierwszym planie drżące palce
wykrzywione w znak zwycięstwa
w głębi – nie, przecież tego nie było,
a jednak na zdjęciu widać!
Na coraz ciemniejszym niebie
zarys biblijnej arki.

DYSKUSJA

Zbigniew Adamczyk; Czy w twoich kontaktach z osobami zajmującymi się piórem miałeś okazję zetknąć się z Janem Himilsbachem? Ja miałem okazję się z nim spotkać, nawet ostro popiliśmy i rozmawialiśmy, ale – jak to po wódce – dużo niedopowiedzeń, a z mojej strony zbyt mało pytań. W książce „Jan Himilsbach" zamieszczone są różne opowiadania, z których jedno dotyczy historii jego życia. Opisał w nim bardzo niejasno, jakie reprezentował poglądy polityczne, kogo się trzymał itp. Wiadomo, że do Związku Literatów Polskich wprowadzali go trochę kuchennymi drzwiami. Część członków ZLP była mocno czerwona (istniała także młodzieżowa sekcja literatów) i po prostu nie wiem, jakim cudem on się tam dostał. I jak kompletnie niepiszący facet napisał książkę całkiem dobrym językiem literackim? Może komuś opowiadał swoją historię, a kto inny ją spisał. Czy coś ci wiadomo na ten temat?

Druga sprawa to pan gen. Majchrowski z MSW, który zajmował się pionem kultury i sztuki. W twojej książce „Ja, Szekspir. Ja, Bóg" nie pada to nazwisko, ale każdy zorientowany domyśla się, o którego generała chodzi. Czy możesz powiedzieć coś więcej, czy znane są ci przyczyny jego samobójstwa w 1990 roku? Podobno strzelił do siebie „ze znacznej odległości" we własnym mieszkaniu na Ursynowie, 2 bloki ode mnie, w dodatku po negatywnej weryfikacji przez odpowiednie komisje w 1990 roku przestał pełnić zaszczytną rolę w służbach. Zginął i pozostało po nim półtora tysiąca parkingów pod wspólną nazwą „Stowarzyszenie Użytkowników Parkingu" (w moim przypadku – ul. Koncertowa, ale one są też w Łodzi, w Częstochowie i na Pomorzu). Wszystkie są oparte o ten sam statut i zawierają te same błędy maszynowe. Śledziłem te statuty. Byli esbecy pracują tam rzekomo całkowicie społecznie, poświęcają swój czas i wysiłek dla dobra wspólnego, ba!

muszą chodzić po bankach, organizować zebrania. Ale gdy prześwietliłem prezesa mojego parkingu w Komisji Rewizyjnej, okazało się, że on z tej pracy społecznej zyskiwał dochód 60 tys. rocznie. W dodatku zatrudniona została jeszcze jego żona, która zarabiała 1500 zł miesięcznie tylko za to, że szła do chłopaków z parkingu i pobierała od nich przez pierwszych 10 dni miesiąca opłaty od użytkowników za parking (kiedyś 80 zł, teraz 100 zł). Chciałbym mieć taką pracę! Do tego za tę pracę społeczną miał opłacone mieszkanie za 600 zł (co było równowartością czynszu), bo jako adres działania stowarzyszenia wskazał w sądzie rejestrowym własny adres, za co też pobierał pieniądze. Ale cały czas pracował społecznie. Czy mógłbyś coś więcej powiedzieć na jego temat?

Trzecie pytanie. W stanie wojennym popularne były teatry domowe. Hulały one w wielu miastach. W Warszawie byłem co najmniej na dziesięciu takich spektaklach w różnych domach. Sam je organizowałem w swoim środowisku ochrony zdrowia. Była to na ogół stała grupa aktorów. Pomagała mi w ich organizacji Maja Komorowska, która miała kontakt z Ewą Dałkowską. Ewa przygotowała jakiś temat na dany wieczór oraz odpowiednią 5–6 osobową grupę aktorów. Nasza koleżanka miała idealne mieszkanie – dwupoziomowy salon – do organizacji takich spotkań. Publiczność siedziała na górnym poziomie, w dole aktorzy rozgrywali swoje sceny. Udało mi się nawet zorganizować wtedy w tym miejscu spotkanie z ukrywającym się Zbyszkiem Bujakiem. Moje akcje w środowisku wtedy strasznie wzrosły.

– Przywiózł Bujaka – szeptano i od razu stałem się osobą znaczącą. Z dużymi kłopotami, dwugodzinnym spóźnieniem, ale ludzie czekali na to spotkanie nawet i 8 godzin. Do willi wchodziło się w odpowiednim trybie i czasie. Był podziały na dwójki, trójki, ludzie udawali małżeństwa itd. Czy znane są ci przypadki, że grupy „solidarnościowych" aktorów, którzy nie uczestniczyli ani w bojkocie telewizyjnym, ani w życiu podziemnych teatrów, w swoim środowisku kapowali, donosili, utrudniali? Oni też byli w tamtym okresie mocno podzieleni i często publiczność dawała temu wyraz. Organizowałem w Teatrze współczesnym 2 razy takie teatry, gdzie dzięki Mai Komorowskiej wykupiłem całą salę, wcześniej zbierając pieniądze od pracowników

mojego szpitala i pracownicy od nas tam weszli. Na tej sali byliśmy tylko my, solidaruchy. Po zakończonym spektaklu wszyscy wstali i zaczęły się owacje. Biedni artyści nie mogli zejść ze sceny, bo nie wiedzieli, co się dzieje, tak długo trwały oklaski. Później grupa wyznaczonych przez nas naszych ludzi z wielkimi kwiatami weszła na scenę, wręczając wybranym artystom te kwiaty. Do kwiatów były dołączone ulotki i laurki. Ja wręczałem panu Krzysztofowi Kowalewskiemu ulotkę (którą sam drukowałem) z napisem: „I bez telewizji jesteście na wizji". Ich to podobno wzruszało. Ale drugiej grupie, propezetpeerelowskej także utrudniano życie, a publiczność także nie szła im na rękę. Pamiętam słynne wygwizdanie Czernousowa Kłosińskiego, który nie mógł rozpocząć kwestii w Teatrze Narodowym, bo co otworzył usta, już były owacje na stojąco. Biedak zszedł ze sceny, nawet nie rozpoczynając roli. Czy znane są ci takie anegdotyczne, nie krążące w opinii publicznej fakty?

Bohdan Urbankowski: Pierwsza sprawa to jawne i niejawne struktury. Myślę, że jest tu pewien podtekst. W rzeczywistości to, co nazywa się podziemiem – podziemiem warszawskim – miało swoje struktury. Były to struktury oparte na władzy moralnej. Odwołam się tu do koncepcji Karola Libelta, który mawiał, że istnieje władza polityczna, ekonomiczna i moralna. Ci ludzie mieli w Warszawie olbrzymi autorytet, dość wspomnieć gen. Abrahama w Warszawie czy córkę Grota-Roweckiego, która jeździła między Warszawą a Australią (bo tam miała syna). Wybór struktur terenowych z ich punktu widzenia był po prostu szkodliwy. Oni i tak wiedzieli, że ich polecenia, a nawet sugestie, będą wykonane. Oni byli… niemal można się było do nich modlić. Jak wybierało się lokalnych działaczy w fabryce, pegeerze itp., to podawało się ich na tacy.

Nawiązując do ostatniego pytania, odpowiem, że przecież mieliśmy system bolszewicki. To znaczy, że w dużym zakładzie pracy musi być co najmniej jeden donosiciel. W większym zakładzie – co najmniej dwóch. Zawsze donosiciel był w szkole. U nas np. donosił profesor od przysposobienia wojskowego. Tam, gdzie ty bywałeś, bywali też z rozdzielnika. Spędziłem wiele lat w środowisku aktorskim. 30 lat Płock,

Kielce, Wałbrzych… Poznałem ich na tyle, że wiem, że ludzi idei gotowych się za nią poszatkować jest tyle, co kot napłakał. Może wynika to z zawodu. Jeżeli ktoś musi się wcielać w różne role, odgrywać i uzasadniać różne poglądy, to w końcu wszystkich lekceważy. W samym „Szekspirze" jest 20 różnych światopoglądów, łącznie z nawiązaniem do antycznej Grecji. Sądzę, że to środowisko było dokładnie tak samo prześwietlone. Co nie znaczy, że ich nie cenię. Z Ewą Dałkowską znamy się do dzisiaj i chyba się lubimy, bo jak miałem promocję, to ona czytała moje teksty. Natomiast protest aktorów zwłaszcza z Warszawki i Krakówka, którzy wygodnie się umościli w PRL, a potem załapywali się na Solidarność, była to pewnego rodzaju gra pozorów a gra jest istotą zawodu. Aktor to ten, który wciela się w rolę i przystosowuje do sytuacji. Dotyczy to większości, choć są jednostki odważne, wierne nie roli a sobie – jak wspomniana przez ciebie Ewa Dałkowska, czy u nas w Płocku Kazik Tałaj, zresztą działacz podziemia KPN. W pierwszych dniach po wprowadzeniu stanu wojennego pojawiły się hasła: „Aktorzy nie uczestniczyć w spektaklach, bo to legitymizuje władzę i pudruje stan wojenny, udzielać się, w życiu podziemnym, jak za okupacji. Ale to nie bardzo wychodziło, więc wprowadzono program minimum, trzeba żyć i zarabiać, więc występujemy w teatrze, ale w telewizji nie wystąpimy. Dopiero, gdy jako pierwszy w telewizji wystąpił sam twórca „Wielopola" i „Umarłej klasy" Tadeusz Kantor, który był autorytetem moralnym od czasów gdy za niemieckiej okupacji działał w podziemiu teatralnym, więc kiedy on dał jakby to powiedzieć, kiedy dał twarz w telewizji – bojkot się skończył. Nie znaczy to, że spotkania domowe nie miały wartości. Miały i to ogromną, podobnie jak spotkania poetyckie czy polityczne. Po prostu każda taka struktura pracowała na rzecz niepodległości, na rzecz mądrości ludzi, na rzecz odwagi ludzi, wyrabiała charakter… Wpływ jakiejś gazetki lokalnej, którą z ręki do ręki przeczyta parę tysięcy osób, był większy niż elitarnego przedstawienia teatralnego. Przedstawienie miało mniej więcej taki zasięg i podobną wartość jak tajne narady polityczne. Takich też było mnóstwo w wielu mieszkaniach. Tylko trochę inny profil, trochę innych rzeczy się uczono, a poza tym grupy teatralne (akurat w Płocku takiej nie

było; była nasza, ale to znajomi i nie w Płocku, a w Łomsku albo w Gostyninie, bo trzeba było to kamuflować) miały swoje wtyki. Te wtyki miały swoich oficerów prowadzących.

Wrócę raz jeszcze do sprawy „Dziadów" Mickiewicza i teatru Dejmka. Kim był Dejmek – reżyser „Dziadów"? Dejmek to był naprawdę utalentowany karierowicz. Umierał w aureoli bohatera i ministra RP – a był to jeden z niebezpieczniejszych, bo obdarzonych – jak powtarzam – talentem, sowietyzatorów polskiej kultury. Zadebiutował dość młodo i od razu z partyjnymi fanfarami: 12 listopada 1949 roku rozpoczął działalność łódzki Teatr Nowy. Na inaugurację wystawiono socrealistyczną sztukę Vaška Kani „Brygada szlifierza Karhana". Reżyserem był utalentowany 25 – latek Kazimierz Dejmek. Od tej pory socrealistyczne gnioty nazywano „karhanami". Za ten wyczyn Dejmek został dyrektorem i natychmiast wystawił „Poemat pedagogiczny" Makarenki. Szczytem jego ówczesnych osiągnięć okazał się wystawiony w 1952 roku ku czci radzieckiej Rewolucji „Niezapomniany rok 1919" Wsiewołoda Wiszniewskiego. Dejmek to wyreżyserował, oczywiście „pod siebie" – zagrał samego Lenina. A grał tak dobrze, że towarzysze radzieccy chcieli mu powierzyć dyskretną fuchę w mauzoleum na Placu Czerwonym. W końcu władze partyjne doszły do wniosku, że Dejmek marnuje się na prowincji. Dostał teatr w Warszawie, gdzie oprócz paru sztuk politycznie mniej ważnych wystawił w 1966 roku dramat Rolfa Hochhutha pt. „Namiestnik". Sztuka oskarżała papieża o ciche przyzwolenie na zagładę Żydów – to był wkład Dejmka w dyskusję o 1000-leciu państwa polskiego. Dejmek awansował do Warszawy, gdzie chciał powtórzyć sukces łódzki, to znaczy wejść władzy w dupę i zaproponował „Dziady", ale jako świeckie, przedchrześcijańskie obrządki, zakończone wierszem „Do przyjaciół Moskali". Dostał na to 5 mln, co Krakusy dokładnie opisały w piśmie „Arkana" lub „Arka". Zostało więc to dobrze udokumentowane, tyle tylko, że Dejmek się nie wyrobił na czas. Holoubek twierdził, że miał już konflikty z zespołem, nikt nie chciał deklamować wiesza do Moskali. Nie wiem, bo na przedstawieniu nie byłem, gdyż bilety na „Dziady ku czci rewolucji październikowej" rozprowadzali zetemesowcy, więc nie

wypadało brać. Potem okazało się, że „Dziady" same grają Dejmkowi, a brawa następują nie w tym momencie, gdzie trzeba. W naszej grupie poetyckiej mieliśmy dwóch autentycznych hrabiów. Jeden z nich był organizatorem ludowych manifestacji. W teatrze panował zwyczaj, że na ostatnie przedstawienie po przerwie wpuszczano za frajer. Cały akademik z Kickiego usiłował się dostać „tajniej", ale nas nie wpuszczono. Zanieśliśmy więc kwiaty pod pomnik Mickiewicza. Koledzy i koleżanki ze szkoły teatralnej (najładniejsze dziewczęta w Warszawie, co miało znaczenie nawet u nas na Grochowie) mieli prikaz, że gdy występują wykładowcy, należy iść i bić brawo. Tak robili, ale w „Dziadach" bili nie w tym momencie. Był to symbol większości ludzi teatru – podlizać się i wystąpić tu i tam.

Prawdziwi ideowcy z reguły zostawali potem reżyserami. Np. moja znajoma reżyserka z Płocka – pani Rydz, zaczęła robić karierę w Południowej Ameryce, gdzie była dosłownie rozrywana. Myślę, że to, co się mówiło o aktorach, dla nich było rolą. Raz taką, raz inną. To, że jeden aktor donosił na całe środowisko, to też była rola. Oni lekceważyli programowo całą Służbę Bezpieczeństwa, kpiąc, że taki ani nie wygłosi roli Konrada, ani monologu Hamleta nie zna. Mieli to poczucie wyższości i pogardy, nawet w stosunku do władzy.

Himilsbacha właściwie nie znałem. Był dużo starszy, ale rzeczywiście trzymał się z Kołem Młodych ZLP, to znaczy z Gąsiorowskim i Jerzyną. Rozmawiałem z nim raz na Krakowskim Przedmieściu, podszedł i powiedział, że podziwia mój talent, że inni też mi przepowiadają przyszłość i, że – w dowód uznania – on pożyczy ode mnie pięćdziesiąt złotych. Potem mnie oczywiście unikał i na tym znajomość się skończyła. On został wylansowany w filmie „Rejs", którego reżyser Piwowski był TW i trzeba go było podbudować. Ten taśmowiec został tak zmontowany, żeby się okazało, że Himilsbach jest wybitnym aktorem, dzięki niemu i Tymowi, Piwowski okazał się wybitnym reżyserem. Swoją znajomością z Himilsbachem opowiadał mi Zbyszek Jerzyna, chwalił się jak pomagał mu w trudnych momentach. Ponieważ Himilsbach lubił popić, żona na wszelki wypadek zamykała go na klucz. Zbyszek Jerzyna wymyślił taki myk, że przynosił pod drzwi szklankę z wódką, w której

była słomka. Wtykało się tę słomkę w dziurkę od klucza, a drugiej strony Himilsbach ciągnął.

Inaczej było z Majchrowskim. Pisząc o nim przyznałem, że jest to trochę sklejka, a trochę nie. Jeden Majchrowski był w Anglii, inny Majchrowski – z bocznej linii – jest obecnym prezydentem Krakowa. Był też jeden Majchrowski w Wilnie na wysokim stanowisku. Rodzina jest rozgałęziona i łatwo ich pomylić, natomiast ten, o którym ja słyszałem, był oficerem prowadzącym moich przyjaciół, którzy na mnie donosili. Było to w latach 70., chociaż Zaniewski nawet wcześniej zaczął, ale Nawrocki trzymał się do 1988 roku, Kurylak zwiał do Przemyśla, gdzie donosił już tylko na PAX (znał trochę środowisko, wiedział, którą ręką się żegnać, był technicznie przygotowany). Majchrowski miał ambicje literackie, za niego pisali książki, niektóre „Książka i Wiedza" wydawała pod pseudonimem.

Zderzyłem się z nim dzięki swojemu przyjacielowi, bo początkowo miałem być nawet dyrektorem teatru w Płocku. Pomysł polegał na tym, że miałem być fikcyjnym dyrektorem, bo chcieliśmy stworzyć koncern dwóch albo trzech teatrów. Szefem całości miał być Andrzej Marczewski, który wyleciał, dlatego, że robił „Termopile Polskie". Na mnie doniósł Nawrocki. Zachowały się jego donosy, które recenzowano. Wpłynęły one na opinię Majchrowskiego, który w mojej sprawie napisał do Płocka, że ktoś taki jak ja absolutnie nie może być, a Nawrocki to uzasadniał.

Miałem niewielu przyjaciół, bo prowadziłem wędrowny tryb życia. Sławek był moim przyjacielem. Nazywaliśmy go wujo Sławek z szacunku przez 40 lat od początku polonistyki. Kiedy przyjeżdżałem z Płocka do Warszawy na dzień-dwa, nie mogłem nie spotkać się z wujem Sławkiem. Zwierzałem mu się z różnych rzeczy. On wiedział o naszej działalności w Solidarności w Polskim Radio (która nie była zbyt duża, bo byliśmy na dole na Myśliwieckiej, a centrale i ważniejsza Solidarność była wyżej, na Madalińskiego, ale nosiliśmy opaski dla szpanu). I nagle dosłownie zacytowane swoje słowa znalazłem u Majchrowskiego!

Jak wyglądała jego śmierć? Potrafił strzelać do siebie z niezwykle dużej odległości. Plotka mówiła, że za dużo wiedział o sprawie

Kwaśniewskiego i tymi kanałami postanowiono go zlikwidować. Na Ursynowie niewiele o nim wiedziano. Moja dobra przyjaciółka, dyrektor Wolska nie wiedziała o jego przeszłości, bo się mówiło „panie mecenasie" i on dostawał najlepsze zlecenia.

To, co mówisz o parkingach, wygląda mi na sieć postubecką. Prawdopodobnie byli to znajomi i wiedzieli, że parkingi to dobry sposób. Druga taka sieć ogarniająca całą Polskę to były ogródki działkowe. Tam siedział ubek na ubeku.

W mojej książce w jednym miejscu podaję nazwisko Majchrowskiego, w drugim miejscu podaję „Majchrzak" Majchrowski (to także jeden z jego pseudonimów literackich). Czułem się upoważniony, żeby go użyć, bo kto znał środowisko literackie, wiedział o podrzędnym krytyku Majchrowskim, ale nie wiedzieli dlaczego trzeba go drukować. On był oficerem UB, potem SB odchodził ze służby jako pułkownik, a potem został generałem. W latach 90. był w Biurze Ochrony Rządu. Ta spółdzielnia była przykrywką grupy interesów.

Ciągnąc wątek dziejów Solidarności i naszego udziału, trzeba powiedzieć o transformacji. To samo zrobiono w Związku Radzieckim. Przecież zwycięstwo Solidarności było takie trochę werbalne, pyrrusowe, wirtualne. W sferze propagandowej wygraliśmy – wygraliśmy wybory. Kirpluk siedział na kamieniu przed lokalem wyborczym, na zmianę z żoną i notował, na kogo wychodzący głosował. Potem się okazało, że prawie wszyscy głosowali na Solidarność. A wiadomo, że osiedle było lewicowe, pełno partyjniaków, z których co najmniej połowa najchętniej utopiłaby Solidarność w łyżce.

Myślę, że tajemnica Majchrowskiego nie zostanie wyjaśniona. Chyba, że – tego nie wiem – wiem jednak, że Kwaśniewski nie jest odporny na alkohol. On może coś wiedzieć i jest to chyba jedyne źródło. Nie podejrzewam, żeby sam się zastrzelił. Były takie przypadki. Sekuła zabijał się chyba trzy razy z poprawką. To są normalne mechanizmy w dawnym, totalitarnym systemie władzy. Wykańcza się przeciwników, wykańcza się bezwzględnie konkurentów. W tej chwili to się dzieje w Rosji. Mam nadzieję, że nie przejdzie to do Polski, ale jak będziemy tak pomagać Ukrainie, jak pomagamy, a Niemcy będą

wysyłać tam swoje czołgi, to Kwaśniewski wróci do władzy. W najlepszym razie.

Czesław Jakubowicz: Zarówno wystąpienie naszych autorów, jak spotkanie w Instytucie zawsze dla mnie jest wyjątkowe. W przemówieniu padły słowa klucze. To nie są tylko hasła czy symbole, ale jest to mądrość filozoficzno-duchowa. Np. solidarność, wspólnota losów, wspólny kod kulturowy. Nie mówi się o tym na co dzień, a jest to *credo* naszej działalności.

Kiedy 31 sierpnia 1980 roku oficjalnie powstała Solidarność, byłem w tym czasie nad jeziorem Serwy z moim przyjacielem, aktorem. Wybrałem się po mleko. To była wieś. Wchodząc, zobaczyłem kobietę, która przez gazę przecedzała mleko do garnuszka, który następnie podawała kupującym. I zupełnie spontanicznie powiedziałem: – „Szczęść Boże"! Dlaczego akurat tego dnia to mi się wyrwało? Po prostu odczułem, że nadchodzi coś wielkiego. Zawsze patrzę na losy własne, Polaków, Ojczyzny jako na coś wyjątkowego w historii świata. Kiedy powiedziałem „Szczęść Boże", zapadła cisza, ale pani odwróciła się i elegancko odpowiedziała: – „Bóg zapłać". Czekałem jeszcze w kolejce, kiedy nagle wpadła kobieta i omijając czekających w kolejce, od razu podeszła po towar, oświadczywszy: – „Ja jestem z Warszawy". Opowiadałem to koledze. Mój kolega odjeżdżając, powiedział do mnie na boku: – „Słuchaj, to początek. To się długo nie ostoi. Nie mogę ci więcej powiedzieć. Wyjeżdżam za granicę. Zachowaj to dla siebie. Pomaga mi przyjaciel z ambasady kanadyjskiej". Mój kolega wyjechał w połowie października i dopiero po kilku latach odezwał się z Kanady. I wybuchł stan wojenny. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, zaraz po entuzjazmie powstania Solidarności służby już wiedziały, że to się nie ostoi.

Ruch niepodległościowy. We wszystkich wydarzeniach zawsze odruchowo szukałem pojęcia niepodległości. Z tym miał problem i Piłsudski, kiedy powstawała Polska. Jako jedyny wierzył i wiedział, co to jest niepodległość. Szukamy w Solidarności ruchu niepodległościowego. Ktoś mnie pytał, czy dzisiaj ludzie z Solidarności się spotykają, bo się dziwią, że nie ma Solidarności w życiu społecznym. Upomniałem się

kilka razy u przewodniczącego Józka Modzelewskiego, bliskiego mi kolegi, żeby robił takie spotkania w Białymstoku. KPN w Białymstoku była silna – Stasia Korolkiewicz... Dopominamy się, żeby robić takie spotkania. Szósty czy siódmy rok proszę, żebym mógł jako emeryt wejść do sekcji emerytów Solidarności. Przewodniczący Józek Modzelewski mówi, że tam się płaci składki, to ja podwójnie zapłacę! Póki mogę, chciałbym pomagać ludziom starszym, a wiem, że potrzebują pomocy. Niestety, do dzisiaj nie otrzymałem zaproszenia. Kilkanaście razy koledzy obiecywali, że zadzwonią i nie zadzwonili. To pojęcie niepodległości było dziwnie zatrzymywane.

W 1994 roku, gdy wygraliśmy wybory samorządowe w Białymstoku, przejęliśmy władze tylko dlatego, że śp. Krzysio Putra umiał zorganizować ludzi. Z siedemnastu ugrupowań powołaliśmy klub „Jedność", ja – w ramach Konfederacji Polski Niepodległej. Ale co się wybijałem z tą niepodległą, to mnie wszyscy wyciszali, łącznie ze śp. Krzysiem. Nawet kiedy zarzuciłem, że Solidarność rozwaliła gimnazja, podzieliła granice województw, to Krzysio Jurgiel publicznie oświadczył jako zarzut:

– Ty jesteś z KPN!

Cała sala pękała ze śmiechu. Myślę, że i dzisiaj prezydent Duda, który pięknie mówi i jego przedstawiciele, z pojęciem niepodległości mają kłopot. Kiedy opowiadam o naszym Instytucie, to podbijam jego wartość, dodając, że wspiera nas Janek Kasprzyk, znany ludziom z mediów.

Inne piękne słowa, które padły, to kształtowanie w sobie człowieka, dorastanie do wartości, a także przywołanie tego zawołania hetmana Czarnieckiego: „Ja nie z soli, ja nie z roli, tylko z tego, co mnie boli". Historia ziemi świętokrzyskiej to jest historia Polski i hetmana Czarnieckiego. Hetman Czarniecki – jeden z bohaterów naszego hymnu narodowego jest związany z Podlasiem. Pierwszy jego pomnik wystawił mu wnuk w Tykocinie. Ten pomnik nie został przez nikogo zniszczony i stoi do dziś.

W Tykocinie była też bardzo duża wspólnota żydowska. Do dziś przyjeżdżają wycieczki młodzieży z Izraela, otoczone kordonem uzbro-

jonych po zęby żołnierzy izraelskich. Przed wojną władza dzieliła się w ten sposób, że zawsze burmistrzem był Polak, a zastępcą był mieszkaniec pochodzenia żydowskiego.

Bohdan Urbankowski: Jeżeli zaczniemy analizować ukryte znaczenia słów, to np. określenie „na Ukrainie" kojarzy się z takimi terminami jak: na Kresach, na wałach obronnych, ale także na Słowacji, na Łużycach, natomiast nie: kojarzą się tak określenia w Meklemburgii czy w Czechach. Myślę, że tu jest klucz. Z polskiego punktu widzenia to było przedmurze chrześcijaństwa. Mówienie „na Ukrainie" miało głęboki obronny, militarny odcień. Coś, czego nie ma określenie „w Ukrainie". Ale są precedensy. Niektóre słowa się przyjmują, inne nie. Kiedyś mówiło się India, a nie Indie. Modne słowo „ekstrapolować", potem zostało zamienione na „rzutować", a nawet „rzucić" – prostsze i znacznie krótsze. W języku zadziałała ekonomia, ale też moda, nowości. Podział na „obciach" i „cool" rozwalił nam całą kulturę, bo paru idiotów decydowało o tym, co jest „cool", a co nie jest. W tej chwili „cool" jest „w Ukrainie" i trzeba to przeczekać.

Sprawa niepodległości, samookreślenia. Zaszłości historyczne odgrywają rolę. Pech chciał, że Piłsudski i Dmowski startowali do tej samej pani. Witos nie startował, bo był brzydki i nie miał szans. Samo przeciwstawianie patriotyzmu i nacjonalizmu jest oczywistą bzdurą. Patriotyzm pochodzi od „patria" – ojczyzna, nacjonalizm, od „natio" – naród. Tam chodzi o obszar, tu – o ludzi. Nie ma tu sprzeczności. Słowo „niepodległość" rozwijało się trochę z naszą świadomością narodową już od końca XVIII stulecia. Początkowo niepodległość była uważana za coś militarnego. Mamy państwo i mamy granice, więc tego bronimy. Potem okazało się, że można wykombinować drogę do niepodległości poprzez ekonomię, przez oświatę. Oczywiście cały czas chroniła nas religia katolicka, w odróżnieniu od protestantów i prawosławnych. W Warszawie mamy ulicę Stalową. Warszawiacy wiedzą, skąd się wzięła. To była pokojowa, nie powstańcza droga do niepodległości. Mieliśmy tam zbudować przemysł, że Ruscy niech się schowają, podbijamy ekonomicznie całą Rosję. Zbudowaliśmy, a Ruscy w 1915

roku akurat uciekali z Warszawy, a ponieważ fabryki im się spodobały, zabrali je do Rosji. Tak się kończy niepodległość nie chroniona siłą. Okazuje się, że jednak trzeba mieć jakieś mechanizmy. W przypadku oświaty i poezji sprawdziły się tajne spotkania ludzi kultury. Słowo się broni, jest to praca podziemna, ale tak to działa. Wallenrodyzm nie wziął się z powietrza, ale był naszą nieoficjalną ideologią narodową przez 123 lata. Też dał efekty. Świętochowski oficjalnie mówił, że to mrzonki. Uważał, że powstanie było absurdem, szaleństwem, bo trzeba stawiać na chłopów, budować dla nich szkółki. Ale, mój Boże, przecież w tych szkołach uczono historii Polski. I w ten sposób niepodległość przebijała się własną siłą.

Przeciwników niepodległości mieliśmy z dwóch stron. Byli to ci głupsi narodowcy (nie ci mądrzejsi jak Dmowski) i mocniej atakująca PZPR. Oni wiedzieli, że tak naprawdę nie są rządem niepodległym. Kiedy walczyły dwie frakcje: policjanci i politrucy, to *de facto* oni walczyli o względy Moskwy, na kogo ona postawi, kto nas będzie lepiej trzymał za mordę. Lecz nie walczyli o niepodległość. Atak szedł z dwóch stron. Część opozycji dziedziczyła tradycje Dmowskiego, czyli uległości i kolaboracji. To Dmowski posłował do Dumy, niepodległość widział jako rodzaj autonomii – prawdziwa niepodległość go zaskoczyła. Po latach, to paradoks naszej historii, KOR walczył o stronę materialną, ale zamiast pełnej niepodległości godził się na „finlandyzację" Polski. W momencie, kiedy oni połączyli siły, to cały nurt niepodległościowy został wymazany. Zaczęło się od Wojtka Ziembińskiego i jego chłopaków z Klubów Służby Niepodległości – oni zostali wymazani jako pierwsi. Ziembiński zakładał KOR i odszedł z niego do ROPCiO dlatego, że zabrakło mu tam programu niepodległościowego. W Poznaniu Staniewicz niby był w KPN, ale miał własną młodzieżówkę, prowadził wykłady, spotkania. Też zostali wymazani i to przez „swoich", przez tzw. prawicę. Czyli wygrali zwolennicy i beneficjenci układów w Magdalence. We Wrocławiu wykoszono większość patriotów z Solidarności Walczącej – a wszystko przy milczącej zgodzie tzw. patriotów. KPN zostawiono na deser, bo była za silna. Ale po wyniszczeniu tamtych grup nie mieliśmy już sojuszników, nie miał nam kto pomagać. Gdyby

KPN organizacyjnie postępowała trochę inaczej, zwłaszcza w okresie, gdy dostała się do Sejmu, to w dalszym ciągu mogłaby coś robić. Ale tzw. polscy politycy zaczęli robić w portki, gdy Moczulski zaczął odcyfrowywać znaczenie PZPR – „Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji".

Czesław Jakubowicz: Nie przyjmują w mundurze Piłsudskiego, a ja wszędzie jestem. Staramy się być radykalni i staramy się łączyć ludzi. Sam Piłsudski niekoniecznie łączył ludzi, ale zawsze wyraźnie mówił: „w sytuacjach trudnych".

Bohdan Urbankowski: Ale był państwowcem, wiedział, że są różne nurty polityczne, jak różne rodzaje ekonomii – prywatna, spółdzielcza i państwowa. Poza tym był w większym stopniu pragmatykiem, niż na ogół to się docenia. On cenił romantyzm, z niego czerpał wzory i cele, w tym najważniejszy – niepodległość. W jego hierarchii wartości inne stały niżej, były podporządkowane. Dlatego gdy trzeba było poszedł na współpracę i sojusz z Austrią, nawet jeździł do Tokio a jednocześnie budował PPS, ZWC, Legiony. Dmowski podstawiając mu nogę. Mówi się, że był realistą – tak, w tym sensie, że widział tylko to, co realne dziś, nie potrafił walczyć o marzenia, nie miał wizji przyszłej Rzeczypospolitej. To niestety powtarzający się model polityków. Po latach to samo robił KOR umizgując się o finlandyzację i o jakiś ochłap dla siebie – ochłapodawcą oczywiście była Moskwa. W jeszcze bliższym nam czasie – rząd Tuska, który chciał się umościć jako wasal Niemiec w Unii przepoczwarzającej Europę w Grossdeutschland.

INDEKS NAZWISK

A
Abraham Roman: 217, 226, 233
Abramowski Edward: 207
Adamczyk Zbigniew: 97, 100, 101, 172, 173, 231
Adamowicz Paweł: 128
Allen Richard: 36
Ambroziewicz Urszula: 224, 225
Andrew Christian: 23
Andropow Jurij: 18
Anusz Andrzej: 4, 5, **7–81**, 82, 84–87, 91–93, 96, 97, 104, 110, 170, 171, 202, 203
Anusz Antoni: 103

B
Bajbakow: 17
Bakunin Michaił: 212
Barcikowski Kazimierz: 15, 24–26, 30, 31, 98
Barthel de Weydenthal Jadwiga: 46
Bartoszewski Władysław: 120
Beim Józef: 156, 158
Benedykt XVI: 103, 107
Berling Zygmunt: 215
Berman Jakub: 214, 215
Besançon Alain: 29
Bierezin Jacek: 216, 217
Biskupski Andrzej: 216, 217
von Bismarck Otton: 209, 211
ks. Blachnicki Franciszek: 38
ks. Błaszczak Jerzy: 125, 126
Błażejewska Teresa: 128
ks. Bogucki Teofil: 8
ks. Boniecki Adam: 35, 36, 47
Borejsza Jerzy: 215
Boyes Roger: 46
Breżniew Leonid: 19, 23, 30
Broniewski Władysław: 212, 223
Bryll Ernest: 226
Brystygier Julia: 214, 215
Brzeziński Zbigniew: 20, 36
Bubnicki Rafał: 60
Bujak Zbigniew: 36, 57–60, 77, 232
Bukowski Władymir: 19
Byczewski Iwo: 118, 120

C
ks. bp Casaroli Agostino: 35
Celiński Andrzej: 161
Ciastoń Władysław: 153
Ciemniewski Jerzy: 115
Ciosek Stanisław: 15, 129
Chrostowski Waldemar: 58
Chrzanowski Wiesław: 27, 28, 131, 133
„Chudy", zob. ks. Dutkiewicz Eugeniusz
Chyłek Andrzej: 169, 170
Cromwell Oliver: 99
Cywiński Bohdan: 37, 79
Czarniecki Jan: 240
Czernienko Konstanty: 19
Czuma Andrzej: 216

Czyrek Józef: 55

Ć
Ćwiek Jerzy: 153

D
Dałkowska Ewa: 232, 234
ks. bp Dąbrowski Bronisław: 14, 15, 24, 26, 28, 30, 31, 35, 41–43, 46, 47, 51, 65, 66, 94. 127, 128, 131, 133–136
Dąbrowski Jan Henryk: 90
Dąbrowski Jarosław: 90
ks. Dąbrowski Jerzy: 134
Davis John: 37
Dejmek Kazimierz: 235, 236
ks. Dembowski Bronisław: 32, 59
Dmowski Roman: 241–243
Dominiczak Henryk: 64
Domosławski Artur: 29
ks. Drozdek Mirosław: 126, 127
Drzycimski Andrzej: 34, 50
Duda Andrzej: 117, 240
Dudek Antoni: 56, 115, 118
Dudek L.: 43
ks. Dutkiewicz Eugeniusz: 125
Durek Krzysztof: 4, 5, 141–168, 169–178
ks. Dyl Janusz: 124
Dzierzgowska: 208–209
ks. Dziwisz Stanisław: 35, 47

F
Fejgin Anatol: 214, 215
Fikus Dariusz: 10
Folejowski Feliks: 126
Franciszek I: 93, 95, 107
Frasyniuk Władysław: 49, 56, 59, 77, 102, 103
Frazik Wojciech: 112, 117
Friszke Andrzej: 98, 213
Frunze Michał: 220

G
Gandhi: 79
Gąsiorowski Krzysztof: 236
Geremek Bronisław: 24, 53, 136
Gersdorf Małgorzata: 196
Gierek Edward: 24, 96, 142, 148, 172, 216
Gieysztor Aleksander: 40
ks. abp Glemp Józef: 8–13, 15–17, 20, 21, 24–27, 30, 38, 42–50, 53, 55, 56, 58, 64, 66, 68, 69, 80, 88, 93–97, 100, 102, 107, 108, 131, 133, 162
ks. abp Gocłowski Tadeusz: 60
Gomułka Władysław: 213–215
Goodwyn Lawrence: 49, 53
Graczyk Roman: 41
Griszin Jurij: 19
Grochowska Magdalena: 36
Gromyko Andriej: 18
Grot, zob. Rowecki Stefan
Gruba Jerzy: 111
Grudzień Zdzisław: 216
Gryz Ryszard: 56
ks. abp Gulbinowicz Henryk: 46, 59, 60, 95, 102–105
Gwiazda Andrzej: 20, 94, 98, 227
Gwiazda Joanna: 227

H
Haig Alexander: 35, 36
Hall Aleksander: 49, 50, 77
Hardek Władysław: 77
Herbert Zbigniew: 208, 209
Herling-Grudziński Gustaw: 42
Himilsbach Jan: 231, 236, 237
ks. abp Hlond August: 69

Holoubek Gustaw: 235
Holzer Jerzy: 9, 10, 32, 79
Hochhut Rolf: 235
Huk Stanisław: 211

I
Idziakowska Zofia: 222

J
Jabłoński Henryk: 17
Jackiewicz Zbigniew: 4, 5, 100–102, **179–194**, 196–198, 201–203,
Jakubowicz Czesław: 102, 176–178, 239, 243
Jan Paweł II: 13, 16, 35, 36, 39, 42, 45, 47, 48, 51, 53, 60, 63, 75, 81, 93, 97, 108, 124, 203
Jandziszak Tadeusz: 220
ks. Janik Stanisław: 127
Janiszewski Michał: 82, 109, 113, 195, 199, 200, 202
Jaruzelski Wojciech: 8–10, 13, 15, 17–20, 23–26, 30, 35, 40, 42, 43, 45–47, 49, 53, 55, 63, 66, 83, 85, 86, 92, 112, 117, 124, 131–133, 137, 199–203, 223, 224
Jaworski Seweryn: 10, 14, 15, 51
Jedlicki Witold: 83, 214, 215
Jedynak Bonifacy: 159, 173
Jedynak Tadeusz: 110
Jelcyn Borys: 116, 119, 120
Jerzyna Zbigniew: 236
Jurczak Stefan: 244
Jurczyk Marian: 94, 96
Jurgiel Krzysztof: 240

K
Kaczmarski Jacek: 92
Kaczyński Jarosław: 227
Kaczyński Lech: 227
Kaganowicz Łazar: 214
Kamieniew Lew: 219
Kamiński W.: 49
Kania Stanisław: 8, 96
Káňa Vašek: 235
Kantor Tadeusz: 234
ks. Kantorski Leon: 24
Karłowicz Dariusz: 78
Karpiński Jakub: 7, 25, 32, 57
ks. Kietliński Henryk: 124
Kirpluk Edward: 220, 225, 238
Kiszczak Czesław: 23, 31, 32, 63, 64, 94, 95, 111, 133, 136, 152, 153, 156, 165, 170, 173, 175, 176, 199, 201, 202
ks. Klimiński Eugeniusz: 125
o. Kłoczowski Jan Andrzej: 59
Kłosiński Janusz: 233
ks. Kniotek Florian: 127
Koch Eugeniusz: 164, 169
Kociołek Stanisław: 11
Kołakowski Leszek: 216
Komorowska Maja: 232
ks. Kopeć Jerzy: 127
Kopka Bogusław: 31, 66
Korczyński Grzegorz: 214, 215
Kordyasz Piotr: 126
Korolkiewicz Stanisława: 240
Korwin-Mikke Janusz: 114–116
Korzeniowski Apollin: 90
Kostrzewa-Zorbas Grzegorz: 118
Kotarbiński Tadeusz: 216
Kowalczyk Stanisław: 152
Kowalewski Krzysztof: 233
Kozłowski Krzysztof: 38
Krall Hanna: 36
Krasiński Zygmunt: 128, 211
Kropotkin Piotr: 212
ks. Król Zdzisław: 58
Królikiewicz Grzegorz: 216

Krzaklewski Marian: 111
Krzywoń M.: 128
Kuberski Jerzy: 25, 26, 31, 43
Kukliński Ryszard: 36, 37, 203
Kulerski Wiktor: 57
Kulikow Wiktor: 18, 19, 23
Kułaj Jan: 24
Kuratowska Zofia: 200
Kuroń Jacek: 20, 61, 87, 94, 113, 174
Kurylak: 237
Kuźniak Mirosław: 216, 217
Kwaśniewski Aleksander: 216, 238, 239
Kwitny J.: 35, 38, 59, 61, 63

L
Laga Krzysztof: 88
Lamentowicz Wojciech: 79
Lenin Włodzimierz: 83, 158, 219, 235
Leski Krzysztof: 32
Lewandowski Bogdan: 47
Lewandowski Mirosław: 88–92, 94, 96, 98, 100, 102, 105, 106, 108, 111–118, 120, 197, 198, 201–203
Libelt Karol: 219, 233
Lis Bogdan: 77
ks. Lisiak Józef: 138
Lityński Jan: 53, 97, 98, 114, 221
Lizut Mikołaj: 31
Ludwiczak Jan: 110

Ł
Łatka Rafał: 104, 105
Łatyński Marek: 35
Łopatka Adam: 196
Łopiński Maciej: 49, 50, 56, 57
Łoziński Bogumił: 137

M
ks. abp Macharski Franciszek: 32, 46, 59
Macierewicz Antoni: 115, 221, 227
ks. Maj Józef: 28, 32–34
Majchrowski Jacek: 237
Majchrowski Krzysztof: 231, 237, 238
Majchrzak Grzegorz: 31, 66
Makarenko Antoni: 235
Malinowski Roman: 24, 25
ks. Małkowski Stanisław: 24
Marcinek Leszek: 152, 158
ks. Mariański Janusz: 53, 81
Markiewicz Marek: 200, 201
Marks Karol: 83, 221
Matusz Józef: 25
ks. Matuszewski Mateusz: 57
Matuszko, zob. Pietruszka Adam
Mazowiecki Tadeusz: 14, 51, 167
Mazurkiewicz Andrzej: 200
Mażewski Lech: 21
ks. Mąkinia Franciszek: 127
Meller Marcin: 80
Meretik Gabriel: 26, 31, 35
Mętrak Krzysztof: 109–111
Mianowicz Tomasz: 45
Michnik Adam: 42, 53, 87, 94, 95, 97, 109, 118, 136, 215, 227
Micewski Andrzej: 14, 17, 24, 26, 31
Mickiewicz Adam: 235, 236
Mikołaj I: 84
Mikusiński Wiktor: 152, 172, 175
Milewicz Ewa: 31
Milewski Mirosław: 152, 157, 170, 171, 175–177
Miłosz Czesław: 217
Mitrochin Wasilij: 23
ks. bp Miziołek Władysław: 32, 58, 65
Mochnacki Maurycy: 219
Moczar Mieczysław: 214, 215
Moczulski Leszek: 95, 113, 200, 217–220, 229, 243
Modzelewski Józef: 249
Modzelewski Karol: 14

Morawiecki Kornel: 114, 227
Moskit Marcin: 49
Moskwa Jacek: 47, 53
Mrówczyńska Bożenna: 223–225
Muchowski Stanisław: 59
Muller Jean-Marie: 79

N
Najder Zdzisław: 63, 118
Nawrocki Grzegorz: 58
Nawrocki: 237
Nazarewicz Krzysztof: 27, 50
ks. Niewęgłowski Wacław: 23, 30
ks. Nitecki Piotr: 27, 49, 66,
Norwid Cyprian Kamil: 128
Nowak Filip: 142
Nowak-Jeziorański Jan: 78

O
Okrutny Marian: 149
Olaszek Jan: 82
Olechowski Andrzej: 120
Olejnik Monika: 214
Olszewski Jan: 27, 28, 94, 106, 114–116, 118–121, 131, 133, 201
Olszewski Mariusz: 179
Olszowski Stefan: 9
Ostoja-Owsiany Andrzej: 226
ks. Orszulik Alojzy: 14, 26, 31, 34, 46, 89, 98, 128, 137
Owsiak Jerzy: 214
Ozdowski Jerzy: 10

P
Paczkowski Andrzej: 8, 26, 30, 63
ks. Papkała Jan: 126
ks. Pasierb Janusz: 22
Pawłow Witalij: 23, 37
ks. Piasecki Bronisław: 93
Piasecki Waldemar: 37
Pichoja Rudolf: 19, 30
Pietruszka Adam: 34
Piłsudska Aleksandra: 224
Piłsudski Bronisław: 211,
Piłsudski Józef: 102, 211, 217, 224, 226, 239, 241, 243
Pinior Józef: 59
Pipes Richard: 36, 37
Piwowski Marek: 236
ks. abp Poggi Luigi: 46, 55, 66
Polak Grzegorz: 126
ks. Popiełuszko Jerzy: 8, 10, 32, 34, 57, 58, 107, 108
Posyniak Leszek: 160
ks. Potoniec Stefan: 125
Pożoga Władysław: 148, 159
Prądzyńska Elżbieta: 222
Prądzyński Ignacy: 90
Przybylska-Wendt Grażyna: 57
Przybyłko Maria: 126
Putra Krzysztof: 240

R
Radzicki Andrzej: 177, 178
Raina Peter: 13, 52, 67, 68, 77
Rakowski Mieczysław: 47, 129, 135
Reagan Ronald: 35, 36, 91
Reiff Ryszard: 9, 12, 22, 23
Reykowski Janusz: 129
Rodowicz Władysław: 28, 32
Rolicki Janusz: 57
ks. Romanowicz Jerzy: 126
Romanowski Mieczysław: 223
Romaszewska Zofia: 98
Romaszewski Andrzej: 94, 97, 98
Romkowski Roman: 214, 215
Rowecka-Mielczarska Irena: 222, 233
Rowecki Stefan, ps. „Grot": 221
Rozpłochowski Andrzej: 111
ks. bp Rozwadowski Józef: 46

Rożek Grzegorz: 213
Rulewski Jan: 88, 223
Rusakow: 17
Ryba Marian: 25, 43
Rybak A.: 49
Rybicki Józef: 244
Rydz: 236
ks. Ryś Wendelin: 127

S
Samsonowicz Henryk: 27
Sekuła Ireneusz: 238
Sekuła Julian: 152, 167
Semka Piotr: 122
ks. Sikorski Jan: 52
Siła-Nowicki Władysław: 28
ks. Sitka Tadeusz: 32
Sienkiewicz Jarosław: 96, 110
Sierański Ireneusz: 88
Sierański: 173
ks. Skorowski Henryk: 78
Skotnicki: 222
Skóra Tadeusz: 153
Skubiszewski Krzysztof: 115, 118–120
Słowacki Juliusz: 83, 128
Spiski P.: 45
Stalin Józef: 214–216, 219, 220
Staniewicz Restytut: 242
Staniszkis Jadwiga: 80
Stański Tadeusz: 220
Stehle H.: 35
Stelmachowski Andrzej: 24, 27, 28, 31, 131, 133
Suchocka Hanna: 201
Susłow Michaił: 17, 18, 23
Szczepański Jan: 158
Szczepański Jan Józef: 22, 40,
Szczepański Maciej: 216, 222
Szczepkowska Roma: 58, 59
Szeremietiew Roman: 220, 226
Szomański Andrzej: 217, 218, 220, 222
Szulc Tad: 47
Szybka Edward: 148, 152

Ś
Śliwa Bogusław: 114
Świętochowski Aleksander: 242

T
Tałaj Kazimierz: 222, 223, 225, 234
ks. Targosz Józef: 137, 140
Tatarkiewicz Władysław: 216
ks. Tischner Józef: 42
ks. abp Tokarczuk Ignacy: 34, 47
ks. Tomasiński Tadeusz: 127, 128
Tomaszkiewicz Jerzy: 217, 226
Trocki Lew: 219
Trzybiński Adam: 163
ks. Tylus Stanisław SAC: 4, 5, 123–140
Tym Stanisław: 244
Tyrmand Leopold: 80

U
Urbankowski Bohdan: 4, 5, 82, 89, 90, 96, 102, 103, 105, 111, **205–230**, 233, 241, 243
Usidus Mirosław: 43
Ustinow Dmitrij: 18

W
Wachowicz Barbara: 218
Walichnowski Tadeusz: 55
Wałęsa Danuta: 34
Wałęsa Lech: 8, 9, 13–16, 20, 21, 24, 26, 31, 34, 35, 45, 46, 49, 50, 51, 61, 77, 88, 89, 91, 94, 96, 105, 106, 109, 111, 114–116, 118–121, 128, 131, 132, 135, 161, 219, 221
Wawrowski Jerzy: 85, 87, 98, 99, 100
ks. Wawrzonek Władysław: 50

Wądołowski Stanisław: 14, 15
Weigel Georg: 35
Widera Florian: 150
Wielowieyski Andrzej: 14, 28, 131
Wierny Józef, zob. Wołek Tomasz
Wierzbicki Piotr: 51, 52
Wilczak Barbara: 165
Wilczak Dariusz: 47
Wilczyński: 110
Wilk Mariusz: 49
Wiszniewski Wsiewołod: 235
ks. abp Wojtyła Karol: 107, 108
Wołek Tomasz: 49
Woroszyłow Klimient: 219
Woźniakowski Jacek: 60
Wójcik Piotr: 105, 113–115, 118
Wroszczykowski Krzysztof: 177
Wybicki Józef: 90
Wysocki Piotr: 90
ks. abp Wyszyński Stefan: 50, 75, 81, 85, 87, 94, 96, 97, 100, 104, 108, 109

Z
Zaczkowski Stanisław: 153, 156, 157
Zaniewski: 237
Zawadzki Sylwester: 51
Zielińska Buba: 221, 222
Zieliński Marek: 221
Ziembiński Wojciech: 218, 220, 242
Zinowiew Aleksander: 219
Zybertowicz Andrzej: 63

Ż
Żabiński Andrzej: 110
Żbikowska Lucyna: 34
Żeromski Stefan: 207, 211
Żmudziak: 152
Żyta Józef: 153